



ORZEWO  
BABEL

Stephen Kelman

# ZABIĆ GOŁĘBIA



# O Autorze



*foto © Jonathan Ring*

**Stephen Kelman**

Urodził się w Luton w 1976 roku.

Po studiach pracował między innymi jako magazynier, potem w opiece społecznej, w marketingu i samorządzie lokalnym. W 2005 roku postanowił zająć się pisarstwem na poważnie i od tego czasu napisał sporo scenariuszy filmowych. Jego pierwsza powieść *Zabić gołębia* została nominowana do nagrody Desmonda Elliotta 2011 i The Man Booker Prize 2011.

*Wolałbym uczyć się śpiewu u jednego ptaka,  
niż pouczać dziesięć tysięcy gwiazd,  
jak mają tańczyć*

E. E. Cummings

Stephen Kelman

# **Zabić gołębia**

przełożył  
Wojciech Mitura

# Zabić gołębia

## Spis treści

Okładka

O Autorze

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

Dedykacja

Marzec

Kwiecień

Maj

Czerwiec

Lipiec

\*\*\*



tytuł oryginału  
Pigeon English

koncepcja graficzna  
Michał Batory

zdjęcie Autora  
Jonathan Ring

redakcja i korekta  
Bożna Piotrowska

przygotowanie do druku  
Katarzyna Marzec

© 2011 by Stephen Kelman  
© 2013 for the Polish edition by Drzewo Babel  
All rights reserved



Drzewo Babel  
ul. Litewska 10/11, 00-581 Warszawa  
listy@drzewobabel.pl  
[www.drzewobabel.pl](http://www.drzewobabel.pl)

ISBN 978-83-64488-04-7



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: kontakt@elib.pl  
[www.elib.pl](http://www.elib.pl)

•••

Nie chciało się wierzyć,  
żeby zabójca mógł być zwyczajnie  
dzieciakiem. To byłby zupełny obłąd.  
Rozglądaliśmy się po wszystkich twarzach,  
czy ktoś nie ma wzroku mordercy.  
Za trudne. Wszyscy wyglądali  
po prostu normalnie.  
To nie mógł być nikt z nich.

•••

Podróżnikowi



**Marzec**



Krew. Wszędzie na ziemi przed barem Chicken Joe's. Jest ciemniejsza, niż by się myślało. Po prostu obłąd.

Jordan: Dam ci milion funtów, jak dotkniesz.

Ja: Nie masz miliona.

Jordan: No to funta.

Chciałoby się dotknąć, ale nie dawało rady podejść dość blisko. Dojście zagradzała policyjna taśma:

## PRZEJŚCIA NIE MA

Jeśli przekroczysz tę linię, zamienisz się w proch.

Nie wolno było rozmawiać z policjantem, żeby go nie rozpraszać na wypadek, gdyby zabójca miał wrócić. Widziałem, że ma kajdanki przy pasku, ale broni nie widziałem.

•

Mama zmarłego chłopca pilnowała tej krwi. Wyraźnie chciała, żeby krew tam zostawić. Deszcz chciał spaść i zmyć krew, ale ona mu nie dawała. I nawet nie płakała. Stała sztywno z groźną miną, zupełnie jakby jej obowiązkiem było odpędzanie deszczu z powrotem do nieba. Nadleciał gołąb i zaczął rozglądać się za czymś do jedzenia. Szedł prosto w krew. Nawet też był smutny, miał takie różowe oczka i martwe spojrzenie.

•

Kwiaty już oklapły. Obok leżały fotografie zmarłego chłopca w szkolnym mundurku. W zielonym pulowerze.

Mój jest niebieski. Mój mundurek jest lepszy. Jedyna niedobra rzecz, to krawat, za bardzo drapie. Nie cierpię, jak krawat drapie.

Zamiast zniczy stały puszeki z piwem, a koledzy zmarłego chłopca zostawiali mu kartki. Wszyscy pisali, że był dobrym kolegą. Niektórzy robili błędy ortograficzne, ale mi to nie przeszkadzało. Jego korki związane sznurowadłami wisiały na ogrodzeniu. Prawie nowe Nike z kołkami z prawdziwego metalu i w ogóle.

Jordan: Mam je zwinąć? Jemu już niepotrzebne.

Udałem, że nie słyszę. Jordan tak naprawdę to by ich nie ukradł, były milion

razy za duże. Wyglądały smętnie, kiedy tak wisiały. Chciałbym móc je nosić, ale wcale by nie pasowały.

•

Ja i ten zmarły chłopiec byliśmy tylko półkolegami, nie widywałem go za często, bo był starszy i nie chodził do mojej szkoły. Umiał jeździć bez trzymanki, ale nawet nikt mu nie życzył, żeby spadł z roweru. W myśli zmówiłem modlitwę. Modlitwa była krótka: przykro mi. Nic innego nie mogłem sobie przypomnieć. Wyobrażałem sobie, że jak będę z całej siły wpatrywał się w tę krew, to ona się ruszy i wróci w postaci chłopca. Mógłbym go w ten sposób przywrócić do życia. Coś takiego się kiedyś zdarzyło. Tam, gdzie przedtem mieszkałem, był wódz i on przywrócił do życia swojego syna. To było dawno, jeszcze zanim się urodziłem. *Asweh*<sup>[1]</sup>, prawdziwy cud. Tym razem jednak nie udało się. Dałem mu swoją gumową piłeczkę. Nie jest mi już potrzebna. Mam jeszcze pięć pod łóżkiem. Jordan położył tylko kamyk, który znalazł na ziemi.

Ja: To się nie liczy. Musisz dać mu coś, co należało do ciebie.

Jordan: Nic nie mam. Nie wiedziałem, że trzeba przynieść prezent.

Dałem Jordanowi truskawkowy żelek, żeby miał dla zmarłego chłopca, potem pokazałem mu, jak się przeżegnać. Razem się przeżegnaliśmy. Nie odzywaliśmy się. Czuliśmy nawet, że to coś ważnego. Biegliśmy całą drogę do domu. Łatwo wygrywam z Jordanem. Mogę wygrać z każdym. Jestem najszybszy w naszej klasie. Po prostu chciałem uciec, zanim śmierć nas dogoni.

•

Domy są tu wszędzie potężne. Mój wieżowiec jest wysoki jak latarnia morska w Jamestown. W jednym rzędzie stoją trzy wieżowce: Luksemburg, Sztokholm i Kopenhaga. Ja mieszkam w bloku Kopenhaga. Moje mieszkanie jest na dziewiątym z czternastu pięter. To nawet nie jest takie przerażające. Mogę teraz wyglądać przez okno i już mi się w brzuchu nie przewraca. Uwielbiam jeździć windą. Masakra, zwłaszcza jak się jedzie samemu. Można się bawić w ducha albo szpiega. Ona tak szybko jedzie, że nawet nie czuje się zapachu sików.

Nieźle wieje na samym dole, robi się tam coś jakby wir. Stoisz pod blokiem, rozkładasz ramiona i możesz udawać, że jesteś ptakiem. Czujesz, że wiatr próbuje cię unieść do góry, prawie jakbyś latał.

Ja: Szerzej ręce!

Jordan: Szerzej się nie da! Pedalstwo jakieś, ja mam dość!

Ja: Żadne pedalstwo, właśnie genialne!

*Asweh*, to najlepszy sposób, żeby poczuć, że żyjesz. Tyle tylko, że nie chcesz, żeby cię wiatr porwał, bo nie wiesz, gdzie cię upuści. Może w krzaki, czasem w morze.

•

W Anglii mają na wszystko cholernie dużo różnych słów. Chodzi o to, że jak zapomnisz jakiegoś słowa, to zaraz masz jakieś inne. To bardzo pomaga. Ciota, dupek, frajer – wszystko znaczy to samo. Sikać, lać, siurać – też wszystko to samo (to samo, co iść w pewne miejsce). Jest milion słów na siusiaka. Wiecie, co usłyszałem od Connora Greena, jak tylko zacząłem chodzić do nowej szkoły?

Connor Green: Masz przyjaciela?

Ja: Tak.

Connor Green: Jesteś pewien, że masz przyjaciela?

Ja: Tak.

Connor Green: Ale całkiem pewien?

Ja: Chyba tak.

Ciągle mnie pytał, czy mam przyjaciela. Bez przerwy. Wreszcie zaczęło mnie to złościć. I w końcu nie byłem pewien. Connor Green śmiał się, nawet nie wiedziałem dlaczego. Wtedy Manik powiedział mi, że to taki kawał.

Manik: On cię nie pyta, czy masz przyjaciela, pyta, czy masz penisa. Mówi tak każdemu. To tylko kawał.

Brzmi jak przyjaciel, a naprawdę znaczy penis.

Ha! Penis.

Connor Green: Mam cię! Połknąłeś haczyk!

Connor Green zawsze robi kawały. Po prostu lubi ściemniać. To pierwsza rzecz, jakiej się o nim dowiadujesz. W każdym razie ja nie przegrałem. Mam penisa. Kiedy wszystko się zgadza, to nie ma kawału.

Niektórzy na balkonach suszą bieliznę albo hodują rośliny. Ja z mojego obserwuję helikoptery. Trochę się kręci w głowie. Trudno stać tam dłużej niż minutę, bo można zamienić się w sopel lodu. Widziałem raz z góry X-Fire'a, pisał swoje imię na murze Sztokholmu. Nie wiedział, że go widzę. Był naprawdę

szybki, a mimo to litery wyszły mu super. Ja też bym chciał napisać swoje imię takimi dużymi literami, ale farba w sprayu jest bardzo niebezpieczna, bo jak się nią pomazesz, to nigdy nie schodzi i nawet zostaje na zawsze.

•

Małe drzewka siedzą tu w klatkach. Stawia się klatkę wokół drzewka, żeby go nie ukradli. *Asweh*, kompletny obłąd. Kto by chciał ukraść drzewko? Kto by zaciukał chłopca, żeby zabrać mu porcję kurczaka z baru Chicken Joe's?

Kiedy Mama nastawia telefon na głośne mówienie, to słyhać, jakby byli daleko. Głos Papy odbija się echem, jakby go trzymali w łodzi podwodnej na dnie oceanu. Wyobrażam sobie, że powietrza starczy mu na godzinę i jeśli w ciągu godziny go nie uratują, to koniec. Zawsze mnie to wnerwia. Póki Papa nie ucieknie, to ja jestem głową rodziny. Nawet tak powiedział. Mam obowiązek pilnować wszystkiego. Opowiedziałem mu o moim gołębiu.

Ja: Gołąb wpadł przez okno. Lydia się przestraszyła.

Lydia: Co? Wcale się nie przestraszyłam.

Ja: Przestraszyła się. Powiedziała, że zwariuje od tych jego skrzydeł. Musiałem go złapać.

Nasypałem sobie trochę mąki na rękę i gołąb usiadł mi na niej. Był głodny i tyle. Zwabiłem go tą mąką. Trzeba się bardzo ostrożnie poruszać, bo jak się ruszysz zbyt gwałtownie, gołąb może zwyczajnie przestraszyć się i odlecieć.

Lydia: Pośpiesz się! Jeszcze kogoś ugryzie!

Ja: Weź ty się! On tylko chce się stąd wydostać. Zamknij się, bo go przestraszysz.

Czułem na ręce, jakie ma szorstkie nóżki, jak kurczak. To było bardzo fajne. Postanowiłem, że będzie moim ulubionym gołębiem. Dobrze mu się przyjrzałem, żeby zapamiętać kolory, potem wypuściłem go na balkon i odleciał. Wcale nie trzeba ich zabijać.

Papa: Dobra robota.

Papa miał uśmiechnięty głos. Uwielbiam, jak ma uśmiechnięty głos, bo to znaczy, że zrobiłem coś tak, jak trzeba. Nie musiałem potem myć rąk, mój gołąb nie ma żadnych zarazków. Stale mówią, żeby myć ręce. *Asweh*, tyle jest zarazków, że trudno uwierzyć! Wszyscy ciągle się ich boją. Zarazki z Afryki są najśmiertelniejsze, to dlatego Vilis uciekł, kiedy chciałem się z nim przywitać, on myśli, że kiedy się nawdycha moich zarazków, to umrze.

Ja nawet nie wiedziałem że przywiozłem ze sobą jakieś zarazki. Nie czuje się ich, nie widzi, ani nic. *Adjei*<sup>[2]</sup>, te zarazki są okropnie wredne! Vilis może sobie mnie nienawidzić, nawet nie obchodzi mnie to, jest kiepskim obrońcą i nigdy mi nie podaje piłki.

•

Agnes uwielbia robić bańki ze śliny. Tylko jej to wolno, bo jeszcze jest dzidziusiem. Niech ich nawet robi dużo. Ile zechce i zawsze.

Ja: Halo, Agnes!

Agnes: O!

Jak Boga kocham, kiedy Agnes mówi halo, to w uszach mi dzwoni jak jakiś szalony dzwonek! Ale i tak to kocham. Kiedy Agnes mówi halo, Mama płacze i śmieje się równocześnie – jest jedyną osobą, jaką znam, która to potrafi. Agnes nie mogła z nami przyjechać, bo Mama musi cały czas pracować, więc zamiast Mamy zajmuje się nią Babcia Ama. Tylko do czasu, aż Papa sprzeda wszystko ze swojego sklepu, a potem kupi bilety i znowu będziemy wszyscy razem. Minęło dopiero dwa miesiące od naszego wyjazdu, a zapominać zaczyna się dopiero po roku. To nawet nie będzie tak długo.

Ja: Umiesz powiedzieć Harri?

Papa: Jeszcze nie. Daj jej trochę czasu.

Ja: A co ona teraz robi?

Papa: Dalej robi bańki. No, lepiej już idź.

Ja: Okej. Przyjeżdżajcie szybko. Przywieźcie mi płyty Ahomki, tu ich nie mogę znaleźć. Kocham was.

Papa: I ja

W tym momencie karta telefoniczna się wyczerpała. Nienawidzę tego. To zawsze jest szok, chociaż zdarza się tak za każdym razem. To tak jak wieczorem, kiedy cichną silniki helikopterów i wydaje mi się, że te helikoptery spadną na mnie. *Asweh*, co za ulga, kiedy znowu je słyszę!

•

Widziałem raz prawdziwą martwą osobę. To było tam, gdzie przedtem mieszkałem, na targu w Kaneshie. Panią od pomarańczy potracił bus tro-tro, nikt nawet nie zauważył, że nadjeżdża. Wyobrażałem sobie, że te wszystkie pomarańcze, które się rozsypały dookoła, to jej przyjemne wspomnienia i że szukają teraz kogoś, kto by je przygarnął, żeby się nie zmarnowały. Łobuzy próbowały ukraść trochę pomarańczy, tych nierozjechanych, ale Papa i jeszcze drugi pan kazali im włożyć je z powrotem do koszyka. Łobuzy powinny wiedzieć, że nigdy nie wolno okradać zmarłych. Obowiązkiem porządných ludzi jest wskazywać bezbożnikom właściwą drogę. Trzeba im pomagać, kiedy tylko się da, nawet jeśli oni tego nie chcą. Myślą, że nie chcą, ale tak naprawdę, to chcą. Można zostać porządnym człowiekiem, jeśli się umie zaśpiewać wszystkie pieśni kościelne z pamięci. Tylko pastor Taylor i pan Frimpong to potrafią, no, ale obaj



mają już swoje lata. Pan Frimpong jest tak stary, że ma pająki w uszach. Widziałem na własne oczy.

W kościele odmówiliśmy specjalną modlitwę za zmarłego chłopca. Prosiliśmy, żeby jego dusza znalazła się w objęciach Pana i żeby Pan zmiękczył serca zabójców tak, żeby się przyznali do winy. Pastor Taylor przekazał specjalny komunikat do wszystkich dzieci. Powiedział, że jeśli znamy kogoś z nożem, to trzeba o tym powiedzieć.

Lydia obierała bulwy kasawy na fufu.

Ja: Ty masz nóż! Powiem im o tobie!

Lydia: Idź ty. Czym mam je obierać, łyżką?

Ja: Możesz obierać swoim oddechem. Bucha od ciebie jak od smoka.

Lydia: A od ciebie jak od psa. Znowu lizalesz podogonia?

To nasza ukochana zabawa – zobaczyć, kto wymyśli najgorsze bluzgi. Przeważnie ja wygrywam. Jak dotąd mam tysiąc punktów, a Lydia tylko dwieście. Gramy wtedy tylko, kiedy Mama nas nie słyszy. Podziabiałem się widelcem. Zwyczajnie w ramię. Chciałem zobaczyć, czy bardzo boli i jak długo będzie widać dziury. Miałem zamiar powiedzieć wszystkim, że są to magiczne znaki stamtąd, gdzie się urodziłem, i dzięki nim mogę czytać w cudzych myślach. Zniknęły jednak po minucie. Ale cholernie bolało.

Ja: Ciekaw jestem, co się czuje, jak się jest ciukniętym naprawdę. Ciekawe, czy można zobaczyć wszystkie gwiazdy.

Lydia: Chcesz się przekonać?

Ja: Albo ogień. Założę się, że się wtedy widzi ogień.

Mój Mustang ma ogień. Mam cztery samochody: Mustanga, Garbusa, Lexusa i dżipa Suzuki. Najlepszy jest Mustang, po prostu super. Niebieski, z płomieniem na masce, i ten płomień jest w kształcie skrzydeł. Nie ma żadnej rysy, bo nigdy nie daję mu się zderzyć. Tylko na niego patrzę. Jak zamknę oczy, to dalej widzę ten ognisty płomień. Tak musi wyglądać umieranie, tyle że ogień nie jest już piękny, bo naprawdę pali.

Papa Manika pokazał mi, jak się wiąże krawat. To był mój pierwszy dzień w nowej szkole. Schowałem krawat do torby. Miałem zamiar powiedzieć, że mi go ukradli. Ale kiedy doszedłem do szkoły, przestraszyłem się. Wszyscy mieli krawaty. Papa Manika był tam z Manikiem i to był jego pomysł.

Papa Manika codziennie odprowadza go do szkoły. Chce go w ten sposób chronić przed złodziejami. Ukradli mu raz adidasy. Ukradł je jeden z Załogi Dell Farm. Kiedy buty nie pasują, to wieszają je na drzewie. Manik nie mógł ich ściągnąć, bo jest za gruby, żeby łązić po drzewach.

Papa Manika: Niech mi tylko znowu spróbują. Następnym razem zobaczą, gnojki jedne.

Papa Manika jest dosyć przerażający. Zawsze chodzi wkurzony. Umie walczyć mieczem. *Asweh*, cieszę się, że nie jestem wrogiem Manika! Papa Manika założył mi krawat i zawiązał. Pokazał mi, jak go zdjąć bez rozwiązywania. Robi się po prostu taki duży otwór, żeby głowa się zmieściła i wtedy zdejmuje się krawat górą, przez głowę. W ten sposób nie trzeba go codziennie wiązać na nowo. I to nawet działa. Teraz już nigdy w życiu nie będę musiał wiązać krawata. Zwyciężyłem krawat jego własną bronią!

W nowej szkole nie ma śpiewu. Najlepsze w mojej starej szkole było, jak Kofi Allotey ułożył własne słowa.

*Kofi Allotey: Do Ciebie Boże  
Ręce podnoszę.  
Nie zrzucaj mnie ze schodów,  
Nie oblej wrzątkiem proszę.*

*Asweh*, dostał tyle batów, że nazwaliśmy go Kofi Bat!

Z początku na przerwach ja i Lydia trzymaliśmy się razem. Teraz trzymamy się z naszymi kolegami. Kiedy widzimy jedno drugie, musimy udawać, że się nie znamy. Kto pierwszy powie cześć, przegrywa. Na przerwach bawię się przeważnie w bombiarza samobójcę albo w zombi. Bombiarz samobójca to jest wtedy, jak z całej siły wpadasz na drugą osobę. Jeśli ta osoba upadnie, dostajesz sto punktów. Jak tylko się zachwieje, ale nie upadnie, masz dziesięć punktów. Ktoś jednak musi być zawsze na czatach, bo bombiarz samobójca jest zabroniony. Jak nauczyciel cię przyłapie, zostajesz za karę po lekcjach.

W zabawie w zombi po prostu odgrywasz zombi. Dodatkowe punkty dostaje się za dokładność.

Kiedy się nie bawimy, to się wymieniamy różnymi rzeczami. Najbardziej poszukiwane są naklejki piłkarskie i słodczyce, ale można się wymieniać wszystkim, jeśli się tylko znajdzie chętnego. Chevon Brown i Saleem Khan wymienili się zegarkami. Zegarek Saleema Khana pokazuje czas na księżycu, ale zegarek Chevona Browna jest masywniejszy i zrobiony z prawdziwego tytanu. Oba są klasa. Najpierw byli zadowoleni z wymiany, ale potem Saleem Khan chciał się z powrotem zamienić.

Saleem Khan: Rozmyśliłem się i tyle.

Chevon Brown: Ale przybiliśmy umowę piątką.

Saleem Khan: Miałem skrzyżowane palce, jasna sprawa, no nie?

Chevon Brown: Cipa. Dwie fangi za karę.

Saleem Khan: Nie, koleś, jedna.

Chevon Brown: Ale w głowę.

Saleem Khan: W ramię, w ramię.

Chevon Brown: Pieprzyć to.

Chevon Brown tak przywalił Saleemowi Khanowi, że mu ramię zdrętwiało. Jego wina, bo chciał się wycofać z umowy. Bał się, co będzie, jak się jego mama wkurzy.

Ja nie mam jeszcze zegarka, nie jest mi wcale potrzebny. Dzwonek mówi, gdzie trzeba być, a w klasie jest zegar. Poza szkołą nieważne, która godzina, brzuch ci mówi, kiedy jest pora żarcia. Dlatego nigdy się nie zapomni pójść do domu, bo wracasz tam, jak jesteś głodny.

•

To ja byłem zmarłym chłopcem. X-Fire uczył nas ciukania. Zamiast prawdziwego noża używał palców. A i tak były całkiem ostre. X-Fire mówi, że jeśli się kogoś ciuka, trzeba się bardzo śpieszyć, bo inaczej samemu też się to czuje.

X-Fire: Kiedy wbijasz w nich nóż, czujesz, gdzie wchodzi. Jeśli w kość czy coś takiego, to obrzydliwe, stary. Najlepiej trafić w coś miękkiego, jak brzuch, bo wtedy dobrze i łatwo wchodzi i nic nie czujesz. Najgorzej było, kiedy pierwszy raz kogoś dziabnąłem. Wszystkie flaki wylazły mu na wierzch. Chora akcja. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, gdzie celować, trafiłem go za nisko, kapujesz? Dlatego teraz staram się trafić w bok, w oponki. Wtedy nie wylatują te świństwa.

Dizzy: Jak pierwszy raz kogoś dźgnąłem, nóż mi się zaklinał. Trafiłem

w żebro, czy w coś takiego. Musiałem się, k..., szarpać, niby: oddawaj, dziwko, mój nóż!

Clipz: Jasne. Chcesz to po prostu w niego wbić i k... wyciągnąć z powrotem. Bez ściemy.

Killa się nie wtrącał. Siedział cicho. Może jeszcze nikogo nie ciuknął. A może zaciukał już tylu, że mu się znudziło. Pewnie dlatego nazywają go Killa, Morderca.

Byłem tym zmarłym chłopcem, bo X-Fire mnie wybrał. Miałem stać bez ruchu. Nie podobało mu się, kiedy się ruszałem. Ciągłe mnie szarpał. Było mi niedobrze, ale musiałem słuchać. Zresztą nawet chciałem słuchać. To było tak, jak kiedy pierwszy raz jadłem rozgotowany groch: wstrętne, ale musiałem zjeść, bo marnowanie jedzenia jest grzechem.

Nadal czułem jego palce na żebrach, nawet jak już sobie poszedł. Kompletny obłęd. Od X-Fire'a jechało papierosami i mlekiem czekoladowym. Właściwie to nawet się nie bałem.

•

Zawsze w soboty chodzimy na targ. To jest na dworze, więc nieźle marzniemy, póki Mama za wszystko nie popłaci. Trzeba mieć usta zamknięte, żeby nie szczekać zębami. Ale warto tam iść, bo tyle jest super rzeczy, na które można sobie popatrzeć, na przykład zdalnie kierowane samochody albo miecz samuraja (drewniany, ale i tak można się przestraszyć. Gdybym miał pieniądze, tobym sobie nawet kupił i używał do odpierania najeźdźców).

Najbardziej lubię sklepik ze słodyczami. Sprzedają tam wszystkie rodzaje żelków Haribo – co tylko sobie wymarzysz. Mam ambicję, żeby spróbować każdego. Jak dotąd spróbowałem prawie połowę. Haribo ma milion różnych kształtów. Wszystko, co jest na świecie, ma swoją wersję w żelkach Haribo. *Asweh*, to prawda. Robią buteleczki coca-coli, robaki, jogurty, misie, krokodyle, jajka sadzone, smoczki, kły, wiśnie, żaby i miliony innych rzeczy. Buteleczki coli są najlepsze.

Ja tylko nie lubię żelków w kształcie ludzików. To okrutne. Mama widuje martwe niemowlęta naprawdę. Widzi je codziennie w pracy. Nigdy nie kupuję żelkowych dzieci, żeby jej nie przypominać.

Mama rozglądała się wszędzie za siatką na gołębie. Modliłem się w duchu, żeby nie znalazła.

Ja: To nie jest fair. Tylko dlatego, że Lydia się ich boi.

Lydia: Spadaj! Nie boję się!

Mama: Nie mogą nam łązić gołębie po całym domu. Są brudne, wszędzie paskudzą.

Ja: To tylko raz było. On był głodny i tyle.

Mama: Dostyc tego, Harrison. Nie będę z tobą dyskutowała.

Niektórzy zakładają na balkonach siatki, żeby gołębie nie przylatywały. Nie mogę się z tym pogodzić, gołębie nie robią nikomu krzywdy. Chcę, żeby ten mój wrócił. Nawet specjalnie dla niego schowałem w szufladzie z majtkami trochę mąki przeznaczonej na fufu. Nie chcę go zjeść, chcę go oswoić, żeby mi siadał na ramieniu. W końcu moja modlitwa została wysłuchana: na targu wcale nawet nie mają siatek na gołębie. *Asweh*, co za ulga!

Ja: Nie przejmuj się. Jak wróci, to mu powiem, żeby sobie znalazł inny dom.

Mama: Nie wykładaj więcej jedzenia dla niego! Nie myśl, że nie zauważyłam, jak rozsypałeś mąkę po całym balkonie, nie jestem głupia.

Ja: Nie będę!

Nie cierpię, jak Mama czyta w moich myślach! Od dzisiaj będę czekał, aż zaśnie.

Udawałem, że nie widzę, jak Jordan kradnie jednej pani telefon. Nie chciałem, żeby Mama myślała, że to popieram, ona już i tak nienawidzi Jordana, bo on pluje na klatce schodowej. Stałem przy straganie Noddy'ego z ubraniami. Widziałem wszystko, kiedy Mama płaciła za moją koszulkę Chelsea. Byli tam X-Fire z Dizzy'm, i to Dizzy zwinął ten telefon. Cwaniaczki czekały, aż ta pani zacznie z kimś rozmawiać, wtedy na nią wpadli tak, żeby upuściła telefon. Miało to wyglądać na przypadek. Telefon upadł na ziemię, a wtedy Jordan pojawił się nie wiadomo skąd, złapał telefon i uciekł z nim. Wmieszał się w tłum i w sekundę już go nie było. Po prostu znikł, jakby był duchem. Pani rozglądała się za telefonem, ale już go nie było i nic nie mogła zrobić. Szybko się zmyli. Jordan nie dostaje od nich żadnej zapłaty za pomoc, tylko trochę papierosów albo tydzień czy dwa wolności, wtedy go nie próbują zabić. To w ogóle nawet żaden interes. Gdyby o mnie chodziło, to bym domagał się dychy za każdym razem.

Moja nowa koszulka Chelsea trochę drapie. Muszę sobie przykleić plaster na sutki, żeby się nie obtarły. Ale jest klasa. Ten zmarły chłopiec też kochał Chelsea. Miał prawdziwą koszulkę z Samsungiem i nawet ich strój wyjazdowy. Mam nadzieję, że w Niebie są prawdziwe bramki z siatkami, żeby nie trzeba było ganiać nie wiem jak daleko za piłką po każdym голу.

Tu wszędzie jest milion psów. *Asweh*, prawie tyle psów co ludzi. Większość to pitbulle, bo są najbardziej przerażające, można ich użyć jako broni, jeśli komuś zabraknie naboju. Harvey jest najgorszy. Należy do X-Fire'a. X-Fire każe mu gryźć huśtawki na placu zabaw i przez to jest ekstra przerażający. Zawiesza się zębami na huśtawce i kręci się dookoła w powietrzu jak oszalały helikopter. Kiedy widzę, że Harvey się zbliża, to tylko wstrzymuję oddech, żeby nie wyczuł ode mnie strachu.

Mój ulubiony pies to Asbo. Jest śmieszny i wesoły. Pierwszy raz go zobaczyłem, kiedy graliśmy z Deanem Griffinem w nogę na skwerze, a tu jakiś pies podbiega i zabiera nam piłkę. To był właśnie Asbo. Goniliśmy go i próbowaliśmy go przyblokować, ale był zbyt szybki. Niechcący rozerwał piłkę. I teraz została nam już tylko moja plastikowa. Zawsze nam ucieka, bo jest za lekka. Można się nieźle wnerwić. Niedługo będę miał prawdziwą, ze skóry, więc nie odfrunie.

Wiedzieliście, że psy potrafią kichać? *Asweh*, to prawda. Widziałem na własne oczy. Asbo kichnął potężnie. Najpierw był szok. Nikt się tego nie spodziewał. A potem kichał tak ze sto razy. Nie mógł przestać po pierwszym razie, po prostu seria z karabinu maszynowego. Nawet sam Asbo był zdziwiony. Nie mógł przestać i trwało to całe wieki.

Terry Nawynos: Jest uczulony na piwo, no nie?

Terry Nawynos nalał sobie na rękę trochę piwa i dał Asbo, żeby się napił, ale Asbo nie chciał. Najpierw zrobił smutną minę i odwrócił łeb. I wtedy zaczął kichać. Z nosa leciały mu bańki.

Mówi się na niego Terry Nawynos, bo zawsze coś wynosi. To po prostu inna nazwa na złodzieja. Ile razy go widzisz, zawsze niesie coś, co właśnie ukradł. Przeważnie DVD albo telefon komórkowy, bo to najłatwiej. Pyta cię, czy chcesz kupić, nawet jeśli jesteś dzieciakiem i nie masz pieniędzy.

Terry Nawynos: Chcesz kupić? Prawdziwa miedź, warte kupę kasy.

Dean: A co ja zrobię ze stosem miedzianych rur?

Terry Nawynos: Bo ja wiem? Mógłbyś sprzedać.

Dean: Czemu ty ich nie sprzedasz?

Terry Nawynos: Właśnie próbuję, nie?

Dean: To spróbuj sprzedać komuś, komu się przydadzą.

Terry Nawynos: Dobra, dobra, spoko synek, przyhamuj. Spytać nie wolno?

Co on z tym hamowaniem? Przecież się nie śpieszyliśmy! *Asweh*, Terry Nawynos jest świr. A to dlatego, że pije piwo na śniadanie.

•

Uwielbiam ulżyć sobie po tym, jak Mama wpuści do muszli klozetowej środek wybielający. Robią się wtedy wielkie bąbelki i jest tak, jakby człowiek załatwiał się na chmurze. Specjalnie się wstrzymuję, żeby dużo poszło. Nikomu nie wolno spuszczać spłuczką chmury, dopóki nie zrobię na nią specjalnego siku. Wyobrażam sobie, że niby jestem Panem Bogiem i załatwiam się na moją ulubioną chmurę. Widziałem, jak jest na chmurze. To było wtedy, kiedy lecieliśmy samolotem. Właściwie byliśmy nad chmurami. I wiecie co tam jest? Jeszcze więcej nieba. *Asweh*, to prawda. Niebo i niebo, nigdzie się nie kończy. Ale Niebo przez duże N jest jeszcze nad niebem.

Mama: Nie widzi się Nieba, aż przychodzi na człowieka czas. Dlatego Pan Bóg je ukrywa.

Ja: Ale gdzieś tam jednak jest.

Mama: Oczywiście, że jest.

Chciałbym je teraz zobaczyć. Chciałbym zobaczyć, co porabia Dziadek Solomon.

Ja: Założę się, że gra w papier, kamień, nożyce z Jezusem.

Lydia: Założę się, że oszukuje.

Ja: Niby jak! To nie jest nawet w ogóle oszukiwanie!

Lydia: A weź ty się!

Dziadek Solomon uważał, że nożyce wygrywają z kamieniem, bo w końcu kamień jest tak zmęczony tym dźganiem, że się rozpada. Każdy, kto mówi, że kamień wygrywa z nożycami, jest po prostu zbyt leniwy, żeby poczekać do końca. Tylko tyle pamiętam z tego, co mówił, bo umarł, jak byłem jeszcze mały. Ale to prawda. Każdy kto mówi, że to oszukiwanie, jest po prostu głupi.

Lydia myślała, że samolot się rozbije. Ten drugi, z Kairu do Anglii. Siedzieliśmy przy samym skrzydle. Widać było, jak drgało w czasie lotu. Ja się nie bałem. Kiedy samolot ma się rozbić, to najlepsze miejsce jest przy skrzydle, bo tam jest najmocniejszy. Nawet Papa to mówił. Jak się chybocze, to jest normalne.

Ja: Zobacz! Jeszcze bardziej się chybocze! Zaraz odpadnie!

Lydia: Przestań!

Mama: Harrison! Dostyc tych bzdur. Zapnij pas.

Wcale się nawet nie rozbiliśmy. Przed startem modliłem się, żeby do tego nie doszło.



•

Kiedy wracałem ze szkoły do domu przed blokami stała policja. Dwa samochody policyjne i mnóstwo glin zaglądających w krzaki i do śmietników, jakby zgubili coś specjalnego. Była też wśród nich pani glina. *Asweh*, obłąd jakiś. Jakby chciała być mężczyzną. Miała taki sam gliniarski mundur i w ogóle. Wypytywała dzieciaki, nikomu nie wolno było iść do domu, wszyscy musieli odpowiadać na pytania. Masakra. Uważam, że panie gliny to dobry pomysł. Zamiast cię lać cały czas, po prostu z tobą rozmawiają.

Obszczymurek: Pani pokaże, jak się zakłada kajdanki. Byłem niegrzeczny, chyba powinienem dostać lanie.

Pani glina: No, no!

Pani glina pytała nas o zmarłego chłopca. Czy wiemy, gdzie był tego dnia i czy ktoś za nim chodził. Czy zauważyliśmy coś dziwnego. Mówiliśmy, że nie. Nic nie wiedzieliśmy. Żałowaliśmy, że nie wiemy, ale nic na to nie mogliśmy poradzić.

Dean: Macie jakieś tropy?

Ja: Ona nie jest myśliwym, nie tropi zwierzyny.

Dean: Kryminalne tropy, dupku.

Pani policjantka: Pracujemy nad tym.

Dean: Jak czegoś się dowiemy, to wyślemy esemes. Jaki pani ma numer?

Pani glina: Nie pozwalaj sobie.

Potem gliny musiały jechać. Harvey próbował odgryźć lusterko przy jednym z ich samochodów. X-Fire nawet go namawiał do tego. Killa i Dizzy mu kibicowali. Odczepili się dopiero, jak gliny wyciągnęły gaz łzawiący i chciały psiknąć Harveyowi w pysk. Ludzie od tego tylko ślepną, ale psy giną w pięć sekund.

Ja: Widziałem, gdzie tego zmarłego chłopca zabili, wszędzie była krew.

Dean: Żałuję, że ja nie widziałem.

Lydia: Ja nie chcę tego widzieć.

Ja: A właśnie, że chcesz. Jesteś zła, że nie widziałaś. To było jak rzeka. Można było w tym pływać.

Lydia: Weź ty się.

Chciałem się w tym pluskać jak ryba. Gdybym wstrzymał oddech, mógłbym zanurkować na samo dno i gdybym wypłynął z powrotem i dalej żył, to tak, jakby ten zmarły chłopiec był nadal wśród nas. Mógłby być moim powietrzem albo światłem, które bym zobaczył, kiedy znowu otworzę oczy. Wstrzymałem

oddech i próbowałem poczuć, jak krew we mnie krąży. Jakoś nawet nie czułem. Gdybym wiedział, że krew wypłynie ze mnie za pięć minut, to wypełniłbym te pięć minut tym, co najbardziej lubię. Zjadłbym mnóstwo ryżu po chińsku, a potem zrobił siku na chmurę i rozśmieszył Agnes śmieszoną miną, taką, kiedy robię zeza i dotykam językiem nosa. Jakby się wiedziało, to przynajmniej można by się było przygotować. Bo inaczej to nie fair.

Paradidel to zwyczajnie wprawka na werblu. Moje ulubione słowo na dzisiaj. Na muzyce graliśmy na perkusji. Paradidel jest wtedy, kiedy uderzasz w werbel dwiema palcami tak szybko, żeby długo było słychać. Kocham słowo paradidel, bo brzmi tak, jak dźwięk, który wydaje. *Asweh*, sprytna sprawa.

Duży bęben (bęben wielki) na dole ma pedał. Właściwie gra się na nim stopą. Ale masakra. Ludzie przeważnie walą w bębny zbyt mocno, jakby mieli je rozwalić. To dla nich tylko zabawa. A ja uderzam tylko tyle, żeby wydobyć dobry dźwięk. Pokazałem Poppy Morgan, jak poruszać stopą, żeby bęben trzymał rytm. Łatwiej jest, jak się w myśli liczy. Zawsze liczy się do czterech. Uderzasz za każdym razem w pedał. O tak:

1 2 3 4

1 2 3 4

I po prostu powtarzasz tyle razy, ile wydaje ci się, że dobrze brzmi. Albo możesz uderzyć pedał na jeden i trzy, żeby rytm był szybszy:

1 2 3 4

1 2 3 4

Ale wtedy jest trochę za szybko i może się zakręcić w głowie, jakby się miało upaść. Kiedy pokazywałem Poppy Morgan, jak się gra na wielkim bębnie, poczułem niechcący zapach jej włosów. Po prostu za bardzo się przybliżyłem i wtedy poczułem. Pachniały miodem. Poppy Morgan ma włosy żółte jak słońce. Kiedy się do mnie uśmiecha, to mam motyle w żołądku, wcale nie wiem nawet, dlaczego.

•

Z mojego balkonu widać tylko parking i pojemniki na śmieci. Nie widać rzeki, bo zasłaniają ją drzewa. Widać domy, domy i więcej domów. Wszędzie całe sznury domów jak wielkie kłębowisko węży i jeszcze takie mniejsze domki, gdzie mieszkają starzy ludzie i nienormalni (mama Jordana mówi nienormalni o ludziach, którzy mają nie całkiem po kolei w głowie. Niektórzy tacy się urodzili, a innym tak się porobiło od picia za dużo piwa. Niektórzy wyglądają jak prawdziwi ludzie, tyle że nie umieją liczyć ani normalnie mówić).

Mama i Lydia obie chrapały jak szalone wieprzki. Założyłem kurtkę i wziąłem trochę mąki. Było bardzo późno. Daleko na niebie słyhać było helikoptery, znowu szukały złodziei. Zimny wiatr wżerał mi się w kości jak wściekły pies. Drzewa za wieżowcami szumiały, ale rzeka spała. Papa i Agnes i Babcia Ama, wszystkim im się śniłem, oglądali mnie jak w telewizji. Gołąb czuł, że na niego czekam, miał zamiar przylecieć tej nocy, wiedziałem.

Czekałem, żeby wiatr poszedł sobie dalej i wtedy rozsypałem sporą kupkę mąki na balustradzie. Rozsypałem ją na całej długości, żeby gołąb zauważył z daleka. *Adjei*, a niech to, wiatr wrócił, raz-raz się zawinał i zdmuchnął mąkę! Mogłem mieć tylko nadzieję, że on przejrzy mój plan i wróci. Lubię te ich pomarańczowe nóżki i jak poruszają łepkami, kiedy spacerują, zupełnie jakby słuchały niewidzialnej muzyki.

Uwielbiam mieszkać na dziewiątym piętrze. Można sobie patrzeć w dół i jeśli nie za bardzo się wychylać, to nikt tam na ziemi nawet nie wie, że ktoś jest na górze. Już miałem napluć, kiedy zauważyłem kogoś przy śmietniku, więc szybko przełknąłem ślinę. Ukląkł na ziemi przy pojemniku na butelki. Włożył rękę pod pojemnik, jakby coś mu tam wpadło. Nie widziałem twarzy, bo naciągnął kaptur.

Ja: Może to złodziej! Szybko, helikopterze, masz go tu! Poświeć na niego reflektorem, tuuu niżej! (Tak sobie tylko mówiłem w myśli.)

Wyciągnął coś spod pojemnika. Jakieś zawiniątko. Rozejrzał się na wszystkie strony, rozwinął je i zobaczyłem coś błyszczącego. Widziałem to coś tylko przez sekundę, ale to musiał być nóż. Jedyna rzecz, która przychodzi mi do głowy, żeby była błyszcząca i spiczasta. Zawinał to z powrotem, wsadził do kieszeni spodni i raz-raz dał gazu w stronę rzeki. Dziwna sprawa. Helikoptery nawet go nie zauważyły. Nie poleciały za nim ani nic, były zbyt wysoko. Biegł śmiesznie, jak dziewczyna, odstawiając łokcie na boki. Założę się, że jestem od niego szybszy.

Chciałem śledzić go dalej na wypadek, gdyby coś innego miało się jeszcze zdarzyć, ale za bardzo chciało mi się iść w pewne miejsce. Trzymałem, ile się dało. Nie wiem, czemu gołąb nie przyleciał. Myśli, że chcemy go zabić, ale my wcale nie chcemy. Ja po prostu chcę mieć coś żywego, coś co mógłbym karmić i uczyć sztuczek.

*Przyglądałem się, jak słońce wschodzi, a potem odprowadziłem chłopca do szkoły. Każdy dzień zaczynam czując w dziobie smak jego snów. Smak wszystkich waszych snów. Stąd, z góry, wyglądacie tak niewinnie, tak się uwijacie. Kiedy się gromadzicie wokół czegoś, co was ciekawi, albo spłoszeni rozpraszacie się! Jesteśmy do was podobni bardziej, niż by wam się wydawało. Ale nie za bardzo podobni.*

*To ja wysoko na dziewiątym piętrze, siedzę na parapecie, trawię resztki kaszy z mojego ostatniego posiłku. To ja współczuję wam, że wasze życie jest takie krótkie i nie ma w nim sprawiedliwości. Nie znałem chłopca, który zginął, nie był mój. Ale wiem, jak wygląda rozpacz matki, wiem, że przywarła do niej jak te ciepłe jeżyny, które tak świetnie sobie radzą przy autostradzie. Przykro mi, i w ogóle. Teraz uważajcie na swoje głowy, muszę za potrzebą. Poleciało. Nie strzelajcie do postaćca.*

•

Za każdym razem, kiedy ktoś bardzo mocno trzaska drzwiami, moje mieszkanie całe się trzęsie. Czuje się to. Kiedy jedna osoba zamyka drzwi, wszyscy inni to czują. Normalnie masakra, bo to tak, jakby wszyscy mieszkali w jednej wielkiej chacie. Można sobie wyobrazić, że niby jest trzęsienie ziemi. Pan Tomlin mówił, że trzęsienie ziemi zdarza się tylko w tych częściach świata, gdzie skały mają łaskotki. Wszyscy się śmiali. Pan Tomlin jest bardzo śmieszny. Opowiada nawet lepsze kawały niż Connor Green.

Ja tylko nie lubię, kiedy krzyki stają się za głośne. Mało nie wyskoczę wtedy ze skóry. Zupełnie jakby jacyś najeźdźcy wpadli i chcieli nas pozabijać. Kiedy wrzaski są gdzieś blisko, nastawiam głośniejszą telewizję, żeby ich nie słyszeć.

Gdyby mieli pojawić się najeźdźcy, to ja jestem tym, kto ma ich odeprzeć. Od tego jest w domu mężczyzna. Zawsze zamykamy drzwi na wszystkie zamki i na łańcuch, żeby nie mogli się wdrzeć. Jeśli się dostaną do środka, będzie trzeba ich ciukać widelcem (nie można nożem, bo to jest morderstwo. Widelcem można. Widelce to po prostu samoobrona). Zasłonię Lydię, żeby jej bronić. I Mamę też, jeśli będzie akurat w domu. Kiedy ja będę walczył z najeźdźcami, Lydia albo Mama wezwą policję. Będę celował w oko, bo to najdelikatniejsze miejsce. Po prostu od tego oślepną. Wtedy nie będą nic widzieli i wypchnę ich za drzwi do windy. Winda jest bezpieczna.

Ale to wszystko wtedy, kiedy najeźdźcy się pojawiają. To się nie musi nawet

zdarzyć.

Wyrzależem przez judasz. E tam, tylko Miquita i Chanelle. Otworzyłem zamki i wpuściłem je do środka.

Miquita: A to co, ochrona?

Lydia: Weź i wpuść je, Harrison.

Ja: Nie mów na mnie Harrison, nie jesteś Mamą.

*Asweh*, Lydia zawsze się rządzi, kiedy przychodzą jej koleżanki. Zawsze się popisuje i każe mi iść do swojego pokoju odrabiać lekcje. Nie chcę iść do swojego pokoju. Ona tylko dlatego mnie przegania, bo chcą oglądać *Życie w Hollyoaks*. Uważają, że to najlepszy serial. A tam cały czas się całują. Czasem nawet chłopak całuje drugiego chłopaka. Jak Boga kocham, to prawda! Są obrzydliwi.

Ja: Powiem Mamie, że oglądałyście, jak się chłopaki całują. Ohyda.

Lydia zatrzaskała mi drzwi przed nosem. Czeka, żebym był tuż pod drzwiami, i wtedy trzaska nimi. To bardzo wredne. Dawniej nigdy nie zamykała mi drzwi przed nosem. Teraz robi to stale, żeby jej głupie koleżanki śmiały się ze mnie.

Ja: Wpuść mnie!

Lydia: Miquita nie chce, żebyś tu wchodził. Ciągłe ją szczypiesz w tyłek.

Ja: Nie gadaj głupot! Wcale nie szczypię.

To nawet nie jest prawda. Nigdy nie uszczypnąłem Miquity w tyłek. Wolalbym wsadzić palce w mrowisko z czerwonymi mrówkami. Miquita i Chanelle obie są porąbane, zawsze się przechwalają, ilu to chłopakom ssaly (to znaczy, całowały się na ostro). Miquita ma wiśniową szminkę. Faktycznie ma wiśniowy smak. Zawsze sobie maluje nią usta. Mówi, że chce mieć przyjemny i słodki smak, kiedy się będzie ze mną całowała.

Ja: Nigdy mnie nie pocałujesz. Po prostu zwieję.

Miquita: Dokąd? Nigdzie nie uciekniesz. Nie ma nic strasznego w tym, że tak bardzo mnie kochasz.

Ja: Wcale cię nie kocham. Życzę ci, żebyś wpadła do jakiegoś dołu.

Miquita mogłaby być całkiem ładna, byle się nie odzywała. Usiadła mi na rękę i zrobiło mi się gorąco. To był przypadek. Nie miałem zamiaru macać jej tyłka. W każdym razie za bardzo się chwali i ciągle wygaduje na nasz telewizor, bo ma drewnianą obudowę i jest bardzo stary. Kupiliśmy go w second-handzie, należał do kogoś, kto zmarł. Obraz nie od razu się pokazuje, trzeba czekać, żeby się rozgrzał. Najpierw jest zupełnie ciemno, potem dopiero pojawiają się kolory. Wszystko to trwa bez końca. Można nawet włączyć telewizor, pójść w pewne miejsce i posiedzieć tam, zanim obraz się pokaże. Nawet próbowałem i udawało

mi się.

Miquita nie idzie na pogrzeb zmarłego chłopca. Nie znała go.

Miquita: Człowieku, po co? Wszystkie pogrzeby są takie same, no nie?

Ja: Tylko żeby okazać szacunek.

Miquita: Ale ja go nie szanuję. Sam był sobie winien, że go zabili. Po co się stawiał? Jak ktoś igra z ogniem, to się może sparzyć, no nie?

Ja: Nie wiesz, co mówisz, nawet cię tam nie było. Nikomu się nie stawiał, zabójca po prostu chciał jego porcję kurczaka z baru Chicken Joe's.

Miquita: Nieważne. Gównu ty tam wiesz, zwyczajnie jesteś dzieciakiem.

Ja: Ty też nic nie wiesz. *Asweh*, jesteś zwyczajnie głupia.

Miquita: *Asweh, Asweh, Asweh*, na Boga! Jazgoczesz jak mały psiak. Zejdź mi z oczu, bo mnie wnerwiasz.

Ja: Dobrze, dobrze, mnie wnerwiają te twoje oczy, rybia paszczo.

Zwiąłem, zanim się za bardzo wkurzyłem! Jeśli Miquita kiedykolwiek będzie chciała mi ssać, to ją zabiję. Jest taka ohydna i ma tłuste łapska.

•

Drzwi centrum handlowego otwierają się w magiczny sposób. Nie trzeba ich nawet dotykać. Znajduje się tam wielka tablica, na której wypisane są wszystkie zasady.

ZABRANIA SIĘ:

Pić alkohol

Wprowadzać rowery

Wprowadzać psy

Jeździć na deskorolkach

Palić

Grać w piłkę

Pod tymi prawdziwymi zakazami ktoś dopisał piórem nowy:

**ZABRANIA SIĘ WPROWADZAĆ BLYRWY**

Blyrwa to dziewczyna, która chce mieć z tobą dziecko. Dean Griffin mi o nich powiedział.



Dean: Jeśli pocałujesz blyrwę, to za każdym razem będzie miała dziecko. Wystarczy, że na taką za długo patrzysz, to już jej robisz brzucha, słowo. Cuchną, trzymaj się, chłopie, od nich z dala.

Ale i tak człowiek nie chciałby podejść do nich zbyt blisko, mają krosty na twarzach i śmierdzą papierosami. Ich dzieci też śmierdzą jak papierosy. Udawaliśmy, że niby te blyrwy chcą nas dorwać. Że są zombi, gonią nas i musimy uciekać. Gdyby któraś nas pocałowała, zamienilibyśmy się w blyrwy zombi. Ale było śmiechu. Zdążyliśmy uciec w porę.

Dean to mój drugi najlepszy przyjaciel. Jest moim najlepszym przyjacielem ze szkoły, a Jordan najlepszym spoza szkoły. To Dean mi powiedział, żeby trzymać pieniądze na obiad w skarpetce, wtedy złodzieje ich nie znajdą. Zawsze tak robi i teraz już go nikt nie okrada.

Próbowałem, ale niewygodnie mi się chodziło. Więc trzymam pieniądze obiadowe w kieszeni. Zresztą nikt mnie nie napadnie, bo przecież nic nikomu nie zrobiłem.

Ja: Czy uważasz, że to wina tego zmarłego chłopca, że go zaciukali? Tak mówi koleżanka mojej siostry. Nie wierzę jej. Wydaje mi się, że ona może być blyrwą. Myślisz, że złapią tego, co to zrobił?

Dean: Nie licz na to, tu gliny nie mają wprawy. Powinni do śledztwa przysłać CSI, od razu rozgryzą sprawę.

Ja: Co to jest CSI?

Dean: To jakby najważniejsi detektywi w Ameryce, znajdują się na różnych numerach i znajdują ślady, na które nikt inny by nie wpadł. To nie jest z telewizji, to prawda. Widziałem jednego takiego, to był taki gang, tłukli ludzi kijami bejsbolowymi, deptali im po głowach i takie tam.

Ja: Dlaczego?

Dean: A bo ja wiem, tak dla jaj. I nie było świadków ani nic, ale CSI mają taki specjalny program komputerowy, który poznaje, jakie masz adidasy, po wzorze na podeszwie, no nie? Porównują ślady stóp odbite na twarzy trupa ze śladami zabójcy i tak go łapią. Sprytne.

Ja: Sprytne. Powinni to samo tutaj zrobić. Może my znajdziemy ślady stóp.

Dean: Może, ale my mamy gównianą technologię, co nie? Nie mamy dobrego sprzętu. Ej ty, uważaj!

Terry Nawynos prawie się z nami zderzył. Leciał jak wariat. Nawet nas nie zauważył. Miał wielką tacę z kurczakami pod pachą. Widziałem, że jest bardzo ciężka. O mało jej nie upuścił i parę kurczaków spadło. Terry Nawynos nawet się

nie zatrzymał i leciał dalej. Oczy wytrzeszczył, cały skoncentrowany – bardzo to było śmieszne. Musieliśmy uskoczyć na bok.

Rzeźnik: Wracaj tu zaraz, gnojku pier...!

Rzeźnik próbował go gonić, ale był za gruby i zrezygnował. Różne obszcymurki czekały na schodach biblioteki. Każdy złapał po kurczaku i rozbiegli się w różnych kierunkach. Nawet Asbo uciekał. Myślał, że to zabawa. Szczekał jak szalony. My nawet chcieliśmy, żeby im się udało uciec. *Asweh*, bardzo to było śmieszne. Dean powiedział, że powinniśmy codziennie tędy przechodzić. Wprowadziliśmy taką nową zasadę.

Ja tam nawet nie wiem, gdzie tu są prawdziwe kurczaki. Wszyscy kupują je już martwe i oskubane. Jakiś obłąd. Brakuje mi ich głów. Martwe oczy kurczaków są piękne, takie rozmarzone, jakby wspominały dobre czasy, kiedy biegały sobie na słońcu dziobiąc jeden drugiego w głowę:

Kurczak: Dziub, dziub, dziub!

Drugi kurczak: Oddziub się!

•

Kiedy noworodek umrze, trzeba mu nadać imię, bo nie pójdzie do Nieba. Czasem ludzie są zbyt smutni, żeby myśleć o jakimś imieniu. Wtedy Mama wymyśla imiona. Przeważnie bierze je z Biblii, albo wyszukuje w gazecie, jeśli mama dziecka nie wierzy w Biblię. Jedno dzisiaj zmarło. Było pozamaciczne.

Mama: To się zdarza wtedy, kiedy rośnie poza macicą. Nic na to nie można poradzić. A czasem po prostu ginie.

Mama musiała nadać temu zmarłemu dziecku imię. Nazwała je Katy na cześć jednej pani z gazety. Mama dziecka była zachwycona. Bardzo jej się podobało.

Ja: Następnym razem, jak dziecko umrze, możesz je nazwać Harrison. Spodoba się.

Mama: Nie mogę tego zrobić, bo to przynosi pecha.

Ja: Jak to?

Mama: No bo tak. Harrison to twoje imię. Nie chcę, żeby ktokolwiek inny je nosił.

Imię jest po to, żeby Jezus mógł cię odnaleźć. Inaczej Jezus nie wie, kogo szuka i wtedy człowiek już na zawsze unosi się w przestworzach. To byłaby okropność. Bo na przykład, jak się wpadnie na słońce, to się można spalić na ludzką grzanekę!

Dobrze, że w Niebie zmarłe dzieci rosną. *Asweh*, co za ulga. Nie zniósłbym,

gdybym musiał wiecznie być niemowłędem. Nigdy bym się nie nauczył czytać ani mówić. Człowiek byłby całkiem do niczego. Nawet nie pamiętam, jak to jest, kiedy się jest niemowłędem. Gdyby mi tak miało zostać na zawsze, to bym chyba ześwirował od stóp do głów.

•

Przy pojemnikach na śmieci powinny być ślady stóp. Powinny się były odbić, tak jak wtedy, kiedy skacze się w kałużę i potem wyskakuje. Szukałem ich przed pójściem do szkoły, ale znikły. Może zabójca miał specjalne adidas bez wzoru na podeszwie, albo może nie dość mocno stawiał kroki, żeby zostały ślady. Ja zawsze mocno stąпам, wtedy się właśnie najwyraźniej odbija. Przerwa szkolna nadaje się na skakanie po kałużach, zwłaszcza jak jest deszczowy dzień i kiedy kręci się za dużo nauczycieli, żeby się bawić w bombiarza samobójcę. Wykonałem potężny skok. Potem znieruchomiałem, żeby mój gołąb nie zrobił na mnie kupy, ale przeleciał dalej. Zresztą nie mogę na pewno stwierdzić, że to ten mój, bo był za daleko. W Anglii ptasia kupa przynosi szczęście. Każdy to potwierdzi.

Ja: Nawet jak ci narobi na głowę?

Connor Green: Nieważne gdzie, byle na ciebie spadło. Może być wszędzie.

Ja: A jak do oka? A jak na usta i zjesz to?

Connor Green: To i tak na szczęście. Każde gównno to szczęście. Wszyscy to wiedzą.

Vilis: No to Harri musi być szczęściarzem, bo śmierdzi gównem.

*Asweh*, kiedy to powiedział, tak się wkurzyłem, że zrobiło mi się czerwono przed oczami. Chciałem go zniszczyć, ale w pobliżu kręciło się za dużo nauczycieli. Musiałem się powstrzymać.

Dean: Nie rozmawialiśmy z tobą, debilu. Idź kopać z matką kartofle.

Connor Green: Idź i pier... się z krową.

Vilis powiedział coś w swoim języku i uciekł prosto przez kałużę, psując nam zabawę. Następnym razem jak mnie obrazi, to mu skopię jaja.

Ja będę miał trumnę w kształcie samolotu. Trumna zmarłego chłopca była normalna, tyle że leżała na niej odznaka Chelsea. I tak wyglądała super. Cała jego rodzina bardzo się smuciła. Z powodu deszczu i tych wszystkich czarnych ubrań wydawało się, że jest ciemno. Nie było śpiewów.

Mama: Niech spoczywa w spokoju.

Mama cały czas ścisnęła mnie i Lydię. Nie wypadało powiedzieć jej, żeby przestała. Nie wypadało tańczyć, bo nikt nie tańczył, a poza tym na deszczu było zbyt ślisko. Nie wpuścili nas do środka, bo nie znaleźliśmy zmarłego chłopca tak dobrze. Musieliśmy czekać na zewnątrz. Niewiele dało się zobaczyć, bo tyle ludzi nam zasłaniało. Zauważyłem kamerzystę z telewizji. Pani, która nadawała wiadomości, cały czas przerywała, żeby sobie poprawić włosy. Trwało to całe wieki i było bardzo denerwujące. Chciałem, żeby się przymknęła, żebym mógł słyszeć przemówienia.

Ja: Ciekaw jestem, co będą grali?

Większy chłopak: Dizzee Rascala! Zagrają Suk My Dick, jasna sprawa.

Drugi większy chłopak: Znasz to przecież, koleś!

Pani od wiadomości telewizyjnych: Proszę powściągnąć język, my tu filmujemy, dziękuję.

Większy chłopak: Spróbuj to powściągnąć, zdiro!

Udał, że się łapie za siusiaka i że celuje nim w tę panią. Nawet nic nie widziała, bo się odwróciła. On się tylko wygłupiał. Nawet nie powiedział tego tak głośno, żeby słyszała.

Drugi większy chłopak: Kurde!

Tam, gdzie przedtem mieszkałem, niektórzy mieli specjalne trumny w kształcie różnych rzeczy. Musiało to być coś, co najbardziej za życia lubili. Jedna pani cały czas szyla, więc jej trumna była maszyną do szycia. Jak gość lubił piwo, to byłaby butelka piwa. Wszystkie widziałem. Trumna mówi ci, co dana osoba najbardziej lubiła. A raz trumna była taksówką. Umarł akurat Joe taksówkarz. Byłem na pogrzebie. Odniosłem właśnie butelki do Chaty Samsona i wracałem do domu, a jedna z pań od pogrzebu zaciągnęła mnie, żebym z nią tańczył. Ale się wszyscy bawili, masakra. Każdy mógł się przyłączyć. Ja nawet zapomniałem, że ktoś umarł.

Ja: Powinni mu byli zrobić trumnę w kształcie buta do piłki nożnej. Byłoby jeszcze lepiej.

Mama: Cicho, Harrison. Trochę powagi.

Ja: Przepraszam!

Ja bym chciał mieć trumnę-samolot, bo nigdy wcześniej takiej nie widziałem. Moja byłaby pierwsza.

•

Krew zmarłego chłopca już znikła, zmył ją deszcz. Nic się nie dało zrobić, żeby do tego nie dopuścić. Chciałem zobaczyć jego ciało, zwłaszcza oczy. Chciałem zobaczyć, czy były takie, jak miały tamte kurczaki i jakie marzenia w nich było widać, ale zanim przyszedłem, trumnę już zamknęli.

•

Wymknąłem się od Mamy i Lydii, nawet nie zauważyły, że mnie nie ma. Dean czekał na parkingu. Byliśmy teraz szpiegami. Obserwowaliśmy, czy w tłumie nie dzieje się coś podejrzanego. Ludzie mają takie rozbiegane oczy, kiedy coś ukrywają. Dean wiedział to z prawdziwych detektywistycznych seriali.

Dean: Czasem zabójca wraca, żeby zobaczyć pogrzeb, chce utrzcę nosa glinom. Jakby mówił: nie złapiecie mnie, tępe ciule. Jakby im pokazał środkowy palec. Ale on nie chce, żeby go złapali, taki głupi nie jest. Rozglądaj się za gośćmi w kapturach.

Ja: Wszyscy są w kapturach, leje jak z cebra.

Tak rzeczywiście było: jedyne co się dało zobaczyć, to mnóstwo kapturów, jak statki na morzu. Stali z tyłu, a z przodu kulili się pod parasolami ci, co naprawdę kochali zmarłego chłopca. Ciekaw jestem, czy otworzenie parasola w kościele przynosi podwójnego pecha. Pewnie tak. Pewnie padasz trupem od razu na miejscu. Przynajmniej byłbyś gdzie trzeba, mogliby ci od razu zrobić pogrzeb, zanim by się muchy do ciebie dobrały!

Dean: No dobra, a jakiego koloru ten gość miał kaptur? Nie, nie, wróć, już go się pozbył do tej pory. Niech pomyślę.

Ja: Już wiem, możemy się z wszystkimi przywitać i jak ktoś nie poda nam ręki, to znaczy, że coś ukrywa. Bo kto inny nie podałby ręki na pogrzebie? Po prostu podejmiemy do każdego, przekażemy wyrazy uznania i zobaczymy, kto się wykręci.

Dean: Wyrazy ubolewania, nie uznania.

Ja: Nieważne. Powiemy po prostu, że nam żal. Chodź, idziemy.

Wcisnęliśmy się na to miejsce z tyłu, gdzie stali dresiarze w kapturach. Palili

papierosy i odwracali się od kamery, żeby ich nie sfilmowano. Udawaliśmy, że jesteśmy oficjalnymi osobami witającymi gości i podchodziliśmy do każdego wzdłuż rzędu, ściskaliśmy im dłonie i mówiliśmy, jak nam żal. Ludzie przeważnie po prostu podawali nam rękę i też mówili, że im żal. Wiedzieli, że sprawa jest poważna i że trzeba okazać szacunek. Odbyło się to szybko i spokojnie.

Ja i Dean: Żal mi.

Dres: Żal mi.

Ja i Dean: Żal mi.

Kolejny dres: Żal mi.

Jedni byli czarni, inni biali. Niektórzy nawet gasili pety, zanim podali rękę, bo co mieli zrobić w takich okolicznościach. Tylko kilku z nich się wykręciło.

Ja i Dean: Żal mi.

Dziesiąty czy jedenasty dres: Jaja sobie robicie?

Ja: Nie, to są wyrazy współczucia.

Dean: Jakiś problem?

Dziesiąty czy jedenasty dres: Spier...j mała p...o.

Już mieliśmy wytypować go jako podejrzanego, ale to był rzeźnik i za gruby na zabójcę. On jest po prostu wredny do wszystkich. Zaraz potem musieliśmy przerwać, bo właśnie wynosili trumnę. Prawie ją upuścili, bo jeden z tych, co nieśli, był napity i mało się nie przewrócił. Wszyscy wstrzymali oddech, ale jakoś złapał równowagę. Pod koniec zrobiło się zamieszanie. Na rowerze nadjechał Killa. Nie mógł się przedostać przez parking pełen samochodów. Jechał zygzakiem między samochodami i pogrzeb prawie go rozjechał, zatrzymał się w ostatniej chwili. Killa poślizgnął się w deszczu i spadł z roweru.

Grabarz: Gdzie ty masz oczy! Patrz, gdzie jedziesz!

Myślałem, że dojdzie do draki, albo że przynajmniej Killa pokaże grabarzowi środkowy palec, a on tymczasem wsiadł z powrotem na rower i raz-raz odjechał. A potem znowu przejechał chwiejnie za samochodem wiozącym trumnę. Kwiaty na trumnie miały napis Syn i Na Zawsze. Ale wyglądało tak, jakby Na Zawsze już się skończyło. Jak gdyby ktoś zabrał Na Zawsze, kiedy chłopca zabili. To nie powinno było się wydarzyć. Dzieci nie powinny umierać, tylko starzy ludzie. Jakoś mnie to nawet zaniepokoiło, bo jeśli będę następny? Wyplułem resztę mojej Atomic Apple Hubba Bubba, gdybym ją połknął przez pomyłkę, kiszki by mi się posklejały.

Schody przed stołówką należą do Załogi Dell Farm. Nikomu innemu nie wolno tam usiąść. To najlepsze miejsce w całej szkole. Mają zadaszenie, więc nie mokną, kiedy pada, no i widać stamtąd całą szkołę, więc wróg nie może się tam podkraść. Tylko najstarsza, jedenasta klasa może podejść bliżej i to tylko wtedy, kiedy X-Fire kogoś z nich zaprosi.

Jak usiądziesz na schodach bez pozwolenia, dostajesz łomot. Nawet jeśli jest dosyć miejsca dla wszystkich, to nie jesteś właścicielem schodów. Jest nim Załoga Dell Farm. Wygrali schody na wojnie. I teraz należą do nich już na zawsze.

Nazywają się Załoga Dell Farm od Osiedla Dell Farm. X-Fire jest ich przywódcą, bo jest najlepszy w kosza i najlepiej się bije. Każdy to potwierdzi. On właśnie zaciukał najwięcej osób. Ukradł mi kiedyś torbę. Przechodziłem tylko tamtędy. Niczego się nawet nie spodziewałem.

Dizzy: Rzuć to na dach, koleś.

X-Fire: Potrzebna ci?

Ja: Tak.

X-Fire: A co zrobisz, żeby ją mieć?

Wszyscy patrzyli. Zatrzymałem się, chcąc ją odzyskać. Wiedziałem, że mu nie dosięgnę do wysoko wyciągniętego ramienia. Powiedziałbym nauczycielom, że nadleciał orzeł i porwał mi ją.

X-Fire: A z jakiego ty w ogóle jesteś kraju?

Ja: Z Ghany.

Dizzy: Gliny mają tam broń? Mają, co?

Clipz: Tam robią chaty z krowiego łajna, no nie? Widziałem.

X-Fire: Nie bądź chuj. On jest w porządku. Powiem tak: dostaniesz swoją torbę, jeśli zrobisz dla mnie jedną robotę.

Ja: Nie potrzebuję pracy. Pilnuję, żeby drzwi były zamknięte na wszystkie zamki i noszę cięższe rzeczy.

Killa: Co on gada? Śmieszny jesteś, człowieku.

Dizzy: Trzymasz z nami, nic ci się nie stanie. Jasne?

X-Fire trafia do kosza z paru mil. Zawsze celnie. Ja nawet nie trafiam, bo piłka do kosza jest za ciężka. Chyba wkładają do niej kamień, żeby cię oszukać. Tylko drybluję, a potem podaję do Chevona albo Braydena. Kiedy będę w jedenastej klasie<sup>[3]</sup>, będę miał takie potężne mięśnie jak X-Fire. Już teraz jestem najszybszy. Mogę też być najsilniejszy.

X-Fire oddał w końcu torbę. Co za ulga.

X-Fire: Spoko, Ghana. Masz problem, przychodzisz do mnie, jasne?



Ja nie chcę żadnych problemów, chcę tylko zjeść, zanim Manik mi wszystko ukradnie. Nie wolno jeść palcami, trzeba używać widelca, bo panie kucharki mogą cię wyrzucić. Czasem dalej używam palców, ale tylko żeby sobie nałożyć na widelec. Nikt mi nie zabroni, żyjemy w wolnym kraju.

•

Jedna pani, która mieszka w mieszkaniach dla nienormalsów, jeździ takim autem-fotelem. To właściwie fotel na kołach. Siedzi się na nim i prowadzi jak samochód, tylko zamiast kierownicy ma kierownicę roweru. Strasznie chciałbym się kiedyś tym przejechać. Tylko że wolno się tym jeździć.

Ona jechała na zakupy, a ja wracałem do domu. Ni z tego, ni z owego zjawilo się dwóch małych chłopaków. Nawet się tego nie spodziewałem. Wybiegli z przejścia dla pieszych i wskoczyli na tył tego jej auta. Widziałem na własne oczy. *Asweh*, kupa śmiechu. Uczepili się go i jechali tak całą drogę do sklepów.

Ta pani nawet ich nie знаła. Próbowwała ich odpędzić, ale w ogóle jej nie słuchali.

Pani z fotelowego auta: Ej, co to za zabawa? W tej chwili złażcie!

Ale nawet jej nie słuchali. Kiedy dojechali do sklepów, po prostu zeskoczyli i uciekli. Nawet nie podziękowali za podwiezienie. To była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

Sama sobie była winna. Ona nawet wcale nie jest chora. Normalnie rozmawia i w ogóle. To fotelowe auto jest jej tylko dlatego potrzebne, że nie może chodzić, bo jest za gruba.

Pani od fotelowego auta: Co się gapisz? Dlaczego nie powiedziałeś im, żeby przestali, co?

Nie odpowiedziałem. Odechciało mi się przejażdżki. Raczej wolałem zwiać, bo to szybciej i się nie oberwie.

Nie mam żadnej ulubionej kropli deszczu, wszystkie są równie dobre. Wszystkie są najlepsze. Tak w każdym razie uważam. Zawsze patrzę na niebo, kiedy pada. Masakra. Trochę to przerażające, bo deszcz jest tak wielki i szybki, no i boisz się, że ci napada do oczu. Ale trzeba mieć oczy otwarte, bo tylko wtedy wie się, jak to jest. Próbowalem śledzić jedną kroplę, całą jej drogę z chmury na ziemię. *Asweh*, to niemożliwe. Widzisz tylko deszcz. Nie da się śledzić pojedynczej kropli, jest za bardzo ruchliwa, a poza tym wszystkie inne krople deszczu się wpychają.

Najlepsze to biegać w deszczu. Jak wtedy wystawiasz twarz w górę do nieba, to prawie jakby się latało. Można zamknąć oczy albo mieć otwarte, jak kto sobie chce. Lubię jedno i drugie. Deszcz smakuje jak woda z kranu, tylko jest całkiem ciepły. Czasem ma metaliczny smak.

Zanim zaczniesz biec, musisz sobie znaleźć na świecie kawałek pustego miejsca, żeby nic nie przeszkadzało. Żadne drzewa, żadne budynki, inni ludzie. Wtedy na nic nie wpadniesz. Spróbuj pobiec prosto. Zwyczajnie biegnij tak szybko, jak się da. Z początku boisz się, że na coś się wpakujesz, ale nie pękaj. Po prostu biegnij. Całkiem łatwe. Deszcz ci spływa po twarzy, wieje wiatr, wydaje ci się, że biegniesz bardzo szybko. To orzeźwia. Podarowałem mój bieg zmarłemu chłopcu. To lepszy prezent niż gumowa piłeczka. Miałem oczy cały czas zamknięte i ani razu nawet nie upadłem.

Któregoś razu jechaliśmy z Lydią windą i winda się zepsuła. Zatrzymała się prawie na godzinę. To nawet było przerażające. Lydia wrzeszczała jak porąbana. Musiałem coś zrobić, żeby zupełnie nie ześwirowała i graliśmy w kamień, papier, nożyce. Kolejny raz uratowałem sytuację.

Lydia: Weź ty się! Wcale nie wrzeszczałam!

Ja: Właśnie, że wrzeszczałaś: zrób coś, żeby ruszyła, zrób coś, żeby ruszyła! Nie chcę tu utknąć!

Lydia: Zamknij się, Harrison. On kłamie.

Pokazywaliśmy Cioci Soni naszą windę. Ciocia Sonia mówi, że nie ma windy tam, gdzie mieszka, tylko same schody. To jakoś nie fair.

Ja: Na początku coś ci się przekręca w brzuchu. Ale nie wymiotujesz.

Lydia: Weź ty się! Ona widziała już przedtem windę. Była w Ameryce. Tam jeżdżą na setne piętro.

Ja: Co ty? Nie wierzę!

Ciocia Sonia: To prawda. Tam windy nazywają się elevators. Nawet uszy ci się w nich zatykają jak w samolocie.

Ja: Cool!

Ciocia Sonia była wszędzie. Poznała mnóstwo znanych ludzi. Raz ścieliła łóżko Willa Smitha (tego z filmu *Jestem legendą*). Nie ma ich w pokoju, kiedy się ścieli – czekają pod drzwiami. Czasem dają napiwek. Raz dali Cioci Soni dwadzieścia dolarów. A raz jeden gość hotelowy dawał Cioci Soni sto dolarów, żeby po prostu się z nim bzykała. Powiedziała nie, bo był paskudny. Mamę krew zalała, kiedy to usłyszała. Nienawidzi rozmów o bzykaniu.

Mama: Nie przy nich.

Ja i Lydia: Nam to nie przeszkadza!

Następnym razem, jak Ciocia Sonia pojedzie do Ameryki, to nam przywiezie owocowe spiralki. Najśłodsze ze wszystkich płatków śniadaniowych. Będę je jadł na śniadanie codziennie do końca życia.

Mama: To znowu się tam wybierasz? Dopiero co przyjechałaś.

Ciocia Sonia: To już sześć miesięcy.

Mama: I już znowu przebierasz nogami, żeby gdzieś jechać?

Ciocia Sonia: Nie chodzi tu o nogi.

Mama spojrzała na palce Cioci Soni, całe czarne i popękane. Trzeba było udawać, że się tego nie widzi, że wszystko jest w porządku. Moje ulubione słowo na dzisiaj to szuwaks. Mama i Ciocia Sonia rozgniatyły pomidory na sos palaver. Wyglądało to jak wyścig, która pierwsza je pozabija. *Asweh*, cieszyłem się, że nie

jestem pomidorem!

Mama: No i ona pyta Janette, czy są tu jakieś inne położne. A Janette pyta, o co chodzi. Wtedy ona mówi, że to jej pierwsze dziecko i czy ja się znam na tym, co robię. Mówi, że nie chce żadnych szuwaksów, co ledwo zeszły z łodzi.

Ciocia Sonia: Szuwaks? To coś nowego.

Mama: Jak Boga kocham. Powiedziałam, że nie zeszłam z łodzi, tylko przyleciałam samolotem. Tam skąd pochodzę mają samoloty. Nie powinnam była nic mówić. Musiałam ją przeprosić.

Ciocia Sonia: Jak to! Musiałś przeproszać? Ja bym ją wytargała za kudły. Powiedziałabym jej, że mam moce ju-ju, rzucam na nią klątwę i dziecko będzie miało dwie głowy. Pewnie by uwierzyła.

Mama: Nie wolno tak mówić, to byłoby nieprofesjonalne.

Ciocia Sonia: Szuwaks. Muszę to zapamiętać.

Ja: Co to jest szuwaks?

Mama przestała tłuc pomidory. Chciało się, żeby pouciekały, póki miały szansę. Ratuuj się, kto może!

Mama: Tak mówią na kogoś, kto jest nowy w szpitalu. Czasem, jak ktoś jest nowy, pacjentki nie mają pewności, że się nadaje do tej pracy. To po prostu znaczy ktoś nowy.

Ja: No ale dlaczego szuwaks? Nie rozumiem.

Mama: Nie wiem. Nie przeszkadzaj.

Ciocia Sonia: To od odgłosu, jaki wydają buty pielęgniarki. Kiedy są nowe, skrzypią na podłodze. Ten odgłos tak brzmi, i tyle.

Ja: No to dlaczego twoje buty nie robią tak tutaj?

Mama: To tylko działa na gładkich posadzkach.

Jakiś obłęd. Ale możliwe. Następnym razem, jak będę miał nowe buty, to spróbuję. Korytarze na piętrach mają całkiem gładziutkie podłogi. Założę się, że na nich będzie słyhać najbardziej super skrzyp na świecie.

Następnym razem to my pojedziemy do Cioci Soni. Mieszka w Tottenham, tam się jedzie metrem. Connor Green mówi, że policja w metrze ma pistolety maszynowe i jak uciekasz, to do ciebie strzelają. Na ten raz nie będę biegał i już. Dopiero jak dojadę na miejsce.

•

Jordan nie chodzi do szkoły. Zawiesili go, bo kopnął nauczyciela. Zawieszony

znaczy wyrzucony. Z początku nie wierzyłem w to, ale nawet jego mama mówi, że to prawda. Ona uważa, że to masakra. Mama Jordana pali czarne papierosy. Bibułka ma smak lukrecji. Jordan jest jaśniejszy ode mnie, bo jego mama jest *obruni*, biała. Mówiłem wam, wszystko tu jest porąbane!

Jordan: Moja mama próbuje mnie zapisać do innej szkoły, ale żadna mnie nie chce, no nie? Mi tam nawet nie zależy, stary, zresztą szkoła to syf.

Ja: To co teraz robisz?

Jordan: Gram na Xboksie. Oglądam DVD.

Ja: A twoja mama każe ci coś robić?

Jordan: Co ty! A twoja ci każe?

Ja: Czasami.

Jordan: Pedalstwo.

Ja: Tylko męskie prace. Zamykanie drzwi, pilnowanie, czy ktoś nie chce na nas napaść, takie rzeczy.

Jordan: I tak pedalstwo.

Pozdrowiliśmy rurę w zsypie (specjalna rura, przez którą lecą śmiecie. W środku jest metalowa i śmierdzi gównem, idzie całą drogę w dół do Piekła). Musimy za każdym razem pozdrowić ją na szczęście, taką mamy tradycję. Wsadzamy tam głowy i wrzeszczymy:

Ja i Jordan: **Kurde!**

I robi się super echo. Tylko nie można za głęboko wsadzać głowy, bo może cię wessać. Jordan wskoczył mi na plecy i próbował mnie zepchnąć do rury, ale się wywinąłem w porę. Potem musiałem przytrzymać drzwi windy, a Jordan tymczasem opluwał wszystkie guziki. Wychodził właśnie z windy, a Lil Stara Szluga wchodziła. Czekaliśmy, aż drzwi się zamkną. Słyszeliśmy ją, jak nacisnęła guzik, na który Jordan napluł. Nie wiedziała o ślinie.

Lil Stara Szluga: Cholera jasna!

Powiedziała cholera jasna! Ale śmiechu, dopiero potem się przestraszyłem. Lil Stara Szluga zabiła męża i zrobiła z niego pasztet. Każdy to potwierdzi. Właśnie od jedzenia ludzkiego mięsa ma takie szalone, kaprawe oczy.

Jordan: Cholera jasna cholera jasna! Głupi bękart!

Ja: Bękart!

Można mówić bękart, to po prostu oznacza kogoś, kto nie ma papy. Papa Starej Szlugi Lil umarł sto lat temu, więc to nawet nie jest kłamstwo. Kurde to tyle co kurczę.



Na plastyce Tanya Sturridge była nieobecna i Poppy siedziała na jej miejscu. A potem prawie obok mnie. Została tam całą lekcję, w ogóle nawet się nie odsunęła. Zrobiło mi się od tego gorąco. Nie mogłem się skupić, bo chciałem zobaczyć, co Poppy robi. Malowała sobie paznokcie. Używała zresztą farb do malowania obrazów. Przyglądałem jej się cały czas. W ogóle nie mogłem się powstrzymać.

Jeden paznokieć pomalowała na różowo, następny na zielono, kolejny znowu na różowo, taki wzór. Zajęło jej to bardzo dużo czasu. Malowała bardzo starannie, ani razu się nie pomyliła. Od samego patrzenia zachciało mi się spać. Wziąłem kolor włosów Poppy za wzór do mojego żółtego. Pani Fraser mówi, że natchnienie do obrazu mającego wyrażać nastrój może przyjść zewsząd, z otaczającego świata albo z naszego wnętrza. Mnie natchnęły włosy Poppy Morgan. Nie powiedziałem jej, bobym wszystko popsuł.

Teoria Koloru uczy nas, jak używać różnych kolorów do oznaczania różnych nastrojów, albo żeby coś opowiedzieć. Kolory mówią, jak się czujemy w środku. A to nie musi mieć kształtu, wystarczą same kolory. Nie musi niczego przypominać. Ja wybrałem zielony, żółty i czerwony. Żółty to słońce i włosy Poppy Morgan. Zielony to jak Agnes raczkowała na trawie na placu zabaw, zobaczyła konika polnego i chciała go złapać. Ale było śmiechu. Warto było zobaczyć jej buzię, kiedy konik odskoczył, była bardzo zdziwiona. W ogóle się tego nie spodziewała, w życiu. Kiedy siadł, znowu próbowała go złapać. Nie odpuszczała, po prostu dalej próbowała. W końcu złapałem go dla niej. Ścisnęła mu nogę. Najpierw ścisnęła zbyt mocno i prawie ją odłamała, ale potem tylko delikatnie i grzecznie jej dotykała. Jej paluszki są malutkie, ale jednocześnie tłuste. Kocham je najbardziej. Tylko dzieci mogą być jednocześnie malutkie i tłuste, takim to dobrze.

Czerwony to kolor krwi zmarłego chłopca. Nie wychodził mi wystarczająco ciemny, więc pomieszałem trochę z czarnym, po troszeczkę, stopniowo. Nadal nie wyglądał tak, jak miałem to w głowie. Nie mogłem utrafić. *Asweh*, można się było nieźle wnerwić.

Pani Fraser: Dziurę zrobisz w papierze, jak tak dalej pójdzie!

W końcu się poddałem. W oczach mi się mieniło, a Poppy dziwnie mi się przyglądała, jakby uważała mnie za debila. No to już wiedziałem, że pora odpuścić.

•

Wszędzie są jakieś ostrzeżenia. One są po to, żeby nam pomagać. Są bardzo śmieszne. Wysokie ogrodzenie przed szkołą ma groźne kolce, żeby odstraszyć złodziei. Jest tam znak:



*Asweh*, to bardzo śmieszne. W całej szkole pełno jest napisów, żeby wyłączyć komórki:



Connor Green: To dlatego, że wszyscy nauczyciele to roboty, a sygnał telefonów zakłóca ich obwody, jasna sprawa.

Nathan Boyd: Na tobie powinien być napis: Nie rozmawiać z nim. Grozi wysłuchiwaniem głupot.

Connor Green: Spier...

•

Nad rzeką znaleźliśmy jeszcze jedną głupią tabliczkę:



Kochamy ten napis. To nasz nowy przebój wszech czasów.

Ja: Wyzwijmy Nathana Boyda, żeby spróbował tej rzeżuchy.

Dean: Dobry pomysł. On tego za nic nie zrobi.

Rzeka za drzewami jest cała ciemna. Za mała do pływania, a woda jest kwaśna i jak się do niej wpadnie, to cała skóra się spali. Nad rurą od górien jest pomost, na którym zmieszczą się dwie osoby. Można sobie tam po prostu siedzieć i przyglądać się różnym rzeczom, jak płyną rzeką. Przeważnie to tylko patyki albo puszki albo papier. Kto pierwszy zobaczy ludzką głowę, dostaje milion punktów.

Rozglądaliśmy się za nożem, którym zabito zmarłego chłopca. To się nazywa narzędzie zbrodni. Jeśli je zobaczymy, to wyłowimy i zaniesiemy na policję.

Ja: Miej oczy otwarte, ono może być wszędzie.

Dean: Przyjąłem rozkaz, kapitanie.

Teraz już byliśmy prawdziwymi detektywami. Jest to misja osobista. Któregoś razu zmarły chłopiec powiedział nawet łobuzom, żeby mi dali spokój, kiedy wyśmiewali się ze mnie, że noszę schładzaczki kostek (tak się mówi, jak ktoś ma za krótkie nogawki od spodni). Ja go nawet nie prosiłem, po prostu mi pomógł, tak sobie, bez powodu. Po tym wszystkim chciałem się z nim zaprzyjaźnić, ale zanim to się stało, zabili go. Dlatego teraz ja muszę mu pomóc, był moim przyjacielem, chociaż o tym nie wiedział. Moim pierwszym przyjacielem, który został zabity i tego bólu się tak łatwo nie zapomina. Na narzędziu zbrodni będą odciski palców i krew. Gdybyśmy je znaleźli, moglibyśmy, jak mówi Dean, zidentyfikować zabójcę. On widział wszystkie seriale.

Dean: A jeśli pomożemy złapać zabójcę, to dostaniemy nagrodę, nie?

Ja: Ile?

Dean: A bo ja wiem? Patyka. Może więcej.

Patyk to tysiąc. Brzmiało to jakoś za dużo. Gdybym dostał patyka, to bym



kupił bilet dla Papy i Agnes i Babci Amy i jeszcze by zostało na prawdziwą skórzaną piłkę nożną, taką, co nie odfrunie.

Ja: Dalej się rozglądajmy. Zdecydowanie tędy szedł.

Dean: Jesteś pewien, że to był nóż?

Ja: Tak! Był taaaaki wielki.

Pokazałem mu, jaki długi.

Dean: Okej, szefie (Tak mówią detektywi. Po prostu taka zasada.)

Jeśli zabójca wrzucił nóż do rzeki, to już pewnie jest w morzu. Może być teraz za późno. *Asweh*, ile nerwów. Nie chciałem, żeby mu się upiekło. Przestaliśmy się odzywać do siebie, żeby lepiej się szukało.

W rzece nawet nie ma ryb. Zrobiło mi się naprawdę smutno. Ryby powinny być, nawet jeśli nie są smaczne. Nie ma też już kaczek, dzieciaki pozabijały je śrubokrętem, a małe kacuszki rozdeptały. Nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni. Zobaczyliśmy tylko koło od roweru, całe zardzewiałe i pogięte. Następnym razem przyniesiemy latarki i rękawice do grzebania w najbardziej kłujących chwastach.

---

[1] *Asweh* – „jak słowo daję” w slangu używanym przez Brytyjczyków pochodzących z Ghany [przyp. tłum.].

[2] *Adjei* – okrzyk wyrażający zgrozę lub zdumienie, w slangu używanym przez Brytyjczyków pochodzących z Ghany [przyp. tłum.].

[3] Obowiązek szkolny w Wielkiej Brytanii obejmuje dzieci w wieku 5-16 lat [przyp. tłum.].

**Kwiecień**



Pralnia samoobsługowa to takie miejsce, gdzie są same pralki. Jest na dole, w Luksemburgu. Pralki nie należą do jakiejś jednej osoby, są dla wszystkich ludzi z osiedla. Płaci się pralkom pieniądze, żeby je uruchomić. Każda jest taka wielka, że w środku zmieści się człowiek. Zamierzam kiedyś spróbować. Zamierzam w niej spać, to jedna z moich ambicji wszech czasów.

Można używać każdej z tych pralek, nie musi to być za każdym razem ta sama. Moja ulubiona to ta, co stoi najbliżej okna. Ktoś na niej napisał wiersz:

*Kręcą się, kręcą te moje śmiecie,  
Gdzie staną, tego sami nie wiecie.  
Kręcą się, kręcą moje galoty,  
Wspaniały hamak na moje klejnoty.*

Musieliśmy udawać, że go nie widzimy, bo Mama kazałaby nam używać innej maszyny.

Ubrania piorą się całymi godzinami. Gramy z Lydią w taką grę. Śledzimy ubrania, jak się kręcą w innych pralkach. Kto zobaczy majtki, ma sto punktów. A jak stanik, to tysiąc. Trzeba być bardzo cicho, kiedy je widzimy, żeby Mama nie dowiedziała się o naszej grze. Trzeba wykrzykiwać szeptem.

Ja: Majtki!

Lydia: Gdzie?

Ja: Tam, patrz! Te białe.

Lydia: To te same!

Ja: Nie, tamte były w kwiatki. Te są całe białe, spójrz. Sto punktów!

Lydia: Nie ściemniaj!

A raz widziałem parę butów kowbojskich. Różowych. Jedna pani prała je w pralce! To była dopiero masakra. I milion punktów. Lydia nie ma już ze mną szans.

Nikt już nie zobaczy różowych butów kowbojskich, nigdy w życiu.

•

Altaf jest bardzo spokojny. Tak naprawdę to nikt go nie zna. Nie powinno się rozmawiać z Somalijskimi, bo to są piraci. Każdy to potwierdzi. Jak się z nimi rozmawia, można się wygadać i dać im cynk, gdzie się trzyma skarb i ani się obejrzyysz, a uduszą ci żywcem żonę, a ciebie rzucą rekinom na pożarcie. Ani ja,

ani Altaf nie chodzimy na wiedzę o religiach. Mama nie chce, żebym się uczył o fałszywych bogach, mówi, że to strata czasu, a mama Altafa też tak uważa. Zamiast na wiedzę o religiach chodzimy do biblioteki. Powinniśmy się tam uczyć, ale przeważnie czytamy książki. Ja pierwszy do niego zagadałem. Po prostu chciałem wiedzieć, co Altaf myśli. Czy wolałby być robotem, czy człowiekiem.

Ja: Ja uważam, że lepiej być człowiekiem, bo człowiek może jeść różne dobre rzeczy. Roboty nigdy nie dostają nic do jedzenia, nie potrzebują jedzenia.

Altaf: Ale robot ma lepiej, bo go nie można zabić.

Ja: To prawda.

W końcu obaj zdecydowaliśmy, że wolelibyśmy być robotami.

Altaf ma zamiar projektować samochody, kiedy dorośnie. Powinniście zobaczyć jego rysunki, naprawdę klasa. Zawsze rysuje samochody i różne wariackie rzeczy. Narysował terenówkę z karabinem maszynowym zamocowanym z tyłu.

Altaf: To na wroga. To jest specjalny karabin maszynowy. W nim nigdy nie zabraknie naboju. Szyby i karoseria są kuloodporne. Może po nim przejechać czołg i go nie zgniecie.

Ja: Fajny! Jeśli wyprodukują taki samochód, to zdecydowanie go kupię!

Nie wydaje mi się, żeby Altaf miał zostać piratem, nawet nie umie pływać. Boi się wody, nawet z pływaczkami na ramionach.

•

Mama nie lubi telewizyjnych show, mówi, że tam za dużo srotu-tutu. Jej jedyny ulubiony program to wiadomości. W wiadomościach codziennie ktoś ginie. Prawie zawsze jest to dziecko. Czasem zaciukane jak ten zmarły chłopiec, czasem zastrzelone albo rozjechane przez samochód. Któregoś razu małą dziewczynkę zjadł pies. Pokazali zdjęcie psa i wyglądał zupełnie jak Harvey. Dziewczynka pewnie ciągnęła go za ogon. Psy atakują tylko tych ludzi, którzy są dla nich okrutni. Ktoś powinien był jej powiedzieć, żeby nigdy nie ciągnęła psa za ogon, one tego nie lubią. Nikt jej nie powiedział i dlatego nie żyje.

Mama najbardziej lubi, jak ginie właśnie dziecko. Wtedy się modli najzarliwiej. Modli się naprawdę żarliwie i tak mocno cię ściska, aż się boisz, że pęknie. Dorośli lubią smutne wiadomości, bo mają wtedy coś specjalnego, za co się mogą pomodlić. Dlatego wiadomości są zawsze smutne. Nie znaleźli jeszcze zabójcy zmarłego chłopca.

Reporter: Policja nadal apeluje do świadków o zgłaszanie się.

Ja: Jak myślisz, jak wygląda zabójca?

Mama: Nie wiem. To może być każdy.

Ja: Jak myślisz, jest czarny czy biały?

Mama: Nie wiem.

Ja: Założę się, że to jeden z ćpunów z pubu.

Mama: Skąd ci to przyszło do głowy? Lydia, po co mu opowiadasz takie rzeczy?

Lydia: Co? Nic mu takiego nie mówiłam!

Zabójcy wszędzie na świecie są tacy sami, nigdy się nie zmieniają. Mają małe świńskie oczka i palą papierosy. Czasem mają złote zęby i pajęczyny wytatuowane na szyjach. Oczy zawsze przekrwione. Ciągłe spluwają i czerpią siły z ciemności. W pubie na pewno jest pełno morderców, ale my będziemy szukać tego jednego, który zabił zmarłego chłopca, tylko jego znaleźliśmy. Gdyby nam się udało złapać mordercę, to byłoby tak, jakby odzyskać Na Zawsze. Byłoby tak, jak wtedy, kiedy wszystko gra, jak powinno grać. Poczekam na Deana, pójdzie ze mną, żebym miał wsparcie. Detektywi pracują tylko parami, bo wtedy jest bezpieczniej.

Jeśli zaatakuje cię pies, to najlepiej wsadzić mu palec w zadek, żeby go powstrzymać. Tam w jego zadku jest tajemny wyłącznik i kiedy go dotkniesz, pysk się automatycznie otwiera i puszcza to, co gryzie. Connor Green nam mówił. Więc zaraz wszyscy zaczęli go nazywać zboczek, bo nic, tylko chodzi i pakuje palec w psie zadki.

Kyle Barnes: Zboczek!

Brayden Campbell: Pies cię je...

Nathan Boyd potrafi trzymać w ustach trzy ciągutki naraz. Wszyscy wiedzą, że jeśli się połknie jedną, to się umiera, ale on nawet nic sobie z tego nie robi. Nathan Boyd nie boi się niczego. Zawsze się staramy wymyślać dla niego coraz większe wyzwania. Kolejne musi być zawsze trudniejsze od poprzedniego.

Kyle Barnes: Wyzywam cię, żebyś przebiegł naokoło szkoły i wołał włochate jaja.

Ja: Wyzywam cię, żebyś wyrzucił czyjś długopis przez okno.

Connor Green: Wyzywam cię, żebyś polizał tę łyżkę do cracka.

Łyżka leżała na trawie obok głównej bramy. Cała była powyginana i nadpalona. Najobrzydliwsza łyżka na świecie.

Connor Green: Masz ją całą włożyć do ust i ssać.

Nathan Boyd: Nie będę jej ssał, jest na niej crack.

Kyle Barnes: Ciota.

Nathan Boyd: Odpier... się. Czy mogę ją najpierw wytrzeć?

Connor Green: Nie, ma być taka, jak jest.

Nathan Boyd: Sam sobie ją possij. Jesteś przyzwyczajony do ssania kutasów.

Kyle Barnes: Nie pękaj teraz. Chcesz, żeby cię wyzwać, a potem pękasz.

Ja: Sam się prosiłeś.

Nathan: No to ch...

Nathan polizał łyżkę. Porządnie jeden raz, a potem ją wyrzucił. Myślałem, że się porzyga, ale nic.

Kyle Barnes: W ogóle nie possałeś, to było tylko liźnięcie.

Nathan Boyd: To sam sobie ssij.

Nikt inny nie ssałby tej łyżki. Nikt by jej nawet nie dotknął. Nathan Boyd jest najodważniejszy w naszej klasie. To jest nawet oficjalne. Ale nawet Nathan Boyd nie odważyłby się włączyć alarmu przeciwpożarowego. Kiedy alarm włącza się na serio, strażacy przyjeżdżają do pożaru. Nawet jeśli się nie pali, to i tak muszą sprawdzić. Jeśli alarm jest fałszywy i znajdą sprawców, to ich wsadzają do więzienia. Włączenie alarmu jeśli nie ma pożaru jest przestępstwem, bo kiedy strażacy wszystko sprawdzają, to gdzie indziej może być prawdziwy pożar i ktoś mógłby zginąć.

X-Fire: Na pewno jesteś na to gotowy? Nie musisz tego robić, do tego trzeba mieć jaja.

Gdybym należał do Załogi Dell Farm, to Vilis nie mógłby mnie więcej obrażać. Gdybym chciał się zamienić z kimś adidasami, to ten ktoś musiałby się zgodzić, a potem nie byłoby już zamiany z powrotem. Oddałem swoją bułkę Manikowi.

Wyszedłem pierwszy. Parę osób siedziało w bibliotece, ale korytarz był pusty.

X-Fire: Tylko stłucz szybkę, jasne? Łatwe, bo to plastik.

Ja: Ale co będzie, jak się nie stłucze za pierwszym razem?

Dizzy: Próbuj dalej, aż stłuczesz. Musimy wiedzieć, czy się nadajesz.

X-Fire: Będziemy cię osłaniać, jasna sprawa. Powiem ci, jak ktoś będzie szedł.

Najlepiej jest zrobić to kantem dłoni, nie pięścią. Nie mogę uciec, dopóki alarm się nie odezwie. Zrobiło się jakoś bardzo cicho. Czułem, jak serce wali mi jak bęben, w ustach miałem smak metalu. Jacyś ludzie akurat przechodzili. Musiałem poczekać aż sobie pójda. Szybko, szybko! Raz-raz! Chciało mi się siku, ale nie było czasu.

X-Fire i Dizzy czekali przy drzwiach.

X-Fire: Dalej! Rusz się!

Walnąłem w alarm. Całkiem mocno, ale szybka nie zbiła się. Tylko mi coś się zrobiło z ręką. Próbowałem przycisnąć szybkę kciukiem, ale wszystko na nic. Przydałby się młotek. Chciałem uciekać. Rozejrzałem się szukając pomocy, ale X-Fire'a ani Dizzy'ego już nie było, z daleka słyszałem tylko ich śmiech.

Dizzy: Ciota!

Wkurzyłem się. Jeszcze raz walnąłem w szybkę. Na nic. Po prostu nie miałem siły. Chciałem uciec, zanim ktoś mnie zobaczy. Pobiegłem w dół po schodach. Nogi miałem jak z waty. Myślałem, że się przewrócę, ale się nie zatrzymywałem. Biegłem całą drogę po schodach i pod kładką do pawilonu przedmiotów humanistycznych. Zdążyłem do toalety. Byłem bezpieczny. Brzuch strasznie mnie bolał. Pewnie ci z Załogi Dell Farm są teraz moimi wrogami. Tak to jest, jak się zawali misję. *Adjei*, mam za słabe ręce do wszystkiego!

Pan Frimpong śpiewa najgłośniej z całego kościoła, chociaż jest najstarszy. Ma głos najmocniejszy z nas wszystkich. Po prostu chce, żeby Pan Bóg jego pierwszego usłyszał.

To nawet nie jest fair. Bo jeśli on tak głośno śpiewa, to może się zdarzyć, że Pan Bóg nie usłyszy nikogo innego. Wtedy panu Frimpongowi dostaną się wszystkie łaski przeznaczone dla innych. Jak się zastanowić, to nie jest fair. On się okropnie poci, bo zawsze chodzi zapięty na ostatni guzik i w krawacie.

Lydia: Pewnie się kąpie w krawacie.

Ja: Więcej szacunku!

Lydia: Zamknij się, lizusie!

Pan Frimpong tak się spocił, że aż upadł. Zasnął i w ogóle. Wszystkie panie rzuciły się na wyścigi, żeby mu pomóc. Pastor Taylor musiał uderzyć go w twarz, żeby go obudzić. Kiedy się obudził, panie powiedziały Chwała Bogu. Ale myślę, że to sam Pan Bóg sprawił, że pan Frimpong zasnął. Pewnie miał już dosyć jego śpiewów, bo są za głośne.

To dlatego wstawili kraty na okna. Nie po to, żeby łobuzy nie rzucały kamieniami, tylko żeby szyby nie powypadały od śpiewu pana Frimponga.

Odmówiliśmy znowu modlitwę za mamę zmarłego chłopca i jeszcze jedną za policję, żeby Pan Bóg dał jej dar przenikliwości i żeby złapała zabójcę.

Ja: Co to jest przenikliwość?

Pastor Taylor: To oznacza mądrość. Wielki dar od Boga.

Pan Tomlin jest chyba najmądrzejszą osobą, jaką znam. On jest od przedmiotów ścisłych. Umie zrobić baterię z cytryny. Nawet nie ściemniam, naprawdę to zrobił: bierze się po prostu monetę jednopensową, wbija się w jeden koniec cytryny, a gwóźdź w drugi. Moneta i gwóźdź są przewodnikami. Przewodniki wytwarzają napięcie i powstaje elektryczność. Jak połączyliśmy razem cztery cytryny, to wystarczyło energii, żeby zapaliła się żarówka. Coś niesamowitego. Wszyscy klaskali i wołali hurra. Gdyby pan Tomlin pracował w policji, błyskawicznie złapaliby zabójcę.

•

Modliłem się o przenikliwość, żeby zadawać właściwe pytania. Dean w to nie wierzy, więc modliłem się za nas obu.

Dean: Czy możesz też się pomodlić, żeby nas nie skopali?

Ja: Nic nam nie będzie, spokojna głowa. Dzisiaj nas nie zabiją, bo są zbyt



zajęci chlaniem.

Przesłuchiwanie podejrzanych zawsze wiąże się z ryzykiem, ale taka to praca. Jeśli człowiek ma się cały czas bać, to detektyw z niego nie będzie, niech lepiej odda odznakę i wraca do domu. Z pubu jechało na zewnątrz tak, jakby rozlało się tam piwo z całego świata. Próbowaliśmy wstrzymać oddech, żeby się nie upić (zakłóciłoby to nam ocenę sytuacji, tak mówi Dean). Każdy, kto tam wchodził albo stamtąd wychodził, mógł być zabójcą. Wszyscy oni patrzyli na nas jak głodne wampiry. Staliśmy po prostu przy drzwiach. Póki staliśmy jedną nogą na chodniku, byliśmy bezpieczni.

Dean: Kogo właściwie szukamy?

Ja: Nie wiem. Wydaje mi się, że był czarny, ale nie jestem pewien. Widziałem tylko jedną rękę, kiedy sięgał po nóż. Mógł mieć rękawiczkę. Byłem dość daleko.

Dean: Zaczniemy wobec tego od czarnych. Ten?

Ja: Nie, za wysoki. Nasz był niższy.

Dean: Dobra! A ten?

Gość stał przy automacie z owocami (nie ma w nim owoców, to tylko taka gra w pubie. Wrzuca się do maszyny trochę pieniędzy i wszystkie światełka błyskają). Nie miał żadnych tatuaży z pajęczyną, ale miał kolczyk w uchu i śmierć w oczach, jakby chciał wszystkich zniszczyć. Szarpał maszyną, żeby światełka się zapaliły i przeklinał. Zabójcy zawsze są porywczy.

Ja: Możliwe. O co go zapytamy? Ty to zrobisz?

Dean: Nie bądź debilem, nie można wprost pytać. Trzeba go na czymś przyłapać. Spytać go, czy znał ofiarę i zobaczyć, co robi z oczami. Jeśli odwróci wzrok, to znaczy, że jest winny.

Ja: Zapytasz go? Będę cię osłaniał.

Dean: Ja nie zapytam. To był twój pomysł, ty go pytaj.

Ja: Nie wejdę tam. Poczekam, aż wyjdzie.

Dean: Wiedziałem, że tak powiesz. Nie będę tu sterczał cały dzień.

Ja: No to idź i spytaj go.

Dean: Za chwilę. Zobaczymy tylko, co najpierw zrobi. Nie pozwól, żeby zauważył, że go śledzisz. Chcemy, żeby zachowywał się naturalnie.

Stanęliśmy znowu za drzwiami i zajrzeliśmy przez szybę do środka. Zabójca skończył grać na automacie z owocami i kupił sobie następne piwo. Inni goście pili albo wysyłali esemesy albo po prostu patrzyli na cycki pani barmanki, chociaż była stara i wyglądała jak strach na wróble. Cały czas czuliśmy smród piwa i dostawaliśmy od tego świra. Dean wiercił się od tego smrodu jakby miał

robaki. Kiedy podejrzany wyszedł, z trudem powstrzymaliśmy się, żeby nie uciec. Nie można pokazywać strachu, wyczuwają go jak osy.

Podejrzany: Co tam chłopaki, szukacie kogoś?

Dean: Czekamy tylko na mojego tatę.

Podejrzany: Lepiej tu się nie kręćcie, za dużo tu różnych dupków.

To był taki numer. Chciał się nas pozbyć, zanim się zdradził. Zapalił papierosa: jeszcze jeden widomy znak!

Ja: Znał pan chłopca, który umarł?

Podejrzany: Co?

Dean: Tego zadźganego nożem. To był jego kuzyn.

Podejrzany: Nie, nie znałem.

Ja: A wie pan, kto to zrobił?

Podejrzany: Chciałbym wiedzieć. Te pier... dzieciaki, powinno się je topić zaraz po urodzeniu.

Dean: Skąd pan wie, że to zrobił dzieciak?

Podejrzany: To zawsze są dzieciaki, jasna sprawa. Trzymajcie się chłopcy z dala od tego całego gówna, zawsze się tak samo kończy. Nie dajcie się, jasne?

Ja: Nie damy się.

Dym papierosa wchodził nam do oczu. To też była sztuczka: tak nas oślepić, żebyśmy nie mogli podjąć żadnego tropu. Mówię wam, oni są bardzo sprytni. W końcu musieliśmy się poddać.

Dean: Nikt nam nic nigdy nie powie. Jak tylko się zorientują, że są przesłuchiwanie, to zaraz gęba na kłódkę. Niczego nie załatwimy pytaniami, musimy sami go zdemaskować.

Ja: Jak?

Dean: Obserwacja i dowody, to jedyny sposób. W stylu CSI, badanie śladów na miejscu zbrodni, odciski palców, DNA. Tylko to się liczy, takie gówno nigdy nie kłamie.

Zrobiłem mądrą minę, jakbym wiedział o czym mowa. Dean to ma łeb, bo widział te wszystkie seriale. Zmyłem z siebie zapach piwa, zanim Mama wróciła z pracy do domu. Ona mówi, że mężczyzna, który śmierdzi piwem, sam się prosi o kłopoty.

*Przemoc zawsze przychodziła ci łatwo, na tym to polega. Zawsze sprawiała ci przyjemność. Pamiętasz, jak pierwszy raz rozdeptałeś mrówkę, a tupnięcie malca zamieniło ruch w bezruch, terażniejszość w przeszłość? Czyż to nie było rozkosznie niezdrowe objawienie? Taka moc w stopach i taka pokusa w zasięgu ręki. Musiałbyś się zdobyć na akt miłosierdzia, żeby wyrzec się tych wszystkich dobrych rzeczy. Musiałbyś być czymś więcej, niż po prostu jednym z wynalazków mściwego boga.*

•

Kyle Barnes wbił Manikowi w nogę cyrkiel. Manik wrzeszczał jak baba, chociaż nawet krew mu nie leciała. Wszyscy się śmiali.

Manik: Po co to zrobiłeś?

Kyle Barnes: Po to, żebyś tak wrzeszczał.

Kyle Barnes znowu go dziabnął. Manik znowu wrzasnął. Zupełnie jak zarzynana świnia. To było tak, jakby cyrkiel był widelcem, a Kyle Barnes badał, czy Manik jest już dość miękki i nadaje się do jedzenia. *Asweh*, bardzo śmiesznie to wyszło. Kyle Barnes uwielbia, kiedy przychodzą do nas nauczyciele na zastępstwo. Przeważnie wcale nas nie uczą, tylko czytają gazetę. Wtedy właśnie Kyle Barnes dopada cię z tym swoim cyrklem. Nie można dać się ciuknąć, ale nie wolno wstać z krzesła. Naprawdę trudna sprawa. Ja zostałem ciuknięty chyba ze trzy razy. Tak naprawdę nie bardzo boli, ale jest to wariacka niespodzianka. Krew nigdy nie leci.

Najlepszą bronią byłby parasol, który naprawdę jest zatrutym pistoletem. Myślisz, że to tylko parasol, a tymczasem on strzela zatrutymi nabojami ze szpikulca. Rozmawialiśmy, jakie są najlepsze rodzaje broni.

Kyle Barnes uważa, że najlepszy jest AK-47.

Dean uważa, że kastet z ekstra długimi kolcami.

Chevon Brown uważa, że najlepszą bronią jest kusza. Ale trzeba być bardzo silnym, żeby strzelać z niej, bo jest ekstra ciężka. Strzała nazywa się bełt. Bełty są dłuższe od człowieka.

Brayden Campbell: Nie umiałbyś strzelać z kuszy. Nawet byś jej nie podniósł.

Chevon Brown: Pier... się. Ty nie umiałbyś strzelać nawet z AK-47. Odrzut by ci łeb urwał.

Brayden Campbell: Bzdura. Mógłbym z jednej ręki.

Ja z Deanem: Sranie w banie!

Ja z Deanem: Raz dwa trzy moje szczęście!

Od razu powiedzieliśmy raz dwa trzy moje szczęście. Zły urok nas w ogóle nawet nie dosięgnie.

Znam już teraz prawie wszystkie zasady. Jest ich ponad sto. Jedne mają cię chronić od niebezpieczeństwa. Inne są tylko po to, żeby nauczyciele mogli cię kontrolować.

A jeszcze inne są po to, żeby koledzy wiedzieli, po czyjej jesteś stronie. Jeśli trzymasz się tych zasad, wiedzą, że mogą ci ufać i wtedy wolno ci z nimi wszędzie łączyć. Jedna zasada jest taka, że jeśli ty i kolega równocześnie coś powiecie, to trzeba zawołać raz dwa trzy moje szczęście, bo inaczej wisi nad tobą przekleństwo. Jeśli nie powiesz raz dwa trzy moje szczęście, to na drugi dzień zesrasz się w gacie.

•

## **NIEKTÓRE ZASADY, KTÓRYCH SIĘ NAUCZYŁEM W NOWEJ SZKOLE:**

Nie biegać po schodach.

Nie śpiewać w klasie.

Zawsze podnosić rękę, zanim o coś zapytasz.

Nie połykać gumy do żucia, bo może się przykleić do kiszek i wtedy się umiera.

Jeśli wskakujesz do kałuży, to jesteś debilem (z tym akurat wcale się nie zgadzam).

Jeśli omijasz kałuże, to jesteś babą.

Kto wchodzi ostatni, zamyka drzwi.

Kto pierwszy odpowiada na pytanie, kocha się w nauczycielu.

Jeśli jakaś dziewczyna spojrzy na ciebie trzy razy pod rząd, to znaczy, że się w tobie zakochała.

Jeśli wtedy na nią spojrzysz, to ty jesteś w niej zakochany.

Kto poczuł, ten wytoczył.

Kto potwierdził, ten się spierdził.

Kto powtórzył, ten się skurzył.

Kto poradził, ten się skadził.

Kto przypuszczał, ten wypuszczał.

Kto wydziwiał, ten popierdywał.

Kto mędrkował, ten gazował.  
(Chodzi po prostu o puszczenie bąków.)

Jeśli spojrzysz w odwrotną stronę lustra, zobaczysz diabła.  
Nie jedz zupy. Panie kucharki nasikały do niej.  
Nie pożyczaj Rossowi Kelly długopisu. On sobie wydłubuje nim z dupy bobki.  
Trzymaj się lewej strony (wszędzie). Prawa to strefa zakazana.  
Schody biblioteki są bezpieczne.  
Kto ma pierścionek na małym palcu, ten jest gejem.  
Kto ma bransoletkę na kostce u nogi, ten jest lesbijką (bzyka się z innymi paniami).

Jest jeszcze więcej, ale wyleciały mi z głowy. Sranie w banie znaczy, że się nie wierzy. To tak jakby nazwać kogoś kłamcą.

•

X-Fire nie chciał nas przepuścić. Czekali pod stołówką. Stali tam wszyscy nieruchomo i zagradzali nam drogę. Nie wiadomo było, czy to taki kawał, czy naprawdę.

Dizzy: No co tam, cioty?

Clipz: Słyszałem, że oblałeś pierwszy test. No, koleś, cienko!

Chciałem być bombą. Chciałem ich wszystkich rozwalić. Miałem na to ochotę. Czekałem, aż się roześmieje, ale twarz miał zaciętą, więc wcale nie żartował. Jakbyśmy byli wrogami.

X-Fire: Nie przejmuj się, Ghana. Następnym razem wymyślę ci coś łatwiejszego, będzie okej. A ty rudzielec, co tam masz?

Dean zeszywniał. Zrobiło mi się zimno w brzuchu.

Dean: Nic nie mam.

Dizzy: Nie okłamuj nas, koleś. Co masz w kieszeniach? Pokaż.

Nie mogliśmy się ruszyć. Musiał im pokazać, bo inaczej nigdy by nas nie przepuścili. To w ogóle nie było fair.

Dean: Mam funta, i nic więcej. Jest mi potrzebny.

Dizzy: Taaa, wypadki chodzą po ludziach, jasna sprawa.

Zabrał Deanowi tego funta. Nic się nie dało zrobić, żeby mu przeszkodzić. Dean wyraźnie bardzo posmutniał. Powinien był po obiedzie schować go

z powrotem do skarpetki. Chciałbym mieć funta, ale Mama zawsze odlicza mi pieniądze i nie zostaje żadna reszta.

Dean: K... mać, człowieku.

Dizzy: Nie stawiaj się, gnojku, bo cię strzełę.

W końcu nas przepuścili. Żał mi było Deana, że mu ukradli funta, ale z drugiej strony właściwie podobało mi się. Chciałbym, żeby robili to, co im każe. Gdybym był dużą rybą, wszystkie małe rybki bałyby się mnie. Na mój widok schodziłyby mi z drogi i miałbym dla siebie całe morze i wszystko, co tam jest do jedzenia. Pozwoliłbym tylko ulubionym małym rybkom pracować dla mnie, jak na przykład, kiedy ryba pilot zjada morskie śmiecie z rekina, żeby mu nie zapychały skrzeli. (Czytałem o tym w mojej książce o zwierzętach głębinowych, tylko 10 pensów na targu.)

Ja: To tylko dlatego, że jestem czarny. Gdybyś był czarny, ciebie też przyjęliby do gangu.

Dean: Nie chcę być w ich głupim gangu, oni tylko okradają ludzi. Nie zadawaj się z nimi, to przygłupy.

Ja: Ja tylko tak udawałem, żeby nas za bardzo nie sponiewierali.

Dean: Nienawidzę ich, człowieku.

Ja: Ja też.

Ktoś wyrzucił na skwer stary materac. Pełno dzieciaków już tam się bawiło. Powiedzieliśmy im, żeby spadały.

Dean: Spieprzać stąd, bo wam nakopiemy!

Pozwoliliśmy tym dzieciakom przyglądać się. Ja zrobiłem z dziesięć przewrotek, a Dean może pięć. Prawie jak na prawdziwym batucie. Naprawdę wysoko mi się udało. Tylko ja prawie zrobiłem podwójne salto. Niektóre dzieciaki krzyczały i klaskały. No, była masakra. Zostaliśmy tam bardzo długo. Można nawet zapomnieć o głodzie, bo tylko się myśli, żeby za każdym następnym razem udało się skoczyć wyżej.

Postanowiliśmy zostać właścicielami materaca. Bralibyśmy za skakanie po 50 pensów od dzieciaka. Dean to wymyślił.

Dean: Musimy ustalić jednak pewne zasady. Najwyżej dwie osoby naraz i trzeba zdjąć buty.

Mieliśmy zamiar zarobić milion. Wtedy pojawili się Terry Nawynos z Asbo i Asbo natychmiast załatwił się, zalewając cały materac. Więc już się nie miało ochoty po nim skakać.

Ja: Asbo, niedobry piesku! Myśmy go używali!

Terry Nawynos: Przepraszam, chłopcy! U psa jak mus, to mus!

•

Zbudowałem naprawdę mocny dach nad sklepem Papy. Papie wyraźnie bardzo się podobał. Powiedział, że dach przeżyje nas obu razem wziętych. Będzie chronił wszystko przed deszczem, a Papie będzie przyjemnie rześko, kiedy świeci słońce. Zbudowaliśmy go z blachy aluminiowej i drewna. Papa zrobił drewniany szkielet dachu, a na to położyliśmy blachę aluminiową. Ja wbijałem bolce. Pomógł mi tylko przy pierwszym, z resztą już sam sobie poradziłem. Nic trudnego. Kiedy pada deszcz, hałas robi się potężny. Deszcz się wydaje przez to nawet silniejszy. Pod blachą jest bezpiecznie. Jak człowiek sam zbuduje dach, to czuje się silny.

Budowa dachu zajęła nam mnóstwo czasu. Kiedy skończyliśmy, sklep wyglądał jeszcze bardziej superancko niż przedtem. Żeby to uczcić, wypiliśmy z Papą całą butelkę piwa. Papa wypił większość, ale ja też pociągnąłem łyk. Nie przyprawilem się, było bardzo fajnie, a jak bekałem, to paliło. Mama i Lydia i Agnes i Babcia Ama, wszystkie przyszły podziwiać nowy sklep. Wyraźnie też im się podobał. Wszyscy uśmiechali się od ucha do ucha.

Mama: Sam to zrobiłeś? Zdolny chłopak.

Ja: Papa mi pomógł.

Babcia Ama: Dobry z niego pracownik?

Ja: Trochę leniwy.

Papa: A idź ty!

Ja: Ja tylko żartuję.

Zawiesiliśmy pod dachem latarnię, żeby sklep mógł być czynny wieczorem. Agnes najbardziej podobała się właśnie latarnia. Małe dzieci zawsze lubią rzeczy, które wiszą albo się huśtają. Zawsze próbują je dotknąć, nawet jeśli jest to coś gorącego. Płakała, kiedy latarnia oparzyła jej palce. Posmoktałem je, żeby przestały boleć. Jestem w tym najlepszy, moja ślina działa leczniczo.

Papa robi najlepsze rzeczy. Najmniejsze krzesła, najmocniejsze stoły, takie, że można na nich stać. Wszystko z bambusa, nawet jeśli szuflady są z drewna, to wykończone są bambusem. Bambus to najlepszy materiał, bo jest bardzo mocny i jednocześnie lekki. Łatwo go ciąć maczetą albo piłą. Piłować trzeba ostrożnie, żeby wyszło równo. Trzeba sobie wyobrazić, że to, co się akurat robi, ma być najlepsze ze wszystkiego.

Papa: Jeśli umiesz ciąć bambus równo, będziesz umiał obciąć komuś nogę. To

tak samo. Dobre ćwiczenie. Wyobrażaj sobie, że bambus to czyjaś noga. Musisz ciąć tak równo, jak się da, żeby się dobrze zagoiło.

Ja: Ale ja nie chcę obcinać nikomu nogi.

Papa: Może będziesz musiał. Lekarz nie wybiera pacjentów. Oni na niego liczą.

To było wieki temu, kiedy jeszcze chciałem być lekarzem. Więc piłowałem ekstra ostrożnie, w ogóle nawet starałem się nie sprawiać im bólu. Kiedy skończyłem, bambus upadł, a ja nawet próbowałem go złapać. Że to niby noga.

Papa: Raz-raz, do lodu! Możemy ją dać komuś innemu.

Ja: Ale ta noga jest chora.

Papa: Dla jednych śmieci, dla innych skarby. Damy to komuś z buszu, nie pozna się.

*Asweh*, to było bardzo śmieszne.



Nie wiem, dlaczego Mama musi pracować też w nocy. To w ogóle nie jest fair. Dlaczego dzieci nie rodzą się zwyczajnie za dnia?

Mama: Przychodzą na świat, kiedy chcą. Ty się urodziłeś w nocy. Czekaleś, aż się pokażą gwiazdy.

Lydia: I była pełnia, dlatego jesteś porąbany.

Ja: Wcale nie jestem.

Chciałbym tylko, żeby Mama tu była, żeby ta Miquita nas tak bez przerwy nie nachodziła. Pozwalam jej przychodzić po tym, jak obiecała, że nie będzie mi ssać.

Miquita: Okej, okej, obiecuję. Patrzcie jaki nieprzystępny.

Ja: Nie przeszkadzaj mi.

Miquita: Nie bądź taki, przystojniaku, sorki.

Zdjąłem łańcuch, otworzyłem zamki. Trzymałem za plecami tłuczek do kartofli, gdyby przyszło mi ją przeganiać.

Miquita i Lydia przymierzają kostiumy na festyn. Obie przebiorą się za papugi. Można poznać tylko po piórach. Te kostiumy to głównie pończocha na całe ciało. Pierwszy raz, jak Lydia się w to ubrała, wyglądała jak oskubany kurczak. Pióra, które sobie poprzyczepiała, nie są nawet prawdziwe, pochodzą z Klubu Tanecznego. Część z nich jest różowa. A przecież nie ma różowych papug.

Lydia: Właśnie, że są. Widziałam taką.

Ja: To są flamingi. Różowe papugi nie istnieją. Mówię ci.

Miquita: Ale istnieje różowy język. Patrz.

Miquita pokazała mi język. Wywijiała nim na wszystkie strony jak wielkim wstrętnym robalem. Obrzydliwość.

Jeśli dziewczyna ma kolczyk w języku, to znaczy, że jest zdzirą. Każdy to potwierdzi.

Miquita popisywała się przede mną tańcem. Nie chciałem na to patrzeć. Kręciła tyłkiem tuż przed moimi oczami. *Adjei!* Zrezygnowany ruszyłem do swojego pokoju, żeby włączyć odtwarzacz CD (za piątala u zegarmistrza na targu). Ofori Amponsah to najlepsza muzyka, żeby zagłuszyć głupi głos Miquity.

Miquita: A ty, Harri, dokąd? Idziesz przygotować dla mnie swoje wargi, żeby były słodkie i miękkie? Chcesz, to ci pożyczę balsam odżywczy?

Ja: Nie, dziękuję, świński ryju! Wolałbym raczej pocałować własny tyłek!

*Asweh*, Miquita głupio wygląda w tym swoim kostiumie. Cycki ma przygniecione za blisko jeden drugiego, jakby chciały wyskoczyć i zjeść cię. W ogóle wolałbym nawet, żeby nie było takich rzeczy jak cycki, bo nie nachodziłaby cię ochota, żeby je ścisnąć.

Musiałem iść w pewne miejsce. Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Miquita akurat wychodziła. Wręczała Lydii reklamówkę. Zaglądały do niej, jakby tam miały jakiś głupi skarb. Na mój widok próbowała schować ją za plecami, ale za późno. Obydwie zrobiły taką minę, jakbym odkrył jakąś specjalną tajemnicę. Wtedy Miquita po prostu się zmyła. Lydia włożyła reklamówkę do czarnego worka na brudną bieliznę. Wychyliła głowę na zewnątrz i zaczęła się rozglądać, jakby wypatrywała wroga.

Lydia: Zostań tu. Zaraz wrócę.

Ja: Idziesz do pralni? Pójdę z tobą! Ogram cię znowu w grę pralkową.

Lydia: Za późno!

Lydia zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Nie miałem zamiaru tak tego zostawić: policzyłem do dziesięciu i powoli otworzyłem drzwi. Zobaczyłem, że winda zamyka się. Pobiełem po schodach na dół i akurat Lydia wychodziła z windy na parterze. Śledziłem ją pilnie całą drogę do pralni. Schowałem się za rogiem, skąd mogłem obserwować wszystko przez szybę.

Nikogo więcej tam nie było. Lydia wyjęła jakieś rzeczy z reklamówki i włożyła je do naszej ulubionej maszyny. Potem zrobiła coś dziwnego – wyjęła z worka na pranie środek wybielający Mamy i całą zawartość wlała na te rzeczy do pralki. Bardzo się śpieszyła, jakby to była jakaś misja. Ręce tak jej latały, że nie mogła nawet wrzucić pieniędzy. Należy monetę wpychać do otworu maszyny dość energicznie, bo w przeciwnym razie z powrotem wyskakuje i trzeba zaczynać od początku. Próbowała chyba z pięć razy. Potem jak maszyna zaczęła się kręcić, złapała worek z prawdziwym praniem w środku i wybiegła. Prawie się ze mną zderzyła na progu.

Lydia: A ty co znowu! Po co za mną laześ? Kazałam ci siedzieć w domu.

Ja: Co było w tej torbie?

Lydia: Nic!

Ja: Ale ja widziałem.

Lydia: No i co z tego? Niby co takiego?

Ja: Różne głupie rzeczy.

Lydia: Co ty gadasz, nic nie wiesz. To tylko resztki z kostiumu. Nie nadawały się, bo nam się farba wylała.

Zawsze wiadomo, kiedy Lydia kłamie, bo ma wtedy złą minę (ja się zawsze uśmiecham, kiedy próbuję kłamać. Nic na to nie mogę poradzić. Muszę przestać. To zbyt ryzykowne, a poza tym jest mi potem niedobrze). Widziałem te rzeczy z reklamówki i wcale nie były od kostiumu, nie ten kolor, a materiał nie był

błyszczący. Raczej coś męskiego. Widziałem bluzę z kapturem i nosorożcami Ecko. Cała czerwona. To było za ciemne na farbę, a za jasne na sos Shito. Zrobiło mi się zimno w żołądku.

Akurat zbliżał się X-Fire z Harveyem. Lydia go zobaczyła i zamilkła. Harvey wrywał się i oblizywał jak wygłodniały wilk. Trzymałem z tyłu za plecami gotowy palec, gdyby trzeba było mu wetknąć w zadek. Nie zjesz mnie dzisiaj, parszywy psie! Mam na ciebie sposób!

X-Fire: Widział cię ktoś?

Lydia: Nie.

X-Fire: Lepiej zmiataj, Ghana. On jest głodny, jasne?

Harvey wrywał się i węszył dookoła, jakby powietrze było zrobione z mięsa. Zmyśliśmy się z Lydią, zanim się za bardzo wściekł.

Ja: Już Mama ci da, jak zobaczy, że zużyłaś cały wybielacz.

Lydia: Powiem jej, że to ty. To nie ja muszę sikać cały czas na chmurę.

Ja: Wcale tak nie robię.

Nie muszę tego robić cały czas. Chciałem tylko zobaczyć, co Pan Bóg czuje.

Najlepsze, numer jeden, są Nike Air Max. Każdy to potwierdzi. Są najbardziej klasa.

Adidas jest na drugim miejscu. Chyba że ktoś lubi Chelsea, to wtedy na pierwszym, bo Adidas produkuje sprzęt dla Chelsea.

Reebok zajmuje trzecie miejsce, a Puma czwarte. Puma produkuje sprzęt dla reprezentacji Ghany. Nikt mi nie wierzy, ale tak jest. K-Swiss też są klasa. Gdyby więcej ludzi o nich wiedziało, K-Swiss mogłyby mieć pierwsze miejsce.

Moje nazywają się Sports. Są całe białe. Kupione zostały u Noddy'ego na targu. Są bardzo szybkie. Wszyscy mówią, że są gówniane, bo wkurza ich, że moje biegają szybciej niż te ich.

Connor Green, jak zepsuje piłkę, to zawsze zwała na swoje adidas. On nigdy nie jest winien, tylko jego adidas.

Wszyscy: **Pudło!**

Connor Green: Nic nie poradzę, chłopaki! To moje adidas! One są do biegania, nie do piłki nożnej. Ale przynajmniej nie są takie obciachowe jak te Sports Harri'ego.

Ja: Zamknij się, przynajmniej mogę szybciej biegać niż ślimak!

Jak graliśmy w nogę nikt mi nie podawał piłki. Myślałem, że może to znaczy, że mnie nienawidzą. Potem się dowiedziałem, że mnie nie rozumieli. Wołałem podaj piłkę, zamiast dawaj. A poza tym zasady są takie same jak tam, gdzie przedtem mieszkałem. Vilis dalej nie podaje do mnie, ale nie zależy mi. Tam skąd pochodzi (Łotwa), topią czarnych na asfalt i robią z nich drogi. Każdy to potwierdzi. Wcale nie chcę piłki od niego, może sobie ją trzymać. Dalej zamykam oczy, jak piłka leci w moją stronę. Nic na to nie poradzę. Zawsze myślę, że mnie uderzy.

Vilis: Ale z ciebie ciota!

Ja: Spadaj, Kartoflana Chałupo! (Bo on mieszka w domu zrobionym z kartofli.)

•

Na matematyce odwiedziła mnie osa. Tkwiała na mojej ławce całe wieki. Siedziałem z Poppy. Poppy zbierało się na płacz. Cały czas się bała, że osa ją użądli.

Poppy: Raz mnie użądliła, jak byłem mała. Teraz mam alergię.

Ja: Nie przejmuj się. Ona tylko przyleciała w odwiedzin. Nie pozwolę jej

ciebie uządlić.

Próbowałem Poppy pocieszyć, ale bez skutku. Chciała, żebym zatłukł osę, ale ja tylko zwabiłem ją na mój zeszyt i wypuściłem przez okno. Dean otworzył je i osa wyfrunęła. Wszyscy klaskali. Poppy wyraźnie odetchnęła z ulgą, widać było po niej. To ja sprawiłem, że przestała się bać.

Poppy: Dzięki, Harri.

Ja: Okej, to pestka! (Tak się mówi, jak coś jest łatwe.)

Jak dotąd byłem zakochany tylko jeden raz. To było tam, gdzie przedtem mieszkałem. Ma na imię Abena, jest koleżanką Lydii. Byłem zakochany tylko przez jeden dzień. Jest bardzo głupia. Myślała, że jak będzie spała z płatkami mydlanymi na twarzy, to się rano obudzi *obruni*, biała. I nawet spróbowała. Chciała być biała przez jeden dzień. Myślała, że jak będzie biała, to dostanie brylanty, tak jak ta pani w amerykańskim filmie.

Abena uwielbia brylanty. Nigdy nie widziała nawet jednego.

Położyła sobie płatki na całą twarz jak farbę. Nie podziałało, rano była dalej czarna. Tyle że skóra złaziła z niej płatami. Wołaliśmy na nią Złaziskórka. Była wściekła.

Wszyscy: Złaziskórka! Złaziskórka!

Mówiła, że to było tylko dla kawału, ale wyraźnie chciała, żeby podziałało. Abena jest bardzo głupia. Cieszę się, że z nami nie przyjechała. Ma za małe oczy i drze się, jak się w nią rzuci strączkiem kakao, jakby to była bomba albo coś takiego. W końcu zrobiło się to tak denerwujące, że się odkochałem.

Klub Komputerowy przydaje się do odrabiania lekcji, do e-maili i internetu. Czat room już nie istnieje, bo jedni drugich ciągle pytali o kolor majtek. Teraz jest zablokowany. Ale ciągle jeszcze można używać komunikatora.

Ja: No, spytaj ją. Spytaj ją, jakie ma dzisiaj majtki.

Lydia: Po co chcesz wiedzieć? Dalej ją kochasz?

Ja: Co ty! Nie ma mowy, jest głupia! Ja tylko żartowałem!

Lydia i Abena nic tylko gadają o Anglii i o chłopakach. Wiadomości od Abeny są zawsze nudne. Ciągle tylko o wyłączeniach prądu albo:

Lydia: Znaleźli bliźniaki.

Ja: Boże! Żyją?

Lydia: Czeka, nie mogę pisać tak szybko.

Bliźniaki zaginęły, zanim tu przyjechaliśmy. Każdy się martwił. Ciągle zabijają bliźniaki. Ludzie na północy uważają, że diabeł rzuca na nie klątwę i zabijają je zanim ju-ju zacznie działać.

Lydia: Znaleźli już tylko szkielety. Trzymały się za ręce.

Ja: Niech spoczywają w pokoju.

Należy być smutnym przez minutę. Miałem te kości przed oczyma. Wyobrażałem sobie, że niby z oczodołu wypęłza wąż. Chciałem być smutny, ale nie bardzo mi wychodziło. Myślałem tylko o ustach Poppy Morgan. Są śliczne i nie za grube jak Miquity. W ogóle przyglądam im się, kiedy ze mną rozmawia, a one mnie usypiają, jakby to były jakieś czary. Jakbym już miał komuś ssać, to jej, Poppy Morgan. Dzisiaj tak postanowiłem.

Ja: Idziemy? Umieram z głodu!

Lydia: **Za minutę!**

Ja: **Nie drzyj się na mnie!**

*Asweh*, Lydia ciągle teraz się na mnie wydziera. Nie wiem nawet, jak to się stało. Anglia tak działa, że ludzie świrują. To chyba dlatego, że jest za dużo samochodów. Kiedy jeździliśmy na targ w Kaneshie, to od spalin z tych wszystkich samochodów i busów tro-tro kręciło nam się w głowie, a było ich najwyżej sto. Tu jest tego z milion. Raz przechodziłem przez ulicę i dym z rury wydechowej poszedł mi prosto na twarz. Jak Boga kocham, chciało mi się potem rzygać przez dwa dni. Nawet wkurzyłem się na wszystkich tak, że mi się zrobiło czerwono przed oczami. Chyba dlatego. Od dzisiaj zaczynam wstrzymywać oddech.

•

Funty dosyć głupio wyglądają. Królowa wygląda bardzo śmiesznie, jakby nie brała tego poważnie. Wygląda, jakby się starała nie uśmiechać, kiedy robili jej zdjęcie, jak ktoś, kto próbuje się powstrzymać od śmiechu, kiedy opowiadają mu śmieszny kawał. Mama zawsze wygląda poważnie, jak daje pieniądze Juliusowi, widziałem to raz, bo drzwi od kuchni zostawiła otwarte. Jej ręce poruszały się bardzo szybko, tak jakby na pieniądzach był brud i nie chciała upaprać sobie palców. Julius pilnie się przyglądał. Kiedy Mama skończyła odliczać, to nawet jeszcze raz przeliczył. Nie wierzy, że Mama umie dobrze liczyć, ale Mama umie.

Mama: Jest tyle, ile trzeba.

Julius: Poczekaj.

Oblizuje palce, zanim weźmie się do liczenia pieniędzy. Ręce ma przerażające, są olbrzymie, a jego pierścionki wyglądają na bardzo ciężkie. Przeliczył banknoty i spiął je specjalnym spinaczem ze srebra. Miał tam już mnóstwo innych

pieniędzy. *Asweh*, Julius ma więcej kasy niż prezydent. Prowadzi Mercedesa-Benza. Super fura. Jak będę starszy, kupię sobie taką samą, siedzenia ma mięciutkie, wszyscy się mieszczą z tyłu i wcale jeden drugiego nie dźga łokciami. Jechałem nim, kiedy Julius wiózł nas do naszego nowego mieszkania.

•

Graliśmy z Lydią w taką grę: za każdym razem, kiedy zobaczyliśmy białą osobę, trzeba było głośno powiedzieć *obruni!* Dostawało się jeden punkt za każdym razem, jak się to powiedziało.

Ja wygrałem, bo jestem najlepszym zauważaczem i najszybszym wypowiedaczem. Widzieliśmy prawie tyle samo białych ludzi, co czarnych. *Asweh*, chyba najwięcej w życiu. Kompletny obłęd. Podobało mi się.

Lydia: Ob...

Ja: *Obruni!* Za wolno!

Lydia: To nie fair! On był mój. Ja go pierwsza zobaczyłam!

Ja: Ale ja pierwszy powiedziałem. Kolejny punkt dla mnie!

*Asweh*, kiedy pierwszy raz zobaczyłem te wieżowce, to mi się zakręciło w głowie. Próbowaliśmy zgadnąć, który jest nasz. Lydia powiedziała, że środkowy, a ja, że ten na końcu, najdalej.

Ja miałem rację.

Potem zgadywaliśmy, które piętro będzie nasze. Lydia myślała, że siódme, bo siódemka to jej szczęśliwy numer. Ja myślałem, że najwyższe, bo najwyższe jest najbardziej cool.

Żadne z nas nie miało racji. Bo dziewiąte.

Ja: Myślę, że nasze drzwi będą niebieskie.

Lydia: Ja myślę, że zielone.

Oboje źle myśleliśmy. Były brązowe. Wszystkie są brązowe.

To ja miałem za zadanie wszystko sprawdzić. Wygrałem, bo pierwszy o to poprosiłem. Kto pierwszy, ten lepszy. Najpierw sprawdziłem światła. Wszystkie od razu się zapaliły. Wtedy powiedziałem:

Ja: Światła działają.

Potem sprawdziłem wszystkie krany. Wszystkie działały. I nawet wcale nie trzeba było godzinami czekać, żeby woda zaczęła lecieć, bo od razu leciała. Sprawdziłem najpierw w kuchni, potem w łazience. Wtedy powiedziałem:

Ja: Woda działa.

Potem sprawdziłem podłogę, czy się w jakimś miejscu nie rusza i czy nie ma gdzieś dziur. Zrobiłem to skacząc. Skakałem na każdym kawałku podłogi. Trochę to szybciej poszło, jak zacząłem tańczyć. Wtedy powiedziałem:

Ja: Podłoga w porządku!

Potem sprawdziłem wszystkie sufity w miejscach, gdzie mogły być dziury. To było łatwe, bo tylko musiałem się rozejrzeć.

Ja: Sufity w porządku!

Lydia: Przymknij się. Głowa mnie rozbolała.

Potem wypróbowałem meble i różne inne rzeczy. Chodziłem naokoło rozglądając się na wszystkie strony i jak coś znalazłem, to po prostu mówiłem:

Ja: Mamy kanapę!

Ja: Mamy stół!

Ja: Mamy łóżko!

Ja: Mamy drugie łóżko!

Ja: Mamy lodówkę!

Ja: Mamy kuchenkę!

Wszystko mówiłem, co widziałem, wymieniałem nawet drobiazgi. Pootwierałem wszystkie szafki i szuflady i mówiłem, co jest w środku.

Ja: Mamy noże!

Ja: Mamy widelce!

Ja: Mamy łyżki!

Lydia: Jak cię strzele! Zamknij się!

Ja: Mamy talerze!

Ja: Mamy miski!

Ja: Mamy tłuczek!

*Asweh*, tyle było tego, że aż mi się w oczach zaczęło mienić. Nigdy nie przypuszczałem, że w jeden dzień zobaczę tyle nowych rzeczy. Nawet zapomniałem, że nie ma z nami Papy. Przypomniałem sobie dopiero w nocy, jak Mama chrapała. Jak jest Papa, to przewraca ją na bok jak wielką kielbasę, żeby nie chrapała (Mama mówi, że nie chrapie, ale skąd może wiedzieć, skoro śpi!).

W moim pokoju dywan nie zakrywał całej podłogi. Trochę spod niego wystawała. Podniosłem dywan do góry, żeby poszukać pieniędzy. Ktoś napisał na podłodze powitanie: PIERDOL SIĘ.

Nie myślę, żeby to było do mnie. Nikt przecież nie wiedział, że to ja przyjadę.



Nie wiem, na co są te pieniądze. Nie na czynsz, bo Mama dostała nasze mieszkanie z Idealnych Mieszkań Do Wynajęcia. Nie wiem, co robi Julius poza tym, że przywiózł nas do naszego nowego mieszkania i że jest zakochany w Cioci Soni. Zawsze ją klepie po tyłku. Ona mu na to pozwala, chociaż raz o mało nie przeleciała za drzwi. Dorośli są tacy głupi, nawet lubią, jak ich zabolą.

Ciocia Sonia: Do zobaczenia, dzieciaki!

Julius: Chodź, idziemy! (Klaps w tyłek.)

Ciocia Sonia: Au!

Twarcz Mamy wtedy tężeje i Mama tak tłucze pomidory, jakby je chciała zabić. Mówi, że nie mogę mieć takiego pierścionka jak te, co ma Julius, bo tylko dresiarze takie noszą.

Ja: Nie tylko dresiarze, prezydent też.

Mama: Weź ty się! Tylko dresiarze. I przestań robić miny.

Gdybym miał taki pierścień, wszyscy myśleliby, że jestem ironboy. Gdyby ktoś chciał mi podskoczyć, tobym go po prostu tym pierścieniem załatwił. Jest tak ciężki, że ten ktoś by wylądował w połowie przyszłego tygodnia.

*Obudziłem się jednocześnie z chłopcem, przyleciałem przez wiatr i gałęzie. Patrzyliśmy, co wiatr wyczynia, a potem śniliśmy. Śnimy jeden w drugim. Przenosimy przyjazne życzenia, oni przysyłają nam swoje prośby, a my wstawiamy się za nimi, kiedy proszą o muszelki czy nawet motorówki. Żyjemy i oddychamy w świetle naszych podopiecznych.*

*Podajemy im dłoń, kiedy jest korek na drodze między nimi a ich bogiem.*

•

Na skwerze zwało się drzewo. Musiało się to stać w nocy. Zeszłej nocy lał deszcz i wiał silny wiatr. Patrzyłem na to wszystko razem z moim gołębiem. Odleciał, jak otwierałem okno, ale wiedziałem, że to był on.

Ja: Do zobaczenia, gołębiu! Pokazuj się częściej!

Drzewo pod naporem wiatru zwyczajnie się przewróciło. Spadło na czyjś dom. Nie wbiło się do środka, tylko wylądowało na dachu. Widać było korzenie i wszystko. Wdrapałem się na nie do połowy wysokości. Kiedy drzewo jest zwalone, to nawet o wiele łatwiejsze, bo po prostu się po nim spaceruje aż na wierzchołek. Zupełna łatwizna. Młodsze dzieciaki też próbowały, ale nie mogły dojść tak wysoko. Miałem zamiar pokazać im, jak to zrobić, ale jak się ktoś spóźni na wyczytywanie listy obecności, to jego nazwisko trafia do czarnej księgi. Jeśli trafi tam trzy razy, to się za karę zostaje po lekcjach i nauczyciel ma prawo cię zgwałcić (to samo, co ci przypieprzyć, ale jeszcze gorsze).

Zauważyłem na drzewie ptasie gniazdo. Bardzo smutna sprawa. Wszystkie ptaki wypadły, jak drzewo się zwało. Musiały zginać. Drzewo je przygniotło. Ja to po prostu wiedziałem.

Ja: Jak będziemy wracać ze szkoły, to wejdę na sam szczyt i sprawdzę to gniazdo. Jeśli tam są jeszcze ptaki, to je przygarnę.

Lydia: Weź ty się, nie wiesz przecież, jak się nimi zajmować.

Ja: To łatwe, daje się im robaki do jedzenia, aż do czasu, kiedy są dosyć silne, żeby mogły latać.

Pisklęta jedzą tylko robaki. Nie widzą różnicy między prawdziwymi robakami a żelkowymi robakami Haribo. Do czasu kiedy są już duże i umieją same latać. Kocham wszystkie ptaki, nie tylko gołębie. Wszystkie kocham.

•

Jeśli ktoś jest policjantem, a obywatel pilnie chce sobie ulżyć, to policjant musi mu pozwolić narobić do swojej czapki. Connor Green mi mówił.

Ja: Co ty? Nie wierzę.

Connor Green: Jak Boga kocham.

Dean: To prawda, koleś.

Ja: A co z żołnierzami? Też muszą pożyczać ci czapki?

Dean: A bo ja wiem? Chyba nie.

Ja: A ze strażakami?

Connor Green: Nie, chyba tylko policja.

Ja: Jaja sobie ze mnie robicie!

Connor Green: Idź i spytaj go, no idź.

Ja: Sam się spytaj.

Mieliśmy specjalny apel w szkole. Policjant mówił o zmarłym chłopcu, że jeśli coś wiemy, to żebyśmy się nie bali i powiedzieli. Nikt nam z tego powodu nic nie zrobi. Policjant na to nie pozwoli.

Policjant: Można w ten sposób nie dopuścić, żeby ta osoba zrobiła to samo komuś innemu. Musimy współpracować, żeby tę osobę powstrzymać. Więc jeśli możecie pomóc, powiedzcie rodzicom albo nauczycielowi albo zatelefonujcie na numer, który widzicie na plakacie, a my gwarantujemy anonimowość.

Nie wiadomo, czy mu wierzyć czy nie, bo był za gruby. Jakoś to nie pasowało. Gruby policjant to po prostu kłamczuch, nawet nie może porządnie ścigać przestępców. Ktoś z tylnych rzędów krzyknął pies, z tym, że udawał, że zakaszłał. Ten policjant nawet się nie zorientował, jego zdolności detektywistyczne są tak naprawdę żadne.

Dean: On jest do niczego, stary, my lepiej tę robotę wykonamy. On pewnie tylko dyżuruje w komisariacie. Pewnie nic tylko siedzi przy biurku cały dzień i je nudle z pudła.

Ja: Nie złapie zabójcy nigdy w życiu, nawet za milion lat.

Nie chciało się wierzyć, żeby zabójca mógł być zwyczajnie dzieciakiem. To byłby zupełny obłęd. Rozglądaliśmy się po wszystkich twarzach, czy ktoś nie ma wzroku mordercy. Za trudne. Wszyscy wyglądali po prostu normalnie. To nie mógł być nikt z nich.

Ja: Widziałeś kogoś?

Dean: Właściwie nie. A ty?

Charmaine de Freitas ma świńskie oczka, ale to taki jej styl. Nie są przekrwione.

Ja: Dziewczyny nie mogą być zabójcami, prawda?

Dean: Czasami są. Przeważnie tylko zrzucają kogoś ze schodów, albo trują. Na ogół nie dźgają nożem. Mają inne metody działania. Nie wydaje mi się, że znajdziemy tu zabójcę. Już by ktoś coś wiedział.

Ja: No to wracamy do punktu wyjścia. (To znaczy, że trzeba zacząć od nowa.)

Connor Green: A, i jeszcze straż miejska. Też można im sikać do czapek.

Dean: Taaaa, im też. Wiedziałem, że o kimś zapomniałem.

Miałem zamiar pogadać z policjantem, ale nie mogłem się ujawniać. Jeśli koledzy zabójcy zobaczyliby nas razem, wiedzieliby, że prowadzę dochodzenie, a jeśli się kogoś sypnie, to potem spuszczają mu głowę z wodą w toalecie. Poprosiliśmy tylko policjanta, żeby nam pozwolił przymierzyć kajdanki. Nie pozwolił, bo powiedział, że chcielibyśmy pewnie wypróbować na kolegach. (Miał rację. Chcieliśmy założyć je Anthony'emu Spinnerowi i przypiąć go do płotu, ale się zorientował i uciekł, zanim go złapaliśmy.)

•

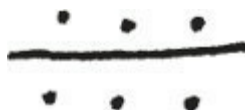
Blizny wyglądają lepiej na białych ludziach. Moje nie bardzo są widoczne, bo mam zbyt ciemną skórę. Ale i tak wyglądały klasa. Tylko trzeba patrzeć na nie z bliska.

Zrobiłem je na wychowaniu obywatelskim. Pisaliśmy test, ale już skończyliśmy (tam tylko pytają o różne rzeczy, jak to jest w Anglii, po której stronie drogi prowadzi się samochód i jakie mięso nadaje się do jedzenia). Użyłem flamastra, nie markera, bo od oparów z markera jest się na haju. Bardzo łatwo narysować sobie bliznę. Po prostu rysuje się jedną podłużną kreskę i małe kreski prostopadle do niej, o tak:



Długa kreska to cięcie, a te małe poprzeczne to szwy. Tak się prawidłowo rysuje bliznę. Tak większość z nich wygląda, nawet zombi takie mają.

Connor Green swoje rysuje tak:



I tu też długa kreska to cięcie. Kropki oznaczają miejsca po szwach. Szwy zostały tu zdjęte. Kropki to miejsca, gdzie wchodziła igła.

Mnie się mój sposób podoba najbardziej. Myślę, że tak jest lepiej, i tyle.

Connor udawał, że niby jego blizny są od walk z terminatorem. A ja, że niby walczyłem z *asabonsamem*.

Connor Green: A to, k..., co za jeden?

Ja: To taki wampir. Mieszka na drzewach. Pożera cię, jeśli wejdiesz za głęboko w las.

Connor Green: Ale odjazd.

Koło szkoły jest las, mija się go za każdym razem, kiedy biegamy wokół boiska. Jabłka, które tam rosną, są trujące, nie można ich jeść. *Asweh*, wszystkie owoce tutaj są albo trujące, albo wstrętne. A grzyby są nawet zbyt brudne, żeby je jeść. Connor Green raz zjadł i spał potem trzy dni, a kiedy się obudził, zapomniał, jak się nazywa i jakie batoniki lubi najbardziej – musiał się tego wszystkiego uczyć od nowa. Po co komu drzewo owocowe, jeśli nie można jeść owoców? Zwykle draństwo.

Nie mogłem nawet wejść na tamto drzewo. Kiedy przyszedłem, było już za późno, drwale odcinali gałęzie i rzucali je na ciężarówkę. Mieli piły łańcuchowe. Wszyscy musieli się odsunąć i stać z boku. Można się było naprawdę wściec. Nienawidziłem tych drwali – wyraźnie wredne typy. To tak jakby drzewo torturować. Jakiś mały stał koło mnie i patrzył. Był zachwycony, oczy wylaziły mu na wierzch. I nawet chciał, żeby poodcinali gałęzie.

Kiedy drwale dotarli do gałęzi, na której było gniazdo, zatrzymali piły i jeden z nich je zdjął. Położył na masce ciężarówki i pozwolił mi zajrzeć do środka.

W środku nic nie było. Nawet jajek. Nic.

Mały: Wiedziałem, że niczego tam nie będzie. Jakiś kot musiał je dorwać.

*Asweh*, chciałem zabić go na miejscu. Krew się we mnie zagotowała i zrobiło mi się czerwono przed oczami. Kot ich nie dorwał. To były tylko pisklęta.

Ja: Kot ich nie dorwał! Głupi!

Przewróciłem tego małego. Upadł w błoto. W ogóle się tego nie spodziewałem. Po prostu wstał i uciekł. Masakra. Nawet chciałem, żeby się rozbeczał, zasłużył na to.

Miałem ochotę zabrać sobie gałązkę na pamiątkę. Posadziłbym ją i zobaczył, czy to drzewo odżyje, ale drwale nie pozwolili. Uważali, że drzewo jest ich własnością.

Drwał: Niestety, kolego. Jest nam potrzebna.

Ja: Dlaczego?

Drwal: Takie przepisy. Niestety.

Oni są zwyczajnie głupi. To drzewo nie jest ich własnością, ono należy do wszystkich. Tylko dlatego pozwoliłem im je zabrać, że mieli piły. Ta dziura w miejscu, w którym rosło, to był kompletny obłąd. Zrobiło mi się naprawdę smutno i w dodatku sam nie wiem dlaczego.

Taśma klejąca przydaje się w różnych pracach detektywistycznych. Można mieć na niej odciski palców albo włosy. Można za jej pomocą zastawiać pułapki. Można przyklejać notatki, żeby nie sfrunęły. Można nawet złapać samego zbrodniarza, jeśli ma się tyle taśmy, żeby zrobić jakby pajęczynę. Tylko że trzeba by mieć wszystkie taśmy z całego świata, żeby zatrzymać dorosłą osobę.

Najpierw próbowaliśmy z naszymi własnymi odciskami palców. Działo świetnie. Widać było wszystkie malutkie linie. Każdy ma inne.

Dean: Fajnie. Mówiłem ci, że to będzie działać.

Byliśmy znowu nad rzeką. Sprawdzaliśmy różne powierzchnie na wypadek, gdyby zabójca zostawił odciski palców tam, gdzie porzucił narzędzie zbrodni. Mieliśmy najpierw sprawdzić miejsce zbrodni, ale Chicken Joe nas przegonił, myślał, że chcemy ukraść świeże kwiaty, które mama zmarłego chłopca zatknęła za ogrodzenie. Ktoś już ukradł butelki z piwem, pewnie Terry Nawynos.

Chicken Joe: Wynoście się, psychole! Miejcie, k..., trochę szacunku!

Ja z Deanem: Mamy, mamy szacunek! My tylko pomagamy!

Chicken Joe: Spier..., bo zawołam gliny!

Dean: Pana kurczaki śmierdzą! Są w nich robaki!

Więc dlatego sprawdzaliśmy najpierw nad rzeką. Odciski palców znajdują się tylko na niektórych powierzchniach, na przykład metal albo plastik. Nie ma ich na liściach czy trawie. Rozdzieliliśmy się, żeby było szybciej. Należało po prostu przyłożyć kawałek taśmy klejącej do tych powierzchni, których zabójca mógł dotykać. Jeśli znalazłyby się jakieś odciski, to znaczy, że zabójca tam był.

Dean: Próbkę z miejsca zbrodni zdobędziemy później. Jeśli odciski palców z tego miejsca, gdzie chłopca zabili, pokrywają się z odciskami w miejscu, gdzie był schowany nóż, to znaczy, że ten ktoś, kogo widziałeś, musi być mordercą.

Dean wie, o czym mówi, widział wszystkie seriale. Zacząłem od tabliczki z rzeżuchą. Musiałem stanąć na palcach, żeby dosięgnąć. Nic się nie odbiło. Żadnych odcisków palców.

Dean spróbował na latarni. Nic z tego.

Próbowałem szukać w alejce, ale chodnik się nie nadaje. Na wszelki wypadek Dean sprawdził na dużym liściu. *Asweh*, niektóre liście nad rzeką są większe ode mnie. Zupełnie jak w dżungli. Nic dziwnego, że zabójca szedł tędy, to świetne miejsce na kryjówkę.

Dean: Tu rosły maki w zeszłym roku. Musieli je wyciąć, bo wszyscy je palili. Ja raz paliłem. Niezły odlot.

Ja: Co się działo?

Dean: Po prostu robisz się zmęczony. Coś ci się robi dziwnego w głowie, jakbyś był gdzieś daleko. Ja paliłem tylko nasiona. Miesza się je zwyczajnie z tytoniem. Chyba powinno się dodać więcej, ja wziąłem tylko parę ziarenek.

Stałem na straży, a Dean zbierał próbki. Wziął trochę błota z brzegu rzeki. Przyjrzeliliśmy się mu bardzo uważnie, ale krwi nie zauważyliśmy. Potem się zamieniliśmy, Dean pilnował, a ja rozglądałem się za śladami stóp, tak jak w CSI. Robiłem to bardzo dokładnie. Przyjemne było takie przeszukiwanie. Zrobiła się cisza, zupełnie jakby to była jakaś ważna misja i tylko od nas zależało, czy zakończy się sukcesem.

Dean: Widzisz coś?

Ja: Nieee!

Dean: Chyba zatarł ślady. I padał deszcz. Pewnie zmył wszystkie dowody. Musimy wobec tego znaleźć jakieś nowe tropy, i tyle.

Ja: Co kupisz za swoją połowę nagrody?

Dean: Pewnie PlayStation 3. I nowy rower i kupę fajerwerków.

Ja: Ja też.

Dean to najlepszy partner, o jakim może marzyć detektyw, zna wszystkie triki. Wcale mi nie przeszkadza, że jest rudy. To dlatego jest taki łośbski (największa zaleta detektywa).

•

Jak Boga kocham, najpierw myślałem, że mi się śni. Bo to nawet nie wydawało się prawdziwe. Myślałem, że pod ziemią są tylko kości i błoto i zwierzęta, które tam żyją, a tu zobaczyłem tunele, te wszystkie światła i ludzi. Musiałem się uszczypnąć. Był tam nawet człowiek grający na skrzypcach. Chociaż był mężczyzną, miał długie włosy ściągnięte w kucyk. *Asweh*, masakra. Jechaliście kiedyś metrem? Wszędzie milion ludzi i wszyscy się śpieszą. Nie odzywają się, tylko ciukają cię łokciami, żeby im zejść z drogi. Schody, którymi schodzisz na dół, ruszają się, tak samo jak na lotnisku. Można sobie wyobrazić, że to niby są zęby *asasabonsama* i chcą cię zjeść. Tam ustawiają blokady na całej długości poręczy, więc nie da się zjeżdżać. Denerwująca sprawa. *Asweh*, jak tylko zobaczę schody ruchome bez blokad na poręczach, to zaraz zjadę na dół! Mam taką nową ambicję.

Chciałem pobiegać po tunelu, ale było za dużo ludzi. Więc tylko zrobiłem echo. Najgłośniejsze, jakie się dało i słychać je było bardzo długo.



Ja: Jesteśmy w meeeeeeeeeeeeeetrze!

Ale masakra. Wszyscy aż podskoczyli. Moje echo słyhać było na drugim końcu świata. Wyobrażałem sobie, że niby Papa i Agnes i Babcia Ama to słyszą. Wyobrażałem sobie, że niby odkrzykują:

Papa i Agnes i Babcia Ama: Słyszeliśmy cię! Mamy nadzieję, że ci się tam podoba!

•

Dziwnie pachnie, jak pociąg nadjeżdża. To jest jak wiatr. Jest gorący i śmierdzi okropnie. Wstrętne uczucie, kiedy wieje prosto w twarz.

Ja: To pierdy.

Lydia: Weź ty się. Wcale nie.

Ja: Właśnie, że tak. To pierdy wszystkich ludzi z pociągu. Właśnie ci się przylepiły do twarzy. Teraz masz opierdzoną twarz.

Kiedy pociąg przyjeżdża, wszyscy zaczynają się pchać. Nie mogą się doczekać, żeby się dostać do pociągu. Wpadają w panikę, że nie będzie miejsca. Weźcie wy się! Dla wszystkich wystarczy! Pociąg jest długi jak cały tunel! Kiedy pociąg ruszył, zrobiło mi się w brzuchu tak, jak w samolocie. O mało się nie wywróciłem. Wszyscy wpadali na wszystkich. *Asweh*, masakra.

Chciałem, żeby Mama z nami stała, ale nie chciała. Woli siedzieć. Pani siedząca obok niej miała różowe włosy. Fajnie.

•

Tam, gdzie mieszka Ciocia Sonia, wygląda tak samo jak tu, gdzie ja mieszkam. Nawet nie wydawało się, że to daleko. Też są bloki, ale nie takie wysokie jak mój, tylko takie jak te z mieszkaniami dla nienormalców. Ciocia Sonia mieszka w domu. Jest ich cały szereg, wszystkie wyglądają tak samo, tylko drzwi mają w różnych kolorach, a zamiast ogródków czasem jest zwyczajny chodnik.

Niektórzy stawiają samochody na miejscu ogródka. Jeden stał tuż przy oknie, jakby czekał, żeby wejść do środka, ale nikt nie chciał go wpuścić. Wyobraziłem sobie, że niby ten samochód jest psem. Wystawili go do ogrodu, żeby się załatwił, a teraz chce wrócić, ale nikt go nie słucha. *Asweh*, to było bardzo śmieszne. Ale właściwie było mi go żal.

Z początku myślałem, że dom Cioci Soni jest cały jej, ale okazało się, że tam są

dwa mieszkania. Mieszkanie Cioci Soni jest na dole, a drugie na górze. Ciocia Sonia ma olbrzymi telewizor. Jest super cienki i wisi na ścianie jak obraz. Wszystko w tym mieszkaniu wygląda na zupełnie nowe. Ciocia Sonia ma drzewko w doniczce. Jest malutkie. Drzewo w domu to jakiś obłąd. Nie podobało mi się. Martwiłem się, co będzie, jak drzewko urośnie do sufitu. Wtedy by zginęło.

Ja: Co będzie, jak ono urośnie?

Ciocia Sonia: Nie urośnie, już takie zostanie. To jest specjalne drzewko, które wcale nie rośnie.

Jak dziecko, które umiera, kiedy jest jeszcze dzieckiem. To draństwo, żeby tak robić drzewom. Gdybym był drzewem, ryczałbym cały czas, aż w końcu ktoś by przyszedł i wypuścił mnie na dwór.

Ciocia Sonia zrobiła kaszę kukurydzianą i rybę. Tak się najadłem, że myślałem, że brzuch mi pęknie. Nawet wypilem filiżankę herbaty z dwiema łyżeczkami cukru. Ciocia Sonia upuściła łyżeczkę na podłogę. Ale narobiła hałasu. Twarz jej znieruchomiała.

Ja: To przez te twoje palce.

Mama: Harrison.

Ciocia Sonia: Nie szkodzi. Nie są małymi dziećmi, powinny wiedzieć.

Lydia: Ja chcę wiedzieć. Zawsze macie przed nami sekrety.

Mama: Lydia.

To prawda, Mama ma swoje tajemnice. Kiedy szukałem czekolady w sekretnej szufladzie, znalazłem losy na loterię. Mama zawsze mówi, że loteria jest dla głupców i że równie dobrze można wyrzucić funta do śmieci.

Ciocia Sonia: Co w tym złego? Nie chcę ich okłamywać.

Mama westchnęła głęboko. To znaczy, że się poddała. Dalej zmywała naczynia, a robiła to tak szybko, jakby się ściagała z czasem. Uwielbiam, jak Ciocia Sonia wygrywa. Opowiada najciekawsze historie. W dodatku prawdziwe.

Ciocia Sonia przypaliła palce na kuchence. Tak jest najłatwiej.

Ciocia Sonia: To nic specjalnego. Trzyma się palce na rozgrzanej płycie, aż skóra się spali.

Ja z Lydią: Bolało?

Ciocia Sonia: Pierwszy raz to naprawdę strach. Czuje się zapach smażonej skóry. Trzeba oderwać palce, zanim na dobre się przykleją. Ten pierwszy raz płakałam.

Słabo mi się zrobiło, kiedy sobie to wyobraziłem. Ta historia już mi się bardzo

podobała.

Ciocia Sonia: Właściwie prawie się tego nie czuje. Łatwiej, jak się człowiek przedtem napije. Jak zresztą ze wszystkim.

Mama: Nie opowiadaj im takich rzeczy.

Lydia: Czy dziwnie się z nimi czujesz?

Wyglądają dziwnie. Opuszki palców Cioci Soni są całe czarne i błyszczące. Wyglądają, jakby bolały. Wyglądają jak palce zombi.

Ciocia Sonia: Czasem. Nie mam dość czucia, jak biorę coś do ręki.

Lydia: Ale co na przykład?

Robiliśmy Cioci Soni testy. Dawaliśmy jej do ręki mnóstwo różnych rzeczy i miała nam powiedzieć, czy czuje je, czy nie. Zaczęliśmy od pilota od telewizora. Najpierw nie mogła nawet zmienić kanału.

Ciocia Sonia: Guziczki są za małe.

I nawet nie kłamała. Lydia chciała, żeby Ciocia Sonia poczuła wzór na bluzie. To takie gwiazdki na rękawie. Ciocia Sonia miała skupioną minę, ale widać było, że to na nic.

Mama: Dostyc już tego. Dajcie jej spokój, nie jest zwierzęciem w zoo.

Lydia: *Adzei*, nie wiem, jak mogłaś to zrobić. Ja bym nie potrafiła.

Ciocia Sonia: Robisz to, co musisz.

Mama: Nie musiałaś.

Ciocia Sonia: Uważałam wtedy, że muszę. To jedyna sprawa, gdzie wasza mama i ja nigdy się nie zgadzamy.

Mama: Nie jedyna.

Ciocia Sonia: Ale dalej mnie kochasz, prawda?

Ciocia Sonia przypaliła sobie palce, żeby pozbyć się odcisków palców. Teraz w ogóle ich nie ma. To jest po to, żeby policja jej nie odesłała, gdyby ją złapali. Odciski palców mówią policji, kim jesteś. Jak ich nie masz, nie możesz być kimś. Policja nie wie, skąd jesteś i nie może cię tam odesłać. Muszą ci wtedy pozwolić zostać.

Ciocia Sonia: Zrobiłam to najprostszym sposobem. Niektórzy używają zapalniczki albo brzytwy. Ale to zajmuje bardzo dużo czasu. A ja po prostu zrobiłam tak, żeby jak najszybciej mieć to z głowy.

Za każdym razem, kiedy odciski palców odrastają, musi znowu je wypalić. Straszna rzecz. Ciocia Sonia mówi, że przestanie je sobie przypalać, jak tylko znajdzie swoje wymarzone miejsce na świecie. Kiedy będzie mogła tam zostać na zawsze i nikt jej tego nie zepsuje, ani nikt nigdzie jej nie odeśle, to wtedy pozwoli

swoim odciskom palców odrosnąć już na dobre.

Ja: To mogłoby być tutaj.

Ciocia Sonia: Mogłoby. Zobaczymy.

Ja: Mam taką nadzieję. Wtedy moglibyśmy do ciebie przyjechać na Boże Narodzenie. Jeśli dostanę PlayStation, to możemy grać na tym dużym telewizorze, na pewno będzie super.

Ciocia Sonia nawet nic złego nie zrobiła. Nikogo nigdy nie zabiła, ani nic nie ukradła. Po prostu lubi jeździć w różne miejsca. Niektóre kraje, jeśli jesteś czarny, nie wpuszczają cię. Trzeba się przekraść. Jak już tam jesteś, musisz się zachowywać jak wszyscy. I Ciocia Sonia tak właśnie robi. Chodzi do pracy i na zakupy. Je obiad i idzie do parku. W Nowym Jorku jest Central Park. Jest tak wielki, że zmieściłoby się tam sto placów zabaw i jeszcze jest ślizgawka.

Ja: Jak się upadnie na lodzie, to trzeba podkurczyć palce, żeby ich nie odcięło. Moja koleżanka Poppy mi mówiła.

Ciocia Sonia: Harrison ma dziewczynę?

Ja: Nie! I tak samo jest ze strażakami, kiedy nie widzą cię w dymie i muszą po omacku szukać. Zawsze macają wokół siebie wierzchem dłoni, bo inaczej, jeśli natrafią na przewody, to palce automatycznie chwytają i w ten sposób jest się śmiertelnie porażonym prądem.

Ciocia Sonia: Naprawdę?

Ja: Absolutnie!

*Asweh*, bardzo chciałbym pójść na ślizgawkę. Żeby móc się poślizgać, to bym sobie nawet wypalił odciski palców. Zrobiłbym to na płycie kuchennej, tak jest szybciej. I właściwie to nie jest oszukiwanie. Zapłaciłbym za łyżwy jak wszyscy inni. Ciocia Sonia kupiła mi prawdziwą skórzaną piłkę do futbola. Lydia dostała CD z Tinchy'm Stryderem. Ciocia Sonia zawsze wie, co najbardziej chciałoby się dostać, czyta ludziom w myślach.

Jak wrócił Julius, to już musieliśmy iść. Miał swój kij bejsbolowy, ale nie miał piłki, więc nie mogliśmy pograć. Julius na swój kij mówi Przekonywacz. Zawsze przynosi go z pracy do domu. Poklepuje go i czule do niego przemawia, jak do grzecznego psa. Można sobie wyobrażać, że te wszystkie rysy i zadrapania na nim są niby od walki z innym psem.

Julius: Zarobił dzisiaj na swoje utrzymanie. Zrobisz mu kąpiel, eh?

Ciocia Sonia zabrała kij do kuchni, żeby go umyć. Też musiała chyba udawać, że to niby jest pies. Tylko że nie można spytać dlaczego, bo jak jest za dużo pytań, to Juliusa zaczyna boleć głowa. Trzeba mu po prostu pozwolić popijać

w spokoju bimber.

Julius: Chcesz trochę, Harri?

Ja: Nie, dzięki!

Julius: Jedyńi potrzebni człowiekowi przyjaciele – kij bejsbolowy i drink. Jeden po to, byś miał to, co chcesz, a drugi, żeby zapomnieć, jak to zdobyłeś. Któregoś dnia zrozumiesz, o co mi chodzi. Bądź grzeczny jak najdłużej się da, eh? Zwyczajnie zostań taki, jaki jesteś.

Ja: Dobrze!

W metrze, kiedy wracaliśmy, zobaczyłem panią z wąsami. Najpierw myślałem, że to brud, ale kiedy spojrzałem drugi raz, to były zdecydowanie włosy. Nie takie gęste jak u pana Carrolla, ale wiadomo było, że to włosy. Chciało mi się śmiać, ale się powstrzymałem.

Nie widzieliśmy żadnego fryzjera na rowerze. Nie wydaje mi się, żeby tu mieli coś takiego. Kwadwo był moim ulubionym fryzjerem tam, gdzie przedtem mieszkałem. Jego rower miał jeszcze radio, a Kwadwo zawsze ostrzegał cię, zanim przejechał ci brzytwą po szyi, więc był czas, żeby się na to przygotować. Teraz musimy chodzić do zakładu. Fryzjer nazywa się Mario. Jest dosyć gburowaty. Kiedy przekręcał mi głowę, robił to za gwałtownie. I za szybko. I ma takie owłosione palce. Mario w dodatku nie odzywał się do mnie. I nawet w ogóle nie cierpi strzyc ludzi.

Dean: Jest fryzjerem, więc może sprzedawać te stare włosy do Chin. A tam zrobią z tego ubrania, jasna sprawa.

Najpierw spytałem Mamę, czy mogę sobie zrobić warkoczyki *cornrows*.

Mama: Po co? Chcesz wyglądać jak jakiś dresiarz?

Ja: Nie. Po prostu podoba mi się to. Jest klasa.

Lydia: On chce mieć warkoczyki, bo Marcus Johnson je ma.

Ja: Idź ty. Wcale nie dlatego.

Mama: A kto to jest Marcus Johnson?

Lydia: Z najstarszej klasy. Myśli, że jest twardziel. Zmuszają młodsze dzieciaki, żeby robili dla nich różne numery. Wszyscy koło nich muszą latać. To jest bardzo smutne. On siebie nazywa X-Fire.

Ja: Głupia, pisze się X, a czyta się Cross, on się nazywa Cross-Fire. To tylko napisane na murze wygląda jak X.

Lydia: Wszystko jedno. I tak to jest smutne.

Ja: Wcale nie. Przynajmniej nikt mu nie mówi cały czas, co ma robić, nie to, co ty, jak mi każesz zabijać pluskwy. Sama sobie je tłucz, do mnie wcale nie

przychodzą.

Lydia: Raz tylko tak było. Co ty opowiadasz? Że jestem niby brudna?

Ja: Jedna weszła ci do nosa, kiedy spałaś. Sam widziałem na własne oczy. Pewnie urządziła sobie domek u ciebie w mózgu. Założyła ogródek i kupiła antenę satelitarną, zostanie tam na zawsze.

Lydia: Idź ty!

Mama: Przestań drażnić się z siostrą! A i tak masz za krótkie włosy na warkoczyki. Możesz mieć na języka. I nie rób min.

Właśnie tak mam. Mario w ogóle nawet nie wiedział, co to.

Mario: Chodzi ci o numer jeden czy numer dwa?

On to nazwał numer dwa! Jak Boga Kocham! Najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałem w życiu! Mario jest jakiś porąbany. Od dziś zapuszczam włosy, aż będą dość długie, żeby zrobić sobie warkoczyki. Nie obchodzi mnie, co Mama mówi. Będę miał wtedy tyle odwagi, żeby podjąć się każdej misji i będą musieli mnie przyjąć do gangu.

Numer dwa to też jest jedna z nazw na kupę. Wiem, wiem, sam w to nie mogłem uwierzyć!

•

Jak się wyjdzie z mojego wieżowca, to trzeba iść przejściem podziemnym, obok przedszkola i innych domów, a potem jest skwer. Jest całkiem duży. Są tam dwie bramki, ale bez siatki, i plac zabaw z huśtawkami, karuzelą i takimi różnymi. Jest też mały statek piracki i pełno różnych bujaków na sprężynach: dżip, motocykl i dwie biedronki. Siedzi się na nich, a one bujają się na wszystkie strony. Ja na nie nie wsiadam, bo są frajerskie. Każdy to potwierdzi. Nadają się dla maluchów. Huśtawki są zawsze połamane, bo psy je gryzą.

Najlepsza rzecz to drabinki, ale nigdy nie można się na nie dostać, bo należą do Załogi Dell Farm. Oni zawsze tam przesiadują. Nie bawią się ani nic, tylko siedzą, palą szlugi i gwizdzą, kiedy ktoś tamtędy przechodzi. Jak już sobie pójdą, to śmierdzi tam papierochami i jest pełno potłuczonego szkła. Ja już sobie nie zawracam tym głowy. Wejdę na drabinki tylko wtedy, kiedy mnie zaproszą, ale jak mnie poczęstują fajką, to powiem, nie, dziękuję. Próbuję rzucić, lekarz mi zakazał (to najlepszy sposób, żeby się z czegoś wykręcić).

Przy placu zabaw jest znak:



Ale nawet nie wiadomo, jakie jest pytanie. Na każde pytanie należy odpowiadać nie.

Ja: No dobrze, a jeśli spytają, gdzie jest szpital? Jeśli potrzebują pomocy?

Jordan: Nie bądź naiwny. Nigdy nie potrzebują pomocy. Chcą cię wywieźć furgonetką i rznąć cię w dupę, jasna sprawa.

Kompletny obłęd. Nikt mnie jeszcze nie prosił o seks. Większość osób normalnie prosi o pomoc. Jak zobaczę kogoś obcego, to sam pierwszy zapytam, czego szuka. Jeśli odpowiedź jest właściwa, wtedy można czuć się bezpiecznie. W ogóle nawet nie będzie próbował seksu ze mną. Jordan jest porąbany.

Jordan: Dalej koleś, rozglądaj się.

Jak dotąd znalazłem tylko butelkę po piwie. Jordan ma trzy. Ale nie za bardzo się przykładałem. Tak naprawdę to rozglądałem się za narzędziem zbrodni. Jeśli nie ma go nad rzeką, może jest tutaj. Wokół placu zabaw zawsze walają się strzykawki. Nawet nikt nie próbuje ich zakopywać, leżą sobie na wierzchu. Mógłby być i nóż. Wszystko zależy od tego, jak sprytny jest zabójca. Jeśli jest sprytny, to wyrzucił broń do morza albo głęboko zakopał. Ale jeśli był na haju albo napruty, to mógł ją wyrzucić gdziekolwiek.

W ziemi na placu zabaw jest dziura po karuzeli-twisterze. Jordan ją podpalił. To było wieki temu, zanim tu przyjechałem. Ziemia w miejscu, gdzie przedtem stał twister, jest cała czarna i wypalona, zupełnie jakby w to miejsce trafił piorun. Jordan zawsze się przechwala, jak coś złego zrobi:

### **NAJWIĘKSZE WYSTĘPKI JORDANA:**

Podpalenie twistera

Wypicie całej butelki wódki (to coś takiego jak bimber)

Wypuszczenie powietrza z opon radiowozu

Wrzucenie fajerwerków do pojemnika na śmieci

Kopnięcie nauczyciela

Wrzucenie kota do zsypu  
Kradzież snickersa z supermarketu  
Ciuknięcie paru osób  
Nazwanie dorosłej osoby ch...  
Rozbijanie butelek po piwie

Jordan okręcił mi szyję ramieniem i zacząłem się krztusić. Spojrzałem w górę, czy mój gołąb nie nadleci i nie zrobi mu kupy na głowę, ale niestety. Przelatywały tylko i nie zatrzymywały się. Poddąłem się, bo nie chciałem zakaszleć się na śmierć.

Jordan: Musisz to zrobić, koleś. Zawsze wszystko spada na mnie. Jeśli tego nie zrobisz, to jesteś zwyczajny mięczak.

Ja: Przecież ja to robię! Robię to!

Chciałem już wracać do domu, ale musiałem czekać na powrót Lydii z Klubu Tanecznego. Powinienem mieć klucz. Co z tego, że Lydia jest o dwie klasy wyżej, to nie fair, że ona ma klucz, a ja nie. Jestem w końcu jedynym mężczyzną w domu.

Jordan: Ja pójdę pierwszy. Nie zamykaj oczu, masz patrzeć na każdą po kolei. Rozpier...my je co do jednej.

Mieliśmy potłuc wszystkie. Nie wolno przestać, nawet gdyby szedł ktoś dorosły, mieliśmy tłuc dalej, aż do ostatniej. Tylko w ten sposób zdobywa się wszystkie punkty. Jordan zaczął. Czekałem na ostatnią. Jak się rozbija ostatnią, to wtedy nawet nie jest przestępstwo.

Jordan uwielbia tłuc butelki, to widać. Oczy mu błyszczą i robią się takie okrągłe. Rzucił pierwszą butelką wysoko. Kiedy upadła, rozwalila się na milion kawałków. Z jednej strony strach, a z drugiej bardzo przyjemnie. Potem rzucił następną i jeszcze następną. Wszystkie rozbiły się na alejce. Chciałoby się uciec, ale nie można było się nawet ruszyć. A jedną to w ogóle nawet rzucił od tyłu, zza pleców. To był najlepszy moment. Potem przyszła moja kolej.

Jordan: Rzucaj wysoko, żeby się lepiej rozbiła.

Ja: Czy mamy potem pozbierać rozbite szkło?

Jordan: Nie bądź ciotą, ci z administracji to zrobią, to ich sprawa. Dawaj, człowieku, rozwal następną k...

Naśladowałem styl Jordana. Podrzuciłem tę moją butelkę w górę i wylądowała mi za plecami. Szkło rozprysnęło się na chodniku. No masakra. Zupełny odlot. W ogóle nikt nam nie przeszkadzał, za bardzo się wszyscy bali coś powiedzieć.



Ja: Ile za to punktów?

Jordan: Daję ci dziesięć.

Ja: Jak to!?! To nie fair, mówiłeś, że sto!

Jordan: Człowieku, zamknij się. Miałeś mieć otwarte oczy, więc dostajesz tylko dziesięć punktów. Nie można być takim mięczakiem.

Mówiłem już, Jordan zawsze ściemnia. Tylko go popchnąć, a on by zaraz udusił. Chciałem już uciekać, kiedy zobaczyłem, że nadchodzi Lydia. Można powiedzieć uratowała sytuację. Dalej miała na sobie ten kostium papugi. Uwielbia go, nie obchodzi jej, co kto o nim myśli.

Jordan: Człowieku, twoja siostra jest przygłupia. Myśli, że jest kurą.

Ja: To nie kura, tylko papuga.

Przywaliłem jej w ramię na wypadek, gdyby Jordan dalej się przyglądał.

Lydia: Au! Co ja ci zrobiłam?

Ja: Przepraszam! To niechcący.

*Zadajecie sobie tyle trudu, żeby nas przeganiać. Zastłaniacie nasze ulubione miejsca noclegowe siatką stalową i kolcami. Tam, gdzie prawo na to pozwala, strzelacie do nas z kalibru 22, trujecie nas strychniną, wyklejacie parapety lepem na muchy i potem przyglądacie się, jak wykonujemy pokraczny taniec usiłując się odkleić, macie przy tym dobrą zabawę naszym kosztem. Co za upokorzenie, nie wiem, gdzie wzrok podziąć. Mam się pozbierać i udawać, że wszystko jest okej, łańcuch pokarmowy działa, ja pod, ty nad, ot, zasady gry.*

*Myślicie, że to wy ustalacie zasady, można skończyć ze śmiechu. Za każdym razem mnie to śmieszy. Lepiej, żeby to nie było trujące.*

•

Wulkany to zwyczajne góry z ogniem w środku. Ogień pochodzi z rzek pod ziemią. Wybuchają tylko wtedy, kiedy bóg wulkanów jest zły. W każdym razie dawniejsi ludzie tak myśleli.

Pan Carroll: Słusznie, Harrisonie, ludzie tak myśleli.

Ja: Ale tak naprawdę to Piekło jest tam pod spodem, prawda proszę pana?

Pan Carroll: To ciekawa teoria. Zdecydowanie jest tam tak gorąco jak w piekle, to na pewno.

Wszyscy się ze mnie śmiali. Tutaj nie wierzą w Piekło. *Asweh*, czeka ich niemiła niespodzianka! Spalą się jak ludzkie grzanki!

Dawno temu ludzie myśleli, że bóg ognia mieszka w wulkanie. Przeształ wyrzucać na nich ogień dopiero wtedy, kiedy mu wrzucali do wulkanu dziewicę do zjedzenia. Myśleli, że są różni bogowie od różnych rzeczy. Myśleli, że jest bóg nieba i bóg drzew i bóg wulkanów i bóg mórz. Wszyscy ci bogowie cały czas się gniewali. Trzeba było ich ciągle karmić, bo jeśli nie, to niszczyli ludzi. Bóg mórz robił powódź, bóg nieba ciskał pioruny, albo znowu bóg drzew zwałił ci się na dom. Zawsze chcieli zabijać, chyba że karmiło się ich dziewczycami. *Asweh*, ci dawni ludzie byli strasznie głupi. Dziewica to pani, która jeszcze nie wyszła za mąż. Bardzo są cenne, bo są rzadkością. Tylko bogowie mogą je jeść. Od mężatek mieli sraczkę. Każdy to potwierdzi.

•

Kiedy po południu sprawdzali listę obecności, Poppy dała mi list. Miałem go nie otwierać do powrotu do domu i nie pokazywać nikomu. Upewniłem się, że

nikt nie patrzy, poszedłem do swojego pokoju, zamknąłem drzwi i stanąłem do nich twarzą, żeby żadni najeźdźcy nie mogli się wdrzeć. Zrobiło mi się dziwnie w brzuchu i słabo, bo co będzie, jeżeli to jakiś kawał.

Czy lubisz mnie?

tak

nie

Należało odhaczyć we właściwej kratce. Miałem Poppy oddać list z powrotem po feriach. Nie wiem, co się stanie, kiedy go oddam. *Asweh*, mam nadzieję, że wybrałem prawidłową odpowiedź!

**Май**



Dzisiaj był festyn. Na skwerze. Lało jak z cebra, ale i tak każdy przyszedł. Wszystkie parasole reklamowały papierosy. Tancerze mimo wszystko tańczyli. Mieli tak kolorowe pióra, że wydawało się, że świeci słońce. Jedna biała pani była przebrana za pawia. Makijaż jej się rozpuścił i spływał po twarzy. Wyglądała przez to jak popsuta kukielka. Kupa śmiechu, krople deszczu wpadały jej do ust, kiedy się uśmiechała, i musiała je wypluwać. Ale się nie przejmowała.

Były też bębny djembe. Same nogi niosły do tańca. Nawet biali i starzy też tańczyli. Koło mnie stała dziewczyna z mieszkań dla nienormalnych. Tańczyła jak małe dziecko. Cała spięta, ledwo się poruszała. Tylko patrząc na jej stopy można było poznać, że tańczy. Trochę przytupywała, sztywno i nieśmiało. To jedyny taniec, jaki zna.

Żal mi się jej zrobiło. Chciałem ją nauczyć tańczyć naprawdę, ale nie było czasu. Ominęłyby mnie te wszystkie atrakcje. Więc udawałem, że niby dobrze tańczy, że to taki jej własny styl.

Byli goście na szrudłach, wiecie, takich, co się na nich stoi i się wygląda na bardzo wysokiego. Coś przerażającego. Było bardzo ślisko i cały czas czekałem, że się poprzewracają. Pomodliłem się za nich w myśli, żeby nie upadli. Niektórzy szrudlarze jeszcze do tego żonglowali. Żonglowanie to jest jak się podrzuca i łapie piłeczkę, tyle tylko, że są trzy piłeczki i nie wolno żadnej upuścić. *Asweh*, masakra.

Ja: Agnes szalałaby, tak by jej się podobało! Mógłbym nauczyć się żonglować, jak przyjedzie. Gdzie sprzedają piłeczki do żonglowania?

Mama: Wystarczą tenisowe.

Ja: Kupisz mi? Potrzebne mi są trzy.

Mama: Zobaczymy.

Terry Nawynos ukradł słoje parówek do hotdogów ze stolika loteryjnego i nikt nawet nie próbował go złapać. On mówi na parówki Kutasy Scooby Doo.

Terry Nawynos: Są dla Asbo. Uwielbia je, prawda piesku?

Kiedy Asbo podszedł do mnie, żeby się przywitać, Mama się przestraszyła. Musiałem ratować sytuację.

Ja: Nie bój się, on nie gryzie, jest słodki, patrz!

Asbo położył się na grzbiecie, żebym mógł go podrapać po brzuchu. Uwielbia to. W ogóle ma nawet pępek, który wygląda jak malutka pupka. Potem przyszła kolej na Klub Taneczny. Wszystkie były przebrane za papugi. Lydia ciągle zapominała o uśmiechu. Była za bardzo skoncentrowana na tym, żeby nie pomylić kroków.

Ja z Mamą: Dalej, Lydia! Prosimy o uśmiech!

A w ogóle to genialnie jej poszło. Nic nie pomyliła. Liczyłem, że Miquita się przewróci, ale przewróciła się jakaś inna dziewczyna. Poślizgnęła się i wylądowała na tyłku. Reszta dalej robiła swoje aż do końca. Przywalily jej dopiero, jak skończyły tańczyć, potem mówiły, że się posikała, bo miała wielką plamę na tyłku. Ale to było kłamstwo i tyle. Wiedziały, co się naprawdę stało, bo same widziały. Ale śmieszniej jest powiedzieć, że ktoś się zsikał. Zsikanie się jest śmieszniejsze niż po prostu upadek. Każdy to potwierdzi.

Młodsze dzieciaki: Zeszczala się, zeszczala się!

Dziewczyna: Spier...cie!

•

Na loterii wygrałem lornetkę. *Asweh*, nieźle mi się trafiło. Jest w kolorach ochronnych o wzorze panterki i nawet działa, chociaż to tylko plastik. Patrzyłem przez nią na cały świat. Wszystko przez nią jest bliżej. Widziałem anteny satelitarne przy oknach mieszkań, i krzyż na prawdziwym kościele, i dziurę po kuli na rozbitej latarni. Rozglądałem się po dachach za narzędziem zbrodni, ale nie widziałem go nigdzie. Mój gołąb siedział na dachu Centrum Jubileuszowego, kiedy mnie zobaczył, mrugnął do mnie, potem odleciał, ale za szybko, żebym mógł go śledzić lornetką. Zakręciło mi się w głowie od tego patrzenia, więc dałem sobie spokój.

•

Cała Załoga Dell Farm była tam, ale w ogóle ze mną nie rozmawiali. Moja nowa misja może poczekać, nie prowadzi się interesów w dzień festynu. To jest właśnie najlepsze w tym całym festynie, że na cały dzień wszyscy zapominają o pracy i tylko jest zabawa. Mam nadzieję, że Killa zatrzyma sobie Miquitę, bo wtedy nie będzie mi przeszkadzała. Próbowałem ją przypalić zapalniczką. Chciała się wyrwać, ale ją z powrotem przyciągnąłem. I jeszcze nawet się śmiała, jakby jej się to podobało. Co za obłęd. Dziewczyny są głupie.

Przestał dopiero, jak przejeżdżał radiowóz. Znieruchomiał i twarz miał zaciętą. Widziałem to przez lornetkę. Cała załoga naciągnęła kaptury i stała jak kamienne figury. Nikt już się nie śmiał. Potem się zmyli.

Kiedy przejeżdżała policja, obszcymurki rzucały w radiowóz puszki po piwie.

Radiowóz się zatrzymał. Obszczymurki się przestraszyły. Myślały, że policjant wyjdzie i ich zaaresztuje, więc się uspokoiły. Radiowóz ruszył dalej, a obszczymurki zadowolone zaczęły się drzeć, jakby wygrały wojnę. *Asweh*, kupa śmiechu. Lornetka bardzo się przydaje, żeby przybliżyć różne rzeczy.

•

Lydia nie zdejmowała kostiumu papugi przez cały dzień. Zaśpiewała Agnes piosenkę papug. Agnes szalała, tak jej się podobało. Śmiała się tak jak wtedy, kiedy fala morska nadpływa, ląduje na człowieku i ze śmiechu trudno się uspokoić. Agnes umie już powiedzieć Harri. Umie już powiedzieć Mama i Papa i Lydia i Baba. Umie nawet powiedzieć swoje imię. Wszystko kazaliśmy jej powtarzać. Bardzo jej się podobało. Wymieniała nasze imiona po sto razy, i to jak głośno! *Asweh*, to było bardzo śmieszne!

Mama próbowała ją zmusić, żeby powiedziała Harrison, ale nie chciała. Mówiła tylko Harri. Mama się nawet nie złościła, uśmiechała się od ucha do ucha.

Agnes: **Harri!**

Mama: O tak! Brawo, kochanie!

Ja: Uważaj na moje uszy! Odpadną mi!

Agnes: **Harri!**

Harri to jej ulubione słowo. Wyraźnie bardziej jej się podobało niż wszystkie inne. Nie chciała w ogóle przestać. Mówiła jeszcze Harri, kiedy karta telefoniczna się skończyła.

Agnes: **Harri! Ha**

Nie mogę się doczekać, kiedy Agnes będzie знаła już wszystkie słowa, wtedy opowiem jej moje najlepsze historie. Pierwsza, którą jej opowiem, będzie o człowieku ze sztuczną nogą. Leciał tym samym samolotem, co ja. Miał sztuczną nogę z drewna. I stopę w prawdziwym bucie. Zanim poszedł spać, zdjął nogę i dał ją do potrzymania żonie. Żona zasnęła trzymając ją jak dziecko. Bardzo to było śmieszne. Fajna sprawa. Wyobrażałem sobie, że niby ta noga jest dzieckiem, a ta żona jego mamą.

Jeśli komuś noga odpadnie za życia, to w Niebie mu odrośnie. *Asweh*, Agnes spodoba się ta historia!

Dzisiaj nie było kościoła z powodu wybitych szyb i brzydkich wyrazów. Pan Frimpong prawie płakał. On z nas wszystkich najbardziej kocha kościół. Mama go uścisnęła, żeby go pocieszyć. Wydawało się, że jego kości zamienią się w proch na miejscu.

Pan Frimpong: To takie bezsensowne. Żadnego szacunku do niczego.

Najpierw nawet się ucieszyłem, męczy mnie śpiewanie pieśni kościelnych. Zawsze są te same, a nie ma Kofiego Alloteya, żeby śmiesznie zmieniać ich słowa. Ten kościół nawet nie jest prawdziwym kościołem. Zwyczajna sala w Centrum Jubileuszowym, z tyłu za Klubem Młodzieży. Ona staje się kościołem tylko w niedzielę, a w inne dni grają tam w bingo i seniorzy mają jakieś zajęcia. Wszyscy chcieli, żeby ta mokra plama, co jest na dachu, była Jezusem, ale tak naprawdę ona wygląda po prostu jak ręka bez palców.

Rozwalili szyby przez siatkę. Napisali ZDF wielkimi literami na całą ścianę. Derek próbował zetrzeć napis, ale się nie dało.

Mama: Co to jest ZDF?

Pan Frimpong: Kto to wie? Jakiś ich kod. Głupoty.

Nie powiedziałem im, co to znaczy. Udawałem, że nie wiem.

Pan Frimpong: Kamery monitoringu ich zarejestrują?

Derek: Pewnie będą mieli zasłonięte twarze, to prymitywy, ale nie są głupi.

Dlatego Mama nie chce, żebym miał bluzę z kapturem do zakrywania twarzy. A ja wcale nie chcę zasłaniać twarzy, tylko chcę, żeby mi było ciepło w uszy. Nienawidzę, jak Mama nazywa mnie kłamcą.

•

Chcieli, żeby to wyglądało jak gówno na oknach, ale wiadomo było, że to tylko batonik Snickers. Kawałki były za bardzo kwadratowe i widać było wystające orzeszki ziemne, nikt nie dałby się nabrać.

Ja: Moglibyśmy pójść do prawdziwego kościoła, tam, gdzie ten zmarły chłopiec miał pogrzeb. Tu zaraz blisko za rogiem.

Mama: To nie jest odpowiedni kościół.

Ja: Dlaczego?

Mama: Dlatego. Śpiewają inne pieśni. Nie te, które my znamy.

Ja: Możemy się ich nauczyć. Mogą być lepsze.

Mama: Nie są lepsze. Nie znamy ich.

Ja: Nie rozumiem. Tu nawet nie ma prawdziwego kościoła. Tam był pogrzeb



tego zmarłego chłopca. Musi być dobry.

Mama: Nie jest odpowiedni i tyle.

Pan Frimpong: Cholerni katolicy. Chcą nas zarazić AIDS, żeby nam ukraść z powrotem nasze ziemie. Taka jest prawda.

Dalej nie rozumiem. Ma krzyż i tak dalej. Musi być odpowiedni, jeśli jest tam krzyż.

Nie wiem, dlaczego trzeba za każdym razem śpiewać pieśni. Zamiast tego czasem można by grać na bębnach djembe, albo po prostu się modlić. Panu Bogu pewnie się już znudziło to śpiewanie, słyszał je milion razy. Pewnie dlatego wywołuje trzęsienia ziemi. Ja bym na jego miejscu kazał im zaśpiewać nową pieśń, taką, której przedtem nie słyszałem, bo jak nie, tobym im zesłał następne trzęsienie ziemi. Ciągłe te same pieśni za każdym razem to zwyczajne lenistwo.

Ja: Chcesz, żebym przyniósł lornetkę? Mam w domu. Wtedy mógłbym szukać tropów.

Derek: W porządku, Harri. Ja to zmyję.

To nie moja wina, że zniszczyli kościół. Gdybym był w gangu, to mógłbym opowiedzieć im o Panu Bogu. Mógłbym ich nawet uratować. Gang może też być do dobrych rzeczy, nie tylko do różnych draństw. Tam gdzie dawniej mieszkałem, to ja i Patrick Kuffour i Kofi Allotey i Eric Asamoah zawsze chodziliśmy na szlachetne uczynki. Zawsze nosiliśmy puste butelki po coli do Chaty Samsona. A raz to nawet pomogliśmy papie Patricka Kuffoura ocieplić ściany domu. Przeszukiwaliśmy ulice, znaleźliśmy pełno pudeł kartonowych, potem cięliśmy karton do odpowiednich rozmiarów. W nagrodę dał nam dużą butlę fanty. Piliśmy na wyścigi, a potem razem bekaliliśmy jak ropuchy podczas bitwy. Takie akcje, kiedy wszyscy pomagają i dostają potem jakąś nagrodę, są najlepsze. Ktoś powinien opowiedzieć o tym Załodze Dell Farm. Mógłbym się tego podjąć.

Lydia: Lepiej trzymaj się od nich z dala, tylko szukają guza.

Ja: A co z Miquitą? Ona jest jeszcze gorsza. Zawsze chce mi ssać, a ty jej nawet nie powstrzymujesz.

Lydia: To co innego. Co innego dziewczyny, ty tego nie rozumiesz. Ty musisz mieć odpowiednich kolegów, bo inaczej źle skończysz. Miquita tylko robi sobie jaja, nie można jej traktować poważnie.

Ja: Gdyby Pan Bóg widział, co zrobiłaś, toby ci oczy wylupił. Nie mam zamiaru być twoim psem-przewodnikiem, kiedy oślepniesz. Mogę cię najwyżej prowadzić na sznurku, a jeśli nie będziesz mogła nadażyć, to miej pretensje do

siebie. Ja będę miał różne sprawy do załatwienia, nie zamierzam na ciebie czekać.

Lydia: To była tylko farba!

Ja: Nie żadna farba, tylko krew.

Zdecydowanie na tym dresie była krew, dlatego połała go wybielaczem. Oboje o tym wiedzieliśmy. Widzieliśmy, jak to kłamstwo powoli narasta między nami, a potem pęknie jak guma balonowa. One zawsze w końcu pękają.

Lydia: Nie gadaj głupot, Harrison. To była krew Miquity, okej?

Ja: A skąd jej krew tam się znalazła? Nawet się nie skaleczyła.

Lydia: To nie taka krew. To krew dziewczynska. Sam nie wiesz, o czym mówisz! Idź sobie!

Pobiegła do pokoju Mamy i trzasnęła mi drzwiami przed nosem. Usłyszałem przez drzwi jej płacz. Jakiś obłęd. Chciałem ten płacz wyłączyć, chciałem, żeby przestała, ale niech ma nauczkę. Jak ktoś robi coś złego celowo, to jest gorsze, niż jak to robi niechcący. Pomyłkę można naprawić, ale jeśli coś jest celowe, to rozcina i ciebie, i cały świat po kawałku, jak nożyce kamień. Nie chciałbym być kimś, kto pociął cały świat.

Ja: Nie musiałabyś płakać, gdybyś nie była taka kłamczucha! I głupio wyglądasz przebrana za papugę! Możesz już zdjąć ten kostium, on śmierdzi! Festyn się skończył!

Lydia: Odpier... się!

*Asweh*, to już jakiś kompletny obłęd. Zrobiło mi się od tego zimno w brzuchu. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że to powie. W ogóle nie wiedziałem, co robić. Musiałem wyjść na balkon, żeby złapać oddech. Rozglądałem się wszędzie za moim gołębiem. *Asweh*, za dużo ich było i za daleko, żeby można było rozróżnić kolory. Próbowałem go nawet zwabić żelkiem Haribo, ale nie wrócił. Myślę, że nigdy już nie wróci.

Kyle Barnes nauczył mnie sztuczki z palcem. To bardzo łatwe: udajesz, że czegoś szukasz, tak jak wtedy, kiedy żebrzą o pensa, a ty niby szukasz tego pensa po kieszeniach. Musisz udawać, że niby zgubiłeś coś i szukać bardzo długo. Im dłużej szukasz, tym śmieszniej będzie na końcu.

Potem, kiedy już wyciągasz rękę z kieszeni, zamiast dać temu komuś tę rzecz, której niby szukałeś, pokazujesz mu środkowy palec. Kupa śmiechu.

Wypróbowałem na Maniku. Dał się nabrać. Masakra. Nie miał pojęcia, że pokażę mu środkowy palec. Nigdy w życiu by się nie spodziewał. Ale pamiętajcie, to działa tylko ze środkowym palcem (to ten, co znaczy to samo, co odpier... się).

Ja: Mam cię!

Manik: Gówno masz, koleś! Przynajmniej moje adidasy nie są obciachowe, co ty zrobiłeś ze swoimi?

Aż mi się w brzuchu przekreśliło. Wszyscy zaczęli się śmiać.

Wszyscy: Po coś to zrobił? Ale pedałstwo!

Ja: A co! Wcale nie!

Wszystko przez te paski. Namalowałem je, żeby moje buty wyglądały jak prawdziwe Adidasy. Zrobiłem to markerem. Markery można brać do domu pod warunkiem, że się odniesie po weekendzie do szkoły.

Nie wdychałem oparów. Raz tylko powąchałem, zanim zakreśliło mi się w głowie. Wcale nie odleciałem.

Namalowałem trzy paski, równiutko, nie były ani trochę krzywe, nic a nic. Z daleka wyglądają klasa. Śmiali się i śmiali bez końca. Wkurzyli mnie. Nienawidzę ich.

Ja: Odczepcie się!

Wszyscy: Nie ma szans, sorry! No nie, ale jaja! Co za palant! *Asweh*, jak Boga mego!

Nie będą się śmiali, kiedy już będę w Załodze Dell Farm. Wtedy im każę całować moje buty. I w dupę też mogą mnie pocałować.

•

Mama mówi, że kamery monitoringu to jeden ze sposobów Pana Boga, żeby nas mieć na oku. Kiedy Pan Bóg jest zajęty w jakiejś innej części świata, na przykład kiedy robi trzęsienie ziemi albo przyływ albo odpływ, jego kamery dalej cię widzą. W ten sposób nic nie ujdzie jego uwadze.

Ja: A ja myślałem, że Bóg widzi wszystko wszędzie w tym samym czasie.

Mama: Widzi. Kamery to tylko dodatkowa pomoc. W tych miejscach, gdzie diabeł bardzo mocno się trzyma. Chodzi o to, żeby czuć się bezpieczniej.

*Adjei*, diabeł musi być naprawdę mocny tu u nas, kamery mamy wszędzie! W każdym sklepie są dwie. Jedna tam, gdzie się zaczynają sklepy, druga tam, gdzie się kończą, no i przy kiosku z gazetami. W supermarkecie jest ich nawet trzy, tylko po to, żeby Terry Nawynos nie kradł piwa. Będę musiał sobie zasłonić głowę kurtką, bo nie mam kaptura. Jeśli będę dość szybki, kamera mnie nie dogoni. Będę jak duch. Taką miałem nadzieję.

Czekaliśmy na odpowiedni moment. Musiało być pusto. Żeby uciec i z nikim się nie zderzyć. Byliśmy we czterech, ja i X-Fire i Dizzy i Killa. Oni mieli namierzyć cel, a ja miałem uciec z fantem.

Dizzy: Nie bój się, ziom, po prostu masz być z nami, nie? Jak się okaże, że coś się zjeb..., dam ci znak. I wtedy po prostu spadasz, jasne?

Ja: Jasne.

Znakiem będzie kiwnięcie głową. Muszę tylko na to uważać. Muszę tylko iść za nimi. Jeśli zaczną biec, wtedy ja też, nic trudnego. Będę udawał, że niby jestem bombiarzem samobójcą, więc to nie będzie takie przerażające. Zawalę misję tylko wtedy, kiedy zwieję przed końcem.

X-Fire miał wskazać cel. Musiał to być ktoś słabszy, wtedy łatwo go przewrócić. Tacy nie mogą się bronić i jest szybciej. Mieliśmy ustawić się plecami do kamer, aż X-Fire wybierze cel. Udawaliśmy, że niby tylko się tak sobie przechadzamy. Pomacałem w kieszeni ząb krokodyla. Poprosiłem o odwagę, żebym był dość szybki.

•

Mój gołąb właśnie spacerował sobie przed kioskiem z gazetami. Nie mogłem do niego zagadać, bo musiałem uważać, żeby nie przegapić znaku, więc tylko kątem oka go obserwowałem. Miał w dziobie spory kawałek chleba. Dwa inne ptaki, czarnobiałe, dreptały za nim krok w krok. Chciały mu zabrać chleb. Nie dawały mu spokoju. Mój gołąb uciekał im, ale te inne dalej go ścigały. Jeden podszedł tak blisko, że jednak ukradł mu ten kawałek chleba z dzioba! *Asweh*, co za tupet. Było mi żal mojego gołębia. Chciałem te inne ptaki zabić.

Ale trzeba pamiętać, że one tylko chciały trochę chleba. Zresztą ten kawałek był za duży dla jednego ptaka. Po prostu go sobie zabrały. Nie mogły poprosić,

bo to tylko ptaki. I w końcu zrobiło mi się żal ich wszystkich.

•

X-Fire: Dobra, idziemy. Może być ten.

W naszym kierunku zbliżał się pan Frimpong. Dopiero co wyszedł z supermarketu. W pobliżu nie było nikogo. Wtedy się zorientowałem, że to pan Frimpong jest celem. Znowu zrobiło mi się niedobrze. Taki chudzina. Miał tylko jedną reklamówkę, z której wystawał chleb.

Pan Frimpong jest najstarszą osobą z kościoła. W tym momencie zrozumiałem, dlaczego śpiewa głośniej niż wszyscy inni: to dlatego, że najdłużej czeka, żeby Pan Bóg go wysłuchał. Myśli, że Pan Bóg o nim zapomniał. Dopiero teraz to zrozumiałem. Od tej chwili go pokochałem, ale było już za późno, żeby się wycofać.

Mam nadzieję, że go nie przewrócę.

X-Fire: Załatwimy tego pierdołę. Dawaj!

Pobiegliśmy. Dizzy i Killa biegli razem, a ja za nimi. Zasłoniłem głowę kurtką. Po prostu bawiłem się w bombiarza samobójcę. No i co z tego, że nikogo nie uderzę. Nie potrzebuję tych punktów. Biegłem i biegłem. Nawet nie chciałem patrzeć dokąd.

Nie mogłem się zatrzymać. Biegłem najszybciej, jak potrafiłem. Serce mi waliło. Czulem metaliczny smak w ustach i uderzenia wiatru. Po prostu biegłem.

Rozległ się potężny łomot. Usłyszałem, że jakieś rzeczy spadają. Brzęk tłuczonej butelki. Poczulem różnicę temperatur, kiedy drzwi się otworzyły i znalazłem się z drugiej strony sklepu. Biegłem dalej. Na nic nie chciałem patrzeć.

Ja: To nie byłem ja to nie byłem ja to nie byłem ja. (Tak sobie tylko mówiłem w myśli.)

O mało nie wpadłem na barierki. Zdjąłem kurtkę z głowy, oślepiło mnie słońce. Byłem na zewnątrz. Rozejrzałem się dookoła.

Pan Frimpong leżał na ziemi. Nogi miał dziwnie podkurczone. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, wyglądał jak jakiś owad umierający na słońcu. Kompletny obłąd. Jego zakupy poniewierały się dookoła, butelka z piwem słodowym rozbita w drobny mak. Dizzy kopał bochenek chleba we wszystkich kierunkach. Chleb się cały pogniótł. Skakał po nim.

Killa kopał jajka i latały wszędzie w powietrzu. Widziałem twarz pana Frimponga, wściekłą i przerażoną. Wyobrazałem sobie jego myśli: myślał, gdzie

jest Bóg, kiedy człowiek go potrzebuje. Pomyślałem to samo. Pan Frimpong próbował chłopaków odgonić, przyłożyć im, ale nie mógł dosięgnąć. Chciał wstać, ale nie dawał rady utrzymać się na nogach. To było naprawdę przerażające. Wtedy nadszedł X-Fire. Miał twarz zasłoniętą szalikiem. Przeszukał panu Frimpongowi kieszenie i wyciągnął mu portfel. Obłąd, jeszcze czegoś takiego w życiu nie widziałem. Nawet nie zapytał.

X-Fire: Dawaj stary draniu, bo cię zarżnę.

Chciało mi się srać. Odwróciłem się i pobiegłem tak szybko, jak tylko mogłem. Już się nie oglądałem. Musiałem się stamtąd wyrwać.

To była moja ostatnia szansa. Jeśli się zawali dwie misje, to już nigdy cię nie wezmą. A przecież jedyne, co miałem zrobić, to zostać do końca. Tyle że nie było wiadomo, jak to się skończy.

X-Fire: A ty, k..., dokąd?!

Udawałem głuchego. Biegłem. Biegłem koło placu zabaw i skweru i wszystkich domów i zatrzymałem się dopiero przy przejściu podziemnym. Nie mogłem w ogóle złapać tchu. W brzuchu rżnęło mnie coś jakby noże. Sięgnąłem po ząb krokodyla, miałem go wciąż w kieszeni. Nie wiem, dlaczego zabrakło mi odwagi.

Chciałbym być większy.

•

*Znowu te sroki weszły mi w drogę. Głupie stworzenia, myślą, że jestem jednym z nich, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko kłócić się o jakieś ochłapy. Ja tylko chciałem, Harri, żebyś mnie zauważył, żebyś mógł wyciągnąć z kolejnych tarapatów. Próbuję ci pomóc, póki jeszcze się da, robię, co mogę, ale stąd niewiele mogę zdziałać. Wszystko zależy od ciebie samego, musisz mieć oczy otwarte, uważać na szczeliny w chodniku. Daliśmy ci mapę, jest w środku, w tobie. Wszystkie linie w końcu wskazują to samo miejsce, trzeba tylko się nimi kierować. Dom zawsze cię odnajdzie, jeśli idziesz prosto i jesteś ponad te wszystkie chwasty. Możesz być drzewem, możesz być tak duży, jak tylko zechcesz.*

Niektóre mamy zabijają swoje dzieci, jeszcze zanim się urodzą. Zmieniły zdanie i nie chcą już dziecka. Może się dowiedziały, że wyrosnie na złego człowieka. Łatwiej jest złe rzeczy powstrzymać, nie dopuścić do tego, żeby się stały. Spuszczają takie dziecko z wodą w toalecie jak rybę. Tak było u Daniela Bevana. Jego mama urodziła dziecko, którego już wcale nie chciała, więc spuściła je w sedesie.

Ja: Mam nadzieję, że one się budzą, jak dotrą do morza.

Daniel Bevan: Nie, dalej są nieżywe. Kończą w ściekach i szczury je zjadają. Zresztą nie chcę mieć siostry, one są denerwujące.

Daniel Bevan może niedługo umrzeć. Wcale nie wolno mu biegać. Wiecie, co to jest inhalator? To pojemniczek ze specjalnym powietrzem. Daniel Bevan ma taki. Potrzebny mu jest do oddychania, bo ma astmę. Musi oddychać powietrzem z pojemniczka, bo powietrze na zewnątrz jest dla niego za brudne. Dlatego nie może biegać. Gdyby zabrakło mu tego specjalnego powietrza, toby umarł.

Pozwolił mi wypróbować ten swój inhalator. Wydał mi się strasznie zimny. Dziwny smak. Masakra. Chciałem, żeby mi się od tego głos zmienił na taki, jak ma robot, ale jakoś nie dało rady. Jeśli Daniel Bevan umrze przede mną, to mogę sobie wziąć jego linijkę. Nawet przybiliśmy piątkę w tej sprawie. Linijka jest klasa, ma nawet wbudowany kalkulator.

David Bevan: A jeśli ty umrzesz przede mną? Co mogę dostać po tobie?

Ja: Wszystkie moje książki. Mam mnóstwo. Jedną o gadach i jedną o zwierzętach głębinowych i jedną o średniowieczu. W sumie ze dwadzieścia.

Daniel Bevan: No to w porządku. Umowa stoi.

Nie może teraz się wycofać. Jeśli się przybije piątkę, to już nie można zerwać umowy.

•

Najlepsza zabawa była wtedy, kiedy Papa pozwolił mi prowadzić pikapa. Wracaliśmy z plantacji bambusa. Siedziałem mu na kolanach i kierowałem. Papa tylko zmieniał biegi i naciskał pedały.

Za każdym razem, jak zmieniał bieg, to udawaliśmy, że pikap puszcza baki.

Papa: A co to było?

Ja: Co jadłeś na śniadanie?

Trzeba było porządnie się skupić. Ale nerwy. Kierownica wydawała się naprawdę ciężka. Należało patrzeć prosto przed siebie na drogę.

Papa: Pomału. Trzymaj kierunek. Nie myśl o innych samochodach. Już ja nas pilnuję. Byleś jechał prosto.

Za każdym razem, kiedy najeżdżałem na jakiś wybój na drodze, bałem się, że się rozbijemy. Ale siedziałem cicho. Musiałem udowodnić Papie, że umiem dobrze prowadzić, żeby następnym razem pozwolił mi kierować całą drogę tam i z powrotem. Tylko raz zjechałem trochę z drogi. Prawie najechałem na szczyt. Papa chciał, żebym zawrócił i stuknął go, ale nie umiałem dość szybko skrócić kierownicy.

Papa: Następnym razem wal prosto na niego. Matka będzie mogła ugotować zupę.

Mama nie wie, że prowadziłem pikapa na drodze. Gdyby wiedziała, toby mnie zabiła. To sekret mój i Papy. Po tej przygodzie ile razy jechałem z Papą pikapem i widzieliśmy szczyt, pękaliśmy ze śmiechu. Mama i Lydia w ogóle nie wiedzą, z czego się śmialiśmy. *Asweh*, to była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

•

Wrzuciłem kurtkę do zsypu. Poczekalem, aż się całkiem ściemni i po cichu się wymknąłem. Wyobrażałem sobie, że niby składam ofiarę. Kurtka to była dziewica, a ja oddawałem ją w darze bogowi wulkanów.

Należy pozbyć się dowodów, bo policja może cię wyśledzić.

Wyrzuciłem też mojego mustanga. Już mi się całkiem znudził. Tak było fair, przecież oni rozbili jajka pana Frimponga. Byłem tam, wszystko widziałem. Diabeł bardzo mocno się trzyma tu w naszej okolicy. Tam, gdzie mieszkałem przedtem, Diabeł tylko raz mnie skusił, żebym ukradł cały łód w blokach z baru Victory Chop, żebyśmy mogli urządzać sobie walkę wodną. Słuchałem Diabła tylko do chwili, kiedy Osei nas dogonił i wszystko mu oddaliśmy. Tu Diabeł ma większą moc, bo budynki są bardzo wysokie. Tyle jest wieżowców, że zasłaniają Panu Bogu widok z nieba, więc nie może tu nas dojrzeć. *Asweh*, bardzo denerwująca sprawa!

Uważam, że blizny, które idą tak: są lepsze. Od dzisiaj będę sobie zawsze takie właśnie robił. Te takie, to nie są nawet blizny. Bo szwy nie są jeszcze zdjęte. Connor Green mi wyjaśnił. Nie ma blizny, dopóki się nie zdejmie szwów. Bo jeśli są jeszcze szwy, to jest po prostu rana cięta. Jasna sprawa. Nie wiem, dlaczego wcześniej sam na to nie wpadłem.



Wiecie, co to jest superbohater? To specjaliści ludzie, którzy nas chronią. Mają magiczne moce. Używają ich do walki ze złoczyńcami. Są naprawdę wspaniali. Trochę jak Ananse, Człowiek Pająk, tyle że nigdy cię nie wykiwają, używają swoich mocy do dobrych rzeczy.

Niektórzy superbohaterowie są z innych planet. Niektórych wyrabia się w fabrykach. Część z nich rodzi się normalnie, ale potem mają jakiś wypadek, po którym nabierają mocy. Przeważnie chodzi o promieniowanie.

Na świecie jest około setki superbohaterów. Altaf zna wszystkich. Rysuje ich. Nawet lepsi są od tych jego samochodów. Altaf wie wszystko o każdym superbohaterze. To jego ulubiony temat. Na przykład Spiderman, ten z komiksu, jest superbohaterem. I z tego właśnie powodu może się czepiać ścian i murów jak pająk.

Altaf: To dlatego, że ugryzł go radioaktywny pająk.

Ja: Cool!

Każdy superbohater ma swoją specjalność. Niektórzy umieją latać, inni biegać bardzo szybko. Jeszcze inni są kuloodporni albo wysyłają promienie. Wszyscy mają imiona, po których można poznać, jaka jest ich ulubiona specjalność. Spiderman to Człowiek Pająk, bo może zawisnąć jak pająk, Storm, Burza, może wywołać burzę, a Wolverine, Rosomak, walczy jak rosomak (to coś jakby wilk, z ekstradługimi pazurami, może nimi ścinać i ciachać).

Rozmawialiśmy o naszych superbohaterach. Może moglibyśmy sami sobie takich stworzyć? Altaf już wymyślił jednego, pokazał mi rysunek. To nawet wyglądało jak prawdziwy superbohater.

Altaf: Nazywa się Człowiek Wąż. Zamienia się w węża i pluje we wroga trucizną.

Ja: No klasa! Sam go wymyśliłeś?

Altaf: To dopiero pierwszy rysunek. Mam zamiar poprawić mu język i dać mu nemezis.

Wszyscy mówią na Altafa ciota, bo jest taki spokojny i ma usta jak dziewczyna. Nie maluje ich, po prostu przypadkiem są bardzo różowe. Czasem na niego mówią Pedalskie Wary. A ja sobie wyobrażałem, że te wargi to niby jego supermoc, że jeśli wrogowie za długo im się przyglądają, to taki wróg zamienia się w kamienny posąg.

Potrafię puszczać bąki jak stukanie dziecięcia. *Asweh*, to prawda. Pierwszy raz to się zdarzyło przypadkiem. Szedłem sobie i puściłem jednego, a potem poszło za nim dużo innych, takich małych bączków. Nawet Mamie się spodobało, nie

mogła się powstrzymać od śmiechu.

Mama: Chyba masz w majtkach dzięcioła.

*Asweh*, tak to właśnie brzmiało! Potem już starałem się, żeby każdy bąk odzywał się jak dzięcioł. Czasem lepiej to wychodzi, czasem gorzej. To nie jest supermoc, tylko zwyczajna umiejętność.

X-Fire zrobił w moim kierunku taki ruch, jakby strzelał do mnie z pistoletu. Stał na schodach stołówki, kiedy akurat przechodziłem. Zrobił pistolet z palców i skierował go prosto w moją głowę. Nie wiedziałem, co robić. Kompletny jakiś obłąd. Wyglądało na to, że ma zamiar mnie zabić i że nawet nikt go przed tym nie powstrzyma.

X-Fire: Pach!

Wystrzelił. Zrobiło mi się od tego zimno w brzuchu i puściłem jednego bąka-dzięcioła. Jak raz akurat nic w tym nie było śmiesznego. Chciałem, żeby ktoś skoczył i stanął na linii strzału, ale przypomniałem sobie, że pistolet nie jest prawdziwy. Ale i tak było to przerażające.

Dizzy: Dlaczego zostawiłeś nas i uciekłeś? Takiego gówna, koleś, ci nie zapomnimy.

X-Fire: Nikomu ani słowa, okej Ghana? Poważnie.

W ogóle nie miałem zamiaru nic mówić, znam już zasady. Pistolet z palców znaczy, że jeśli coś wygadasz, to jesteś trup. To jakiś obłąd mieć wrogów, trudno to ogarnąć. W ogóle nawet nie wiem, jak to się stało. Od dzisiaj muszę mieć oczy naokoło głowy.

•

Terry Nawynos kopał Asbo i kopał bez końca. Po prostu obłąd. Asbo znalazł kawałek mięsa w krzakach. Nogę czegoś. Terry kopał go i kopał, żeby puścił, ale na nic. Asbo skowytał i nie puszczał. Chciałem coś zrobić. Chciałem zabić Terry'ego Nawynosa, ale jest za duży. Nic nie mogłem poradzić.

Kiedy podeszliśmy bliżej, zrozumiałem, o co chodzi. Terry Nawynos nie kopał Asbo, tylko Asbo gryzł Terry'ego Nawynosa! Bardzo to było śmieszne. Asbo próbował wyciągnąć mięso z krzaków, ale trafił na nogę Terry'ego Nawynosa. Nie chciał puścić. Pewnie pachniała mięsem. Pewnie myślał, że to kawałek krowy.

Terry Nawynos: Puszczaj! Puszczaj! Asbo, zostaw! Zostaw! Asbo!

Terry Nawynos kręcił się na wszystkie strony i wrzeszczał, ale Asbo nie

słuchał. Wyglądało na to, że całkiem mu tę nogę odgryzie.

Terry Nawynos: Harri, pomóż! Weź kij albo coś. O tam!

Dean złapał jakąś gałąź i wymachiwał nią psu przed nosem. Tuż przy samym pysku. To było przerażające. Asbo ma zęby jak rekin. Gałąź znalazła się między stopą Terry'ego Nawynosa a zębami Asbo i wtedy dopiero pies musiał puścić. Terry Nawynos raz-raz podniósł mięso i rzucił z powrotem w krzaki. Asbo tam poleciał i Terry Nawynos był wolny. Był cały czerwony i spocony. Sprawdził, czy jeszcze ma stopy na swoim miejscu.

Terry Nawynos: Dzięki, stary. On zobaczył to i zgłupiał.

Asbo wylazł z krzaków z mięsem w pysku, jakby to była ulubiona nagroda wszech czasów. Wyraźnie bardzo był zadowolony. Uciekł nam, zanim zdążyliśmy mu to mięso odebrać. Pomyśleliśmy sobie, że może w krzakach był trup człowieka. Należało mieć nadzieję, że to nie z niego to mięso.

Ja: Czy ty kogoś kiedyś zabiłeś?

Terry Nawynos: Ostatnio nie. Ale zraniłem uczucia paru osób. A bo co, o co ci chodzi?

Ja: Wszyscy tu w okolicy chcą cię zabić. Nie rozumiem tego. Czy policja go złapie?

Terry Nawynos: Kogo?

Ja: Tego, co zabił chłopca.

Terry Nawynos: Chyba żartujesz, oni nawet kataru nie złapią.

Ja: Tak też myśleliśmy. Wobec tego my chcemy gościa złapać.

Dean: Jest nagroda.

Terry Nawynos: Powodzenia.

Dean: Powinni wziąć psy policyjne, psy potrafią wszystko wyczuć. Psy czują nawet strach.

Wyraźnie obaj pomyśleliśmy o tym samym, tylko że ja byłem szybszy. Pierwszy to powiedziałem:

Ja: A jeśli psy czują zło?

Dean: Właśnie to sobie pomyślałem.

Zrobiliśmy eksperyment. Terry Nawynos nam pomógł. Wziął Asbo na smycz, żeby nie uciekł, pies leżał na ziemi i zajadał mięso. Tak mu smakowało, że nie zauważył, co robimy. Zamknąłem oczy i napełniłem głowę morderczymi myślami, pełnymi krwi i dżgania i ciachania i miażdżenia i strzelania i rozszarpywania i wampirów. Wyobraziłem sobie, że niby jestem zabójcą gotowym do akcji. Próbowałem wcisnąć te wszystkie złe uczucia w piłkę tak

mocno, jak to tylko możliwe, a potem raz-raz otworzyłem oczy i rzuciłem piłkę pełną zła w kierunku Asbo. Celowałem mu w nos. I jeszcze do tego wrzasnąłem, żeby wyszło mocniej. I rzeczywiście zadziałało. Asbo postawił uszy i spojrzał na mnie przez chwilę przerażony. To znaczy, że piłka trafiła go. Teraz wiedział, jak pachnie zło. Po czym znów zaczął zajadać to swoje mięso.

Ja: Teraz jeśli kiedyś poczuje jakiegoś zabójcę, będzie pamiętał i zrobi taką samą minę.

Terry Nawynos: Jak puści bąka, też robi taką minę.

Ja: Ale jak tak robi, kiedy patrzy na osobę, będziesz wiedział, że to nie bąki, tylko zło. To będzie znaczyło, że ta osoba ma mordercze myśli. I staje się podejrzana. Można ją związać smyczą Asbo aż do przyjazdu policji.

Terry Nawynos: No, jest to jakiś plan.

Mieliśmy okazję natychmiast go przetestować. Przez skwer w naszym kierunku zmierzali X-Fire, Dizzy i Killa. Nawet się nie bałem, bo Terry Nawynos był z nami i mógł ich załatwić. Zanim zaczął dawać w gaz, był w wojsku. Ja z Deanem zaczęliśmy skakać, żeby odwrócić uwagę Asbo i żeby Terry Nawynos mógł mu odebrać mięso. Rzucił je z powrotem w krzaki. Asbo nie mógł tym razem za nim pobiec, bo był na smyczy. Przestał się interesować mięsem, kiedy X-Fire mi przywalił. Zawsze to robi. Tym razem nawet chciałem tego, bo musiał znaleźć się tak blisko Asbo, żeby Asbo mógł go dobrze obwąchać.

X-Fire: Zabieraj człowieku tego psa ode mnie.

Terry Nawynos: To patrz, gdzie idziesz. Masz jakiś problem?

Asbo natychmiast wziął się do roboty. Wszystkich ich obwąchał tak, jakby byli kolejnymi kawałami mięsa. Przyglądaliśmy się, czy nie zrobi tej swojej złej miny. Gdyby miał postawić uszy albo gdyby oczy mu posmutniały, wiedzielibyśmy, że trafiliśmy na coś poważnego. Próbowali obejść go naokoło, ale Terry Nawynos pociągnął za smycz, więc Asbo stał przed nimi. Jeszcze nie skończył. Skoczył na Killę i Killa wybałuszył oczy. *Asweh*, coś pięknego! Wąchał mu jaja.

Killa: Ja, k..., nie żartuję, koleś, zabierz go!

Killa wyciągnął z za spodni śrubokręt. Widziałem na własne oczy.

Terry Nawynos: Co masz zamiar z tym zrobić, pobawić się ze sobą?

X-Fire: Odłóż to, ziom.

Terry Nawynos: Najlepiej posłuchaj, co ci kumpel mówi. Leć do domu, zanim lody ci się roztopią, jasne?

Zmyli się. Asbo dalej miał uszy postawione. Nawet widziałem w powietrzu mordercze myśli, czepiały się nas jak oszalałe ćmy po burzy. Chcieli nas zabić, to

było jasne. Test okazał się wielkim sukcesem. Przyniósł też więcej pytań: jeśli chcą wszystkich zabić, to ile z tego przypadało na zmarłego chłopca? Jak można odróżnić jeden grzech od drugiego, jeśli wyglądają tak samo? *Asweh*, ciężko czasem być detektywem, cały dzień ma się głowę nabitą pytaniami. Szkoda, że ich jakoś nie powiązałem, póki była okazja, ale nie potrafiłem myśleć jasno.

Wracaliśmy do domu z Terrym Nawynosem. Asbo biegł przed nami. Czasem się oglądał, żeby sprawdzić, czy idziemy. Masakra.

Terry Nawynos: Może twoja mama chciałaby czajnik? Nowiutki, osiem funciaków. Ma filtr i wszystko. Kosztują dwadzieścia w sklepie.

Ja: Raczej nie. Ona nie uznaje kradzionych rzeczy.

Terry Nawynos: To pięknie z jej strony. Sześć funciaków? A może ty, Rudzielcu?

Dean: Nie, dziękuję.

Terry Nawynos: Jak sobie życzysz. Tutaj Asbo, tędy!

Jeśli Asbo pomoże schwytać zabójcę, to dam mu część nagrody. Założę się, że wyda ją na wielką kość i na zapas drapania po brzuchu na całe życie.

Ludzie, którzy nie uznają Boga, nazywają się niewierzący. Są zagubieni w ciemnościach i nic nie czują, taki człowiek jest pusty w środku, jak robot, z którego powyciągano wszystkie przewody. Nawet nie czują, kiedy dzieje się coś dobrego, no i wcale nawet nie wiedzą, kiedy robią coś złego. *Asweh*, to musi być bardzo nudne. Wampir jest taki. Wampir nie ma duszy ani krwi, dlatego jest cały czas smutny.

Pastor Taylor: To strach sprawia, że tak postępują. Boją się prawdy obietnicy wieczności Jezusa Chrystusa. Musimy współczuć im i modlić się za nich. Musimy im przebaczać ich słabości. Są teraz w rękach Boga.

Pan Frimpong: Jak ich znowu spotkam, to będę walił im łby jeden o drugiego. Chuligani.

Strasznie śmiesznie było, jak pan Frimpong powiedział chuligani. Wcale nie chciał, żeby to śmiesznie brzmiało, ale tak wyszło. Musiałem zagryźć usta.

W kościele było bardzo cicho. Pan Frimpong nawet nie śpiewał. Było jakoś nie tak. Nawet nie próbował. Tak się właśnie dzieje, kiedy człowieka znokautują, bo wtedy już się za bardzo nie stara. Pan Frimpong pokazał nam swoje kolano, była tam wielka dziura i zakażenie wszędzie w środku. Widać było, że bardzo jest z tego dumny.

Pan Frimpong: O, tutaj, spójrzcie. W tym opatrunku jest srebro, to na infekcję. Nikt nie próbował ich powstrzymać, ani jedna osoba. Dlaczego tak jest?

W Anglii jak człowiek upadnie, nikt mu nie pomoże wstać. Bo nie wiedzą, czy to na serio, czy może jakiś numer. Trudno się zorientować, co jest naprawdę. Jakoś nawet brakowało mi śpiewu pana Frimponga. Kompletny obłąd, ten brak śpiewu. To tak jak wtedy, kiedy Agnes mówi mi do widzenia i potem mam w uszach jej głos bardzo długo. Aż łaskocze. Bardzo to jest fajne.

Ja: Do widzenia, Agnes!

Agnes: Dziedzienia!

Czasem nawet słyszę to, jak idę spać.

Mama: A Harrisonowi ukradli kurtkę. Wyobraża pan sobie? Nie ma dla nich żadnych świętości.

Pan Frimpong: Założę się, że to ci sami chłopcy, którzy na mnie napadli. Chuligani.

Okno w kościele jest naprawione, ale ciągle widać miejsce, gdzie nie całkiem dały się wytrzeć te wstrętne litery. Są tam jeszcze, jak diabelskie podszepty, które czekają, żeby cię skusić. Nie mogłem się skupić na modlitwie, bo cały czas o nich myślałem. Modlitwa brzmiała dobrze, kiedy pastor Taylor ją odmawiał, ale

z mojej głowy wychodziła nie tak, jak trzeba.

Ja: Drogi pieprzony Boże, spraw, żeby to gówno przestało się dziać. Dzięki Ci, kurwa, bardzo. Amen.

*Asweh*, dobrze, że to się działo tylko w mojej głowie! Moja główna supermoc była niewidzialna. Daje mi ją ząb krokodyla. Dlatego pan Frimpong nie widział mnie, kiedy go przewrócili. Byłem tam, ale on nie miał o tym pojęcia. Ząb krokodyla dał mi niewidzialność, tylko taki mógł być powód. Wiedziałem, że ząb jest specjalny, dlatego Papa mi go dał.

•

Prostytutka, dziwka i tutufo to to samo. W Anglii jeśli dziewczyna ma tatuaż, to znaczy, że jest tutufo. Mama Jordana ma na ramieniu wytatuowanego skorpiona. Nawet nie próbuje go ukryć, każdy może zobaczyć, bo ona chodzi w podkoszulku na ramiączkach. Jakiś kompletny obłąd. Mamy nie powinny mieć tatutażu, tatuaże powinny być tylko dla mężczyzn. Nawet tak groźne jak skorpion. Jeśli moja Mama miałaby kiedykolwiek się wytatuować, tobym po prostu zwał. Poszedłbym nad rzekę i tam mieszkał. Przydałyby mi się tylko namiot i proca na wiewiórki.

Powinniście zobaczyć, jak daleko potrafię kopnąć nową piłkę. Prawdziwe skórzane piłki do futbolu są dużo lepsze niż plastikowe. Mogę ją kopnąć do końca korytarza i w ogóle nie odlatuje w górę, tylko trzyma się ziemi jak rakietka. Tak mówi Jordan.

Jordan: Teraz będzie rakietka, koleś!

Jordan walnął mi ją z całej siły w nogi. Zrobił to bardzo mocno i zabolowało. Uwielbia, jak mnie trafi. Próbuję uskoczyć, ale piłka zawsze mnie trafia, jakby miała jakiś magnes czy coś. Można się nieźle wnerwić.

Jordan: Tak! Mam cię! Ciota! Szybko, idzie Lil Stara Szluga! Podaj!

Lil Stara Szluga była już przy drzwiach. Podałem piłkę do Jordana.

Jordan: Udawaj, że jej nie widziałeś.

Lil Stara Szluga mieszka na drugim piętrze. Nazywa się Lil Stara Szluga, bo zbiera pety z ziemi. Widziałem to na własne oczy. Nigdy ich nie pali, tylko wkłada do kieszeni. Jest najstarszą osobą, jaką w życiu widziałem, musi mieć jak nic dwieście lat. Kiedy była mała, nie było samochodów i codziennie była jakaś wojna. Zawsze chodzi w tej samej sukience, bez płaszcza, bez skarpetek, nawet kiedy pada, a nogi ma takie cienkie jak ptak. Jedyne co mówi Lil Stara Szluga:

Cholera jasna!

*Asweh*, jest naprawdę przerażająca. Mogłaby mnie po prostu zabić, gdyby chciała. Zabiła mnóstwo dzieci już wcześniej, ale policja nie może jej złapać, bo ona ma taką magię, dzięki której oni nie mogą poznać tej strasznej prawdy. Udawałem, że jej nie widzę. Nie spuszczałem wzroku z piłki. Lil Stara Szluga nacisnęła guzik windy. Szykowałem się do ucieczki.

Jordan strzelił piłką z całej siły w nią. Trafił prosto w nogi. Nie spodziewała się tego. Słysząc było, jak jej kości zatrzeszczały.

Lil Stara Szluga: Cholera jasna!

Jordan: Przepraszam! To było niechcący!

Winda zjechała na dół i Lil Stara Szluga weszła do środka. Jordan znowu kopnął piłkę wprost na nią. Piłka uderzyła ją w twarz i odskoczyła.

Jordan: Głupi stary bękart!

Zanim drzwi się zamknęły, Lil Stara Szluga spojrzała szalonymi, niebieskimi oczami prosto na mnie. Myślała, że to ja. To naprawdę było nie fair, ja tylko chciałem potrenować podawanie. Jak to wnerwia, kiedy ktoś cały czas strzela. Teraz Lil Stara Szluga jest moją nemezis (tak Altaf nazywa złą postać, która zawsze próbuje zniszczyć superbohatera). Mam tylko nadzieję, że moje moce są większe niż jej.

Ja: Po coś to zrobił, ona nas teraz zabije!

Jordan: Nie bądź ciota, jak nam będzie podskakiwać, to ja ją wtedy nożem, nie?

Jordan pokazał mi swój nóż. Nawet nie wiem, skąd go ma. W ogóle nigdy bym się nie spodziewał. Ma zielony trzonek, jak te z kompletu Mamy. Jest podobny do tego do pomidorów. Jak na zwykły nóż do pomidorów wygląda nawet bardzo śmieroniośnie.

Jordan: To jest mój nóż wojenny. Nikt mi, k..., nie podskoczy. Mówię ci, koleś, kiedy zacznie się wojna, będę na nich gotów.

Wpatrywał się w ten nóż takim wzrokiem, jak w coś ulubionego. Oczy mu się zrobiły całkiem okrągłe. Pokazał mi, jak się go nosi, żeby nikt nie widział. Trzyma się go przy nodze. Trzeba trzymać trzonek, bo inaczej wypadnie przez spodnie na ziemię. Najlepiej jeśli spodnie mają pasek na gumkę. Albo można też go trzymać w kieszeni.

Jordan: Jest bardzo ostry, zobacz.

Przejechał nożem po ścianie i napisał chuj jak piórem. Literki wyszły całkiem wyraźnie.



Jordan: Postaraj się o taki, przyda ci się. Znajdę ci, moja mama ma pełno.

Ja: Nie, dziękuję. Właściwie nie jest mi potrzebny.

Jordan: Właśnie że jest ci potrzebny, każdy musi mieć nóż. Spróbuj znaleźć taki sam jak mój, wtedy możemy być wojennymi braćmi, jasne? O co chodzi, nie chcesz być braćmi?

Trzymał mi nóż blisko twarzy. Obracał ostrzem w powietrzu, jakby chciał nim otworzyć zamek. Czuję się jak ten zamek. Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie, aż wreszcie schował nóż z powrotem.

Jordan: Kurde, powinieneś widzieć swoją minę, koleś. Srałeś w gacie!

Ja: Wcale nie. Nawet nie jesteś śmieszny!

•

Każdy mówi, że będzie wojna, ale jeszcze żadnej nie widziałem. Mnóstwo wojen toczy się przez cały czas:

## WOJNY

Dzieciaki kontra Nauczyciele

Szkoła Northwell Manor High kontra Szkoła Leadbridge High

Załoga Dell Farm kontra Załoga Lewsey Hill

Emo kontra Sunshine

Turcja kontra Rosja

Arsenal kontra Chelsea

Czarny kontra Biały

Policja kontra Dzieciaki

Bóg kontra Allah

Chicken Joe's kontra KFC

Psy kontra Koty

Obcy kontra Predatorzy

Żadnej z nich nie widziałem. Wiedziałyby się, że jest wojna, bo wszystkie okna byłyby powybijane, a helikoptery miałyby zamontowane działka. Helikoptery nie mają w ogóle działek, tylko reflektory szperacze. Wcale nie wydaje mi się, żeby była jakaś wojna. Nic takiego nie widziałem.

I wcale nawet nie wiem po czyjej jestem stronie. Nikt mi jeszcze nie powiedział. Kontra znaczy po prostu przeciwko.

Kiedy Mama poszła pod prysznic, wziąłem nóż do pomidorów. Tylko na próbę. Trzeba ekstra uważać na ostry czubek. Trzymałem go jak ironboy, ciąłem nim w powietrzu, niby że to wróg. Włożyłem do spodni. Pochodziłem tak trochę udając, że jest wojna. Wyobrażałem sobie, że Bóg o mnie zapomniał, więc mogłem robić różne złe rzeczy i nawet nie musiałem nic czuć.

Ja: Jest wojna! Bóg o mnie zapomniał! Papa o mnie zapomniał! Wszystkie latarnie na ulicy są porozbijane i gonią nas wilki! Ratuj się kto może! (Tak sobie tylko mówiłem w myśli.)

Musiałem w końcu ten nóż odłożyć, bo to się robiło zbyt przerażające. Jest bardzo ostry. Czekałem, aż mi skaleczy moją własną nogę. Nie można trzymać noża w spodniach cały czas, bo jak zapomnisz, że tam jest i usiądziesz, to nóż może przebić nogę i wyjść drugą stroną. Jak zacznie się wojna, to zwieję, tak jest łatwiej. Jestem najlepszym biegaczem w całej klasie, w ogóle tylko Brett Shawcross może mnie dogonić.

Ross Kelly jest taki, bo ktoś dolał kwasu do mleka, kiedy był mały. Każdy to potwierdzi. Zawsze wystawia język, jak pisze klasówki, mówi, że mu to pomaga się skupić, ale wygląda wtedy jak porąbany. Próbowałem pisać z wystawionym językiem: wcale nie szło szybciej. Język mi tylko zdrętwiał i wysechł.

Jeśli Ross Kelly jeszcze raz nazwie Poppy Cztery Gały, to go wywalę przez okno. Tylko dlatego pozwoliłem mu popatrzeć przez moją lornetkę, że prosił się jak pies.

Ja: Teraz Poppy następna w kolejce!

Ross Kelly: Ona nie potrzebuje lornetki, już i tak ma cztery gały.

Poppy: Odwal się!

Ja: Właśnie, odwal się, obesrańcu!

Podszedłem do okna stołówki, a Poppy stała na schodach prowadzących do biblioteki i patrzyła na mnie przez lornetkę. Potem wróciłem i miała mi powiedzieć, co robiłem.

Poppy: Szedłeś w zwolnionym tempie. Widziałam cię.

Ja: To nie było zwolnione tempo, tylko robot.

Poppy: Nieważne. Dla mnie to to samo.

Ja: Ale nie byłem rozmazany ani nic takiego? Wyglądało, że jestem blisko?

Poppy: Tak.

Ja: Widzisz, mówiłem ci, że jest prawdziwa.

Poppy: Wierzę ci, wierzę!

Włożyłem lornetkę z powrotem do torby, żeby się nie potłukła. Nikt nie wie, do czego tak naprawdę służy, tylko ja wiem i Dean. Nawet Poppy nie mogą powiedzieć o śledztwie. Muszę ją chronić, bo co by było, gdyby zabójca chciał jej zrobić krzywdę, żeby mnie dorwać. Zawsze tak robią: porywają żonę detektywa i obcinają jej palce u nóg jeden po drugim, aż detektyw się poddaje. Gdyby Poppy pytała, to lornetka jest na ptaki i do gier na odległość. Tak jest bezpieczniej. Poppy jest teraz moją dziewczyną. To było proste. Nawet nie musiałem jej pytać, wystarczyło, że zaznaczyłem właściwą kratkę.

•

Jak dotąd zebrałem pięć odcisków palców. Manika, Connora Greena, Rossa Kelly, Altafa i Saalema Khana. Poprosiłem o odciski Chevona Browna, Bretta Shawcrossa i Charmaine de Freitas, ale wszyscy oni powiedzieli, że bym spier...

Dean: Potrzebne nam są niewinne odciski, żeby je porównać z odciskami

zabójcy, tak żeby te niewinne wykluczyć ze śledztwa.

Ja: Przyjąłem. Rozkaz, kapitanie. Do roboty.

Schowałem całą taśmę klejącą z odciskami palców w specjalnej skrytce, razem z zębem krokodyla. Zawinałem ją w papier, żeby się żaden kurz ani włosy nie przyczepiały. Mój pokój to teraz moja centrala. Nikt tu nie może wejść bez hasła, a nikomu tego hasła nie zdradziłem (hasło gołąb, na cześć mojego gołębia. Nikomu innemu nie przyszłoby do głowy).

Odciski palców właściwie nie służą do identyfikacji. Najwyżej tylko przypadkiem, bo po prostu każdy ma inny układ linii. Tak naprawdę odciski palców są po to, żeby mieć czucie w palcach. Żeby można było rozróżnić rodzaje powierzchni i ich fakturę. Pan Tomlin nam mówił.

Pan Tomlin: Odcisk palca składa się z małych bruzd na skórze palców. Kiedy przesuniesz opuszką palca po powierzchni, powstają wibracje, te bruzdy powodują, że wibracje się wzmagają i sygnały wysyłane do naszych nerwów czuciowych stają się wyraźniejsze, a wtedy mózg może lepiej analizować daną fakturę.

Ja: Więc można wyczuć różne rzeczy dokładniej?

Pan Tomlin: Zgadza się

Nie potrafiłbym sobie przypalić palców, więc postanowiłem je zwyczajnie zamrozić. To drugi najlepszy sposób, żeby stracić w nich czucie. Chciałem po prostu przekonać się, co czują palce Cioci Soni. Chciałem się przekonać, czy to prawda z tą dokładnością. Naskrobałem sporą kupkę szronu z dna zamrażalnika do miski.

Ja: Czy można sobie odmrozić coś śniegiem z zamrażalnika?

Lydia: Weź ty się. Oczywiście, że nie.

Ja: Ale gdyby dotykać go naprawdę długo. Na przykład całą godzinę. Wtedy mógłbym. Nie chcę, żeby się odmroziły na śmierć, chcę je trochę przemrozić. Nie daj mi ich mrozić za długo, okej? Powiedz mi, jak będzie pół godziny, powinno wystarczyć.

Trwało to bez końca, zanim palce mi zdrętwiały. Nawet bolało. Zimno było takie zimne, że aż parzyło. Już bardzo chciałem wyjąć ręce, ale musiałem jeszcze je zostawić, żeby podziałało. Lydia oglądała *Życie w Hollyoaks*. Znowu ten chłopak całował się z tamtym drugim chłopakiem. Zemdliło mnie od tego, ale przynajmniej na chwilę zapomniałem o palcach. Wyobrażałem sobie, że ich nie widzę. Wyobrażałem sobie, że nie są moje.

Ja: Liczysz?

Lydia: Nie przeszkadzaj! Ja oglądam!

Kiedy palce mi wreszcie zdrętwiały, to było tak, jakby po prostu odpadły. W ogóle ich już nie czułem. *Asweh*, jakiś kompletny obłąd. Dotknąłem melona. Nawet działało! Nie czułem, że to melon. To tak, jakbym miał palce zrobione już nie ze skóry, tylko jakby z niczego. Jak Boga kocham, to była najbardziej wykręcona rzecz, jaką w życiu widziałem. Wypróbowałem poduszkę na kanapie. Nie czułem w ogóle faktury. To są prążki, ale nie czułem ich. Mocno naciskałem i nic się nie działo. To było tak, jakby mnie tam nawet nie było, tylko duch. Dotykałem piór z kostiumu papugi. Nie wydawały mi się dość miękkie i były jakoś za daleko. Dotknąłem twarzy Lydii. W ogóle nic nie czułem. Nos, usta, policzek i ucho. Próbowałem dotknąć wszystkiego. A wszystko było gdzieś daleko, jakby Lydia mi się tylko śniła.

Ja: Ale obłąd! Sama powinnaś spróbować.

Lydia: Auu! Odwal się! Jakie zimne!

Próbowałem podnieść orzeszek ziemny, ale zadanie okazało się za skomplikowane. Ciągle go upuszczałem. Bardzo dziwne. Widzi się swoje palce na orzeszku, ale nie można ich zmusić, żeby orzeszek podniosły. Stale wypada z ręki. Można się nieźle wnerwić. Bardzo głupie uczucie. Przestałem dopiero, jak próbowałem przypomnieć sobie, ile czasu to trwało. Lydia przestała liczyć bardzo dawno temu.

Ja: Eksperyment odniósł całkowity sukces!

Lydia: Jesteś całkowitym debilem!

Początkowo to było przerażające, bo człowiek myśli, że takie zdrętwienie zostanie już na zawsze. Zrobiło mi się wtedy żal Cioci Soni. Dalej pamiętałem, jakie są różne rzeczy w dotyku, mogłem użyć pamięci, żeby oszukać palce. Ale jak to jest, kiedy próbuje się dotknąć czegoś całkiem nowego, czego się jeszcze nie zna? Wyobrażałem sobie, że jestem niby Ciocią Sonią i jestem w nowym kraju, gdzie wszystko jest dla mnie całkiem nowe. Nie mogłem pamiętać, jakie coś jest w dotyku, bo nigdy tam wcześniej nie byłem. Naprawdę przerażające.

Ja: Co będzie jak jest noc, światło zgaśnie i wybuchnie pożar, jak ona się wydostanie na zewnątrz?

Lydia: Nie wiem, to się w ogóle nie stanie.

Ja: Ale jeśli się tak stanie? Spali się na ludzką grzanekę.

Aż mi się zrobiło niedobrze, nie chciałem już więcej o tym myśleć. Kiedy zdrętwienie przechodzi, w palcach zaczyna kłuć. *Asweh*, co za ulga. To znaczy, że wracają do normalności. Gdybym miał być cały czas bez czucia, to byłoby za

bardzo wnerwiający. Musiałbym wtedy wszystko podnosić ustami, jak pies. Wszyscy nazywaliby mnie Chłopiec Pies. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć, bo jeszcze stanie się tak naprawdę.

•

Lydia się wnerwiła, bo nie jest dość dobra, żeby zostać detektywem. Ona nic tylko chce być fryzjerką, kiedy dorośnie. Wszystkie dziewczyny chcą być fryzjerkami.

Ja: Moja praca jest lepsza. Detektywi łapią bandytów, no i można jechać samochodem tak szybko, jak się chce.

Miquita: Ale detektyw nie ma broni. To bandyta ma. I nie musi o nic prosić, tylko sobie zabiera, co tylko chce. A detektyw jest zwyczajnym pracownikiem i dają mu zadanie do wykonania. Ja tam, człowieku, nie chcę dla nikogo pracować.

Miquita prostowała włosy Lydii. Już Mama jej pokaże, jak zobaczy.

Ja: Założę się, że się zapalą.

Lydia: Co ty! Nie zapalą się.

Ja: Założę się, że tak.

Lydia: Nie przeszkadzaj!

Ja: Mogę sobie patrzeć, jeśli mam ochotę.

Lydia nie może mi zabronić. Jestem głową domu.

Lydia: Tylko żebyś mnie nie oparzyła, okej?

Miquita: Człowieku, nie bój się. Robiłam to już nieraz.

Chanelle: Dwa razy.

Miquita: No i co? Robię to bardzo zręcznie, może nie? Ciocia mnie uczyła, a sama nauczyła się w pierdłu.

Ciocia Miquity była fałszerką. To jest wtedy, jak się coś kupuje za bon, z tym, że to nie jest prawdziwy bon, tylko taki, co ktoś sam sobie wystawił.

Wszystko trwało godzinami. Kiedy się prasuje włosy, bierze się je po cienkim pasemku. Trzeba to robić naprawdę powoli, żeby nie zrobić pożaru, najpierw jedną stronę, potem drugą. Pełny luz. O mało nie zasnąłem. Musieliśmy sobie zrobić przerwę. Udawały, że niby sok jabłkowy to szampan.

Mówiłem już. Dziewczyny są bardzo głupie.

Śmiesznie było obserwować Lydię, jak się stara usiedzieć bez ruchu. Cała skoncentrowana. A w ogóle bała się prostownicy. Kiedy prostownica zbliżała się

do niej, zaciskała mocno powieki.

Lydia: Uważaj na moje uszy.

Miquita: A dlaczego? Co one mogą mi zrobić?

Lydia: Nie wygłupiaj się.

Włosy Lydii faktycznie się prostowały. Wyglądały klasa. Działo się to wszystko na naszych oczach. Lydia była wyraźnie bardzo zadowolona. Ciągłe popatrywała w lustro. Chyba zakochała się w samej sobie. *Asweh*, to było bardzo śmieszne.

Ja: Chcesz się ze sobą samą całować. No, już, całuj!

Lydia: Nie przeszkadzaj.

Miquita: Nie ruszaj się, człowieku, bo cię sparzę.

Trzymała prostownicę tuż przy uchu Lydii. Unosił się dym. Twarz Miquity znieruchomiała. Tak nagle z niczego. Już się nie śmiała.

Miquita: Jesteś z nami?

Lydia: O czym ty mówisz?

Miquita: Wiesz, o czym mówię. Jesteś albo z nami albo przeciw nam, chyba jasne.

Prostownica znalazła się tuż nad okiem Lydii. Prawie go dotykała. Dym wchodził jej na twarz. Zrobiło mi się zimno w brzuchu. Chanelle zjadła ostatnie Oreo.

Chanelle: Człowieku, zostaw, nie trzeba. Ona wie, jaka jest sytuacja.

Miquita: Zamknij się. Żebym ci nie przywalila. Nic nie widziałaś. Nic nie wiesz, jasne?

Wszystko zaczęło się dziać w zwolnionym tempie. Miquita raz przybliżała prostownicę, raz ją oddalała, jak w jakiejś chorej grze. Czuję, że Lydia się boi, więc ja też zacząłem się bać. Szykowałem się jak na najeżdżcę. Zaplanowałem sobie w głowie: wyciągnąć nóż z bloku, ciukać najeżdżcę, aż oślepnie, potem wypchnąć do windy. Jedno z nas dzwoni na policję. Ciukać raz-raz, żeby nawet samemu nie poczuć. Po prostu w samoobronie. Lydia zamknęła oczy. Poczulem zapach spalenizny, zanim nawet w ogóle to się stało. To było tak, jakby z nieba spadły wszystkie ptaki, nieżywe.

Lydia: Proszę cię. Ja nic nie wiem. Ja jestem z wami, jestem z wami.

Lydia otworzyła oczy. Przejrzała się w lustrze: miała jedną malutką plamkę na policzku, świecąca i czerwona. Dotykała jej powoli, delikatnie, jakby to był pocałunek. Uwielbiam czekać, jak dziury zarastają, nowa skóra wzmacnia człowieka. I to jest najlepsze przy skaleczeniach i oparzeniach.

Twarz Miquity ożyła. Całe napięcie puściło i znowu wyglądała normalnie. To się stało bardzo szybko. Nawet sobie pomyślałem, że to był tylko zły sen.

Miquita: Patrz prosto przed siebie, okej? Będzie wyglądało ekstra, możecie mi wierzyć. Tylko siedź spokojnie, nie chcę ci zrobić krzywdy. Nie trzeba było się ruszać.

Lydia: Przepraszam.

Odetchnąłem. Świat się obudził na nowo. Kiedy włosy Lydii były gotowe, okazało się, że wyszły naprawdę klasa. Proste, jak trzeba i w ogóle. Warto było czekać.

Ja: Fuj! Głupio wyglądają! Wyglądasz jak bawół! (Wcale tak nie uważałem, ale musiałem ją wyśmiać. Mówienie dziewczynie, że ładnie wygląda, oznacza, że za bardzo ją się kocha.)

Chanelle: Nieprawda, wygląda odjazdowo.

Miquita: Nic na to nie poradzę, jestem w tym bardzo dobra.

Pobrałem odciski ich palców na kawałku taśmy klejącej. Chanelle dała mi swoje od razu, ale Miquita nie chciała współpracować. Wtedy sobie przypomniałem, co mówił mi Dean.

Dean: Jeśli nie chcą dać ci odcisków palców, zmusz ich, żeby się czegoś napili. Wtedy odciski znajdą się na szklance i już.

Miquita myśli, że jest taka mądra. I kto się teraz śmieje! Nie potrzebowałem odcisków palców Lydii. Nie jest podejrzana, to po prostu moja siostra. Nawet nie płakała przy oparzeniu.

•

Lydia pastwiła się nad swoim kostiumem z Klubu Tanecznego. Miała nożyczki w rękę i ciachała nimi w te i we wte jak wściekły rekin. Miała wilgotne oczy i co jakiś czas robiła przerwę, żeby się pomodlić. Jak w jakimś chorym śnie. Ani się ruszyć, tylko czekać, co będzie dalej. To tak jak wtedy, kiedy Abena wsadziła sobie drut od wieszaka do nosa, żeby mieć taki nos jak *obruni* (uważała, że tak biali robią ze swoimi nosami). Wszyscy wiedzieli, że to się nigdy nie uda i tylko czekali, aż się coś naprawdę złego stanie. Zupełnie jakby zwariowała.

Kopnąłem w drzwi. Musiałem ją powstrzymać, zanim na dobre straci rozum i już go nie odzyska.

Lydia: Zadowolony teraz?

Ja: Co ty wyprawiasz?



Lydia: A jak myślisz? Nie wierzysz, że to nie była krew. Uważasz, że kłamię. Wierzysz mi teraz?

Ja: Nie chcesz go mieć? Przecież ci się podobał.

Lydia: Nie, wcale nie. To jest głupie. Zresztą nienawidzę Klubu Tanecznego. Wszystko jest głupie.

Nie rozumiałem, co się dzieje. W każdym razie pomogłem jej. Wynieśliśmy kostium papugi na balkon. Był cały pocięty na kawałki, jakby coś nieżywego. Czekala go długa droga na sam dół. Kiedy spadnie na ziemię, będzie po wszystkim i będzie można zacząć od nowa. Oboje rzucaliśmy te kawałki. Patrzyliśmy, jak spadały, zupełnie jak duży, powolny deszcz. Deszcz zawsze w końcu zmywa krew. Na dole bawiły się dzieciaki. Pozwalały naszym kroplom deszczu padać na siebie, zbierały je i z powrotem robiły z nich pióra. Biegały z tymi piórami jedno za drugim jak zwariowane papugi, potem rzucały je, jakby to były najłżejsze bomby.

Lydia: Nie mów nikomu, co zrobiłam, dobrze?

Ja: Wiesz czyje to było?

Lydia: Nie, jak Boga kocham. Ja tylko zaniiosłam ubrania do pralni, i tyle. To był tylko test.

Ja: Nikt mi nie ukradł kurtki. Wrzuciłem ją do zsypu.

Lydia: Dlaczego?

Ja: Nie powiem ci, jeśli ty mi nie chcesz powiedzieć.

Lydia: W porządku.

Ja: Jordan wrzucił kiedyś do zsypu kota.

Lydia: Nie wrzucił, zwyczajnie ściemnia. Jesteś taki łatwowierny.

Dalej przyglądaliśmy się dzieciakom, ale znudziło im się i porzuciły pióra. Na ziemi kawałki kostiumu wyglądały jak zwłoki, po prostu uśpione. W myśli powiedziałem, przykro mi, ale już nie było w tym smutku, tylko siła. Siła, żeby nas bronić przed tym, co miało nastąpić, chronić nas wszystkich, jak żąb krokodyla.

*Lepiej, jeśli nie zauważasz, kiedy się zjawiamy, wierz mi. Są rzeczy, których chcesz dokonać, masz zobowiązania – wszystkie te ludzkie sprawy. To od tych rzeczy, którymi się zajmujesz, kiedy udajesz, że śmierć nie czyha za rogiem, będzie zależał wyraz jej twarzy, kiedy się z nią zderzysz. Róbcie swoje do znudzenia. Dokonujcie wyborów, róbcie to, do czego jesteście powołani. Cieszcie się chwilą, pomniki same się zatroszczą o siebie, te wykute z marmurze po waszym odejściu i te gliniane pomniki jeszcze żywych.*

•

Mam nowe buty sportowe. Nazywają się Diadora. Słyszeliście o takich? *Asweh*, są klasa. Mama zobaczyła, co zrobiłem z moimi Sports.

Mama: Co się stało z twoimi butami? Są zniszczone.

Ja: Chciałem mieć Adidasy.

Lydia: Te kreski nawet nie są proste. Są krzywe. Wyglądają pedalsko.

Ja: Twoja twarz wygląda pedalsko.

Mama: Fe! Dostyc tego pedalsko! Nikt nie jest pedalski.

Pojechaliśmy do second-handu. Sprzedają tam też buty sportowe. Diadora były najlepsze. Jedyne, które na mnie pasowały. Co za szczęśliwy traf. Są całe białe z niebieskim znaczkiem Diadory. Znaczek Diadory wygląda jak strzała albo coś z kosmosu. Widać było, że będzie się w nich biegało superszybko, od razu było widać.

Wcale się nie czuje, że są po kimś obcym. Mają tylko parę małych zadrapań. Pierwszy właściciel bardzo je szanował. Tylko za bardzo mu nogi urosły. Próbowaliśmy sobie wyobrazić, jak wyglądał:

Lydia: Założę się, że był brzydki i miał śmierdzące stopy i pełno na nich syfów.

Ja: Co ty gadasz! Wcale nie śmierdzą. Założę się, że był najlepszy w futbolu i bieganiu.

Wyobrażałem sobie, że zostawił trochę swojego ducha w tych butach i dzięki temu będę mógł celnie podawać piłkę i biegać całe mile.

Lydia: Nie mów nikomu, gdzie je kupiłeś, bo ci przywałą.

Ja: To, że one są z second-handu, nie znaczy, że mają raka.

Wszyscy gadają, że rzeczy z takiego sklepu mają raka. Oni są zwyczajnie głupi. Dzięki moim Diadorom będę biegł szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Jak mam je na nogach, to mi się wydaje, że mogę biec bez końca i w ogóle nawet się nie zatrzymywać. Nawet je wypróbowałem na korytarzu, gdzie jest gładziutka,

lśniaca podłoga i przyjemnie na niej skrzypiały.

Jak się bardzo porządnie wsłuchać, to faktycznie brzmi jak szuwaks. Ale trzeba do tego Diadory, nie tylko butów pielęgniarek.

•

Poppy zachwyca się moimi Diadorami. Uważa, że są klasa. To dlatego tak nam dobrze razem, że podobają nam się te same rzeczy. Oboje kochamy Diadory i Michaela Jacksona i oboje wolimy ciemne winogrona od jasnych. Mieć dziewczynę to prosta sprawa. Czasem trzeba trzymać się za ręce. To jedyny obowiązek. A kiedy indziej jest po prostu fajnie. W czasie przerwy siedzimy z Poppy na schodach przed pracownią przedmiotów ścisłych. Czasem Poppy powierza mi misje. A to pokazuję jej moonwalk, a to śpiewam piosenki, albo opowiadam kawały. Poppy uwielbia, jak coś dla niej robię. Czasem miałbym ochotę zabawić się w bombiarza samobójcę, ale Poppy woli, żebym z nią zostawał. Wcale nie mam nic przeciwko temu. A nawet chcę z nią zostawać.

Najpierw trzymałem Poppy za rękę na płasko i wszystkie palce razem. Poppy tego nienawidziła.

Poppy: Tak trzymają się za ręce dzieci! Odpowiedni sposób jest tak, patrz.

Odpowiedni sposób polega na tym, że się splata palce z palcami tej drugiej osoby. Wtedy jest bardziej seksi. Dziewczyny po prostu tak wołają. Ręka dosyć się poci, ale jest bardzo przyjemnie. Niektóre zasady co do dziewczyn, z którymi się chodzi, są tu inne. Nie można gonić ich ani przewracać. To jest zakazane. Po prostu raczej trzyma się je za rękę. Tak jest bardziej uprzejmie.

Poppy pozwoliła mi przymierzyć swoje okulary. Nosi je tylko do czytania. Nie są takie, jak noszą starzy ludzie, są małe i zgrabne. Ona jest i tak najpiękniejsza, nawet jeśli ma je na nosie.

Ja: Nie potłukę ich.

Poppy: Wiem. Do twarzy ci w nich. Dobrze widzisz?

Ja: Niezły obłęd!

Kiedy normalna osoba patrzy przez okulary, to cały świat się chwieje. *Asweh*, miazga. Nie widziałem, gdzie idę. Nie potrafiłem powiedzieć, co jest blisko, a co daleko. Kiedy tak chodziłem w nich dookoła, było mi niedobrze jak na morzu i prawie wpadłem na ścianę. Okulary działają tylko wtedy, kiedy ma się już popsute oczy. Jeśli oczy nie są popsute, to okulary nie działają. Śmieszna sprawa. Jakby się patrzyło, co jest pod wodą.

Poppy: To tak dziwnie wygląda, bo tobie okulary nie są potrzebne. Jak ja przez nie patrzę, to wszystko wygląda normalnie.

Ja: Szkoda, że nie mogę nosić okularów zamiast ciebie.

Poppy: Ach, słodki jesteś. Dziękuję.

Chciałem jej powiedzieć, że i tak jest najpiękniejsza na świecie. Chciałem jej powiedzieć, że jest moim żółtym słoneczkiem, ale za dużo ludzi się gapiło.



Linii granicznych nie widać, choć wiadomo, że są. Trzeba mieć je w głowie. Przejście podziemne za centrum handlowym to jedna granica. Jeśli ją przekroczysz, to masz problem. W ogóle do tego przejścia nie wchodzić. Zbyt straszno. Zawsze ciemno, nawet kiedy świeci słońce, a woda w kałużach jest tam syfiasta i toksyczna.

Następna linia graniczna to droga prowadząca koło mojej szkoły. Potem jest zakazana dzielnica. Raz kiedyś doszedłem do przystanku autobusowego pod wzgórzem. Nigdy się dalej nie zapuściłem.

Kolejna granica dochodzi do rzeki. McDonald's jest po drugiej stronie. Nigdy tam nie byłem, chyba że z Mamą autobusem. Jeśli idziesz tamtędy sam, to masz problem. Ta droga należy do Załogi Lewsey Hill.

Ostatnia linia graniczna to tory kolejowe. Dość daleko, za rzeką. Tak daleko nigdy nie byłem. Na torach odbywają się wszystkie wojny. To tereny wojenne. Któregoś razu Załoga Dell Farm i Załoga Lewsey Hill miały tam ustawkę. Było z tysiąc ludzi. Wszyscy z nożami i kijami bejsbolowymi i mieczami. Niektórzy zginęli. To było już dawno temu, zanim tutaj przyjechałem.

Jordan: Poodrąbywali im ręce i nogi i wszystko. Chora akcja. Są tam ciągle. Widać ręce i nogi zwisające z drzew. Zostawili je jako ostrzeżenie.

Nie wiem, czy to prawda. Nawet nie znam drogi do torów kolejowych.

Linie graniczne tworzą kwadrat. Tylko w tym kwadracie człowiek jest bezpieczny. Jesteś u siebie. Póki tu jesteś, nie mogą cię zabić. Najlepsza rzecz na własnym terenie, to te wszystkie miejsca, gdzie można się schować. Goni cię ktoś – zawsze masz którąś uciec. Mamy cholernie dużo alejek, jedna przy drugiej. Wystarczy pobiec którąś i już jest się bezpiecznym. Nigdy cię nie złapią. Trzeba tylko biec ile sił w dobrym kierunku.

Można się schować w krzakach na skwerze. Są takie duże, że cię zakryją. W krzakach przez cały rok były ludzkie zwłoki i nikt nie zauważył. Znaleźli je

dopiero, jak pies poleciał tam za patykiem i wrócił z czyjąś ręką w pysku.

Można też się ukryć w pojemnikach na śmieci. Nikt tam nie będzie cię szukał ze względu na smród. Jeśli potrafisz wstrzymać oddech, to możesz tam się schować na dobre.

Kościół jest domem dla każdego. Jak już tam się wejdzie, nie mogą nic zrobić, takie jest święte prawo. Można też pobiec do sklepów. A jeśli jest się dobrym wspinaczem, to można wdrapać się na garaż albo na drzewo. Mogą was zauważyć, ale nie dosięgną was. Są za ciężcy, żeby tam wleźć. Najwyżej mogą was ściągnąć liną. Bezpieczny dla wszystkich jest dom. Tylko trzeba pamiętać, żeby pozamykać zamki!

Dizzy zobaczył mnie przy głównym wejściu. Nie spodziewałem się go, ale to nawet lepiej. Pora powrotu do domu jest najlepsza na ściganie się.

Dizzy: Hej, pedałku. Zabiję cię, lepiej zwiewaj!

Zacząłem biec. Nigdy mnie nie złapią, są po prostu za powolni. Czasem pędzę prosto do domu, jakbym umierał z głodu. Ale jeśli chcę, żeby pościg trwał dłużej, to biegnę zygzakiem jak wąż. Obok parkingu dla nauczycieli, do ogrodzenia z kolcami. Nie biegłem za szybko. Chciałem, żeby Dizzy myślał, że może mnie dogonić. Zatrzymałem się przy znaku:



Czekałem na Dizzy'ego, żeby mnie dogonił. Uchwyciłem się ogrodzenia, jakbym był więźniem. To go jeszcze bardziej wkurzyło. Kupa śmiechu.

Dizzy: Nie baw się ze mną, człowieku. Zaje... cię za to!

Pozwoliłem mu podbiec bliżej i wtedy znowu ruszyłem biegiem. Pędziłem wzdłuż płotu, przez bramę i dalej w kierunku przejścia podziemnego. Kiedy się obejrzałem, Dizzy był jeszcze na wzgórzu i sapał jak zepsuty bus tro-tro. Nie miał wyjścia, musiał się poddać. Kolejne sto punktów dla Harrisona Opoku! A nie

mówiłem, że moje Diadory są najszybsze?

Ruszyłem tym razem naprawdę szybko, kiedy pojawił się X-Fire. Przechodził na drugą stronę jezdni w momencie, kiedy wybiegałem z przejścia podziemnego. Mało krew go nie zalała, tak się wkurzył na mój widok. Rzucił się prosto na mnie.

X-Fire: Już nie żyjesz, mały chujku!

Zrobiło mi się gorąco. Popędziłem do kościoła. Próbowałem dostać się do środka, ale drzwi były zamknięte. Pobiegłem dalej obok Centrum Jubileuszowego i biblioteki. Starłem się biec prosto, żeby było szybciej. Słyszałem tupot nóg X-Fire'a tuż za mną. Czułem, jak jego spuszczone z uwięzi mordercze myśli wypełniają powietrze jak ekstra siekący deszcz.

X-Fire: Ja cię, k..., zabiję!

Dobiegłem do sklepów. Tuż przede mną znalazła się pani w fotelowym aucie, prawie na nią wpadłem. Miałem tylko sekundę do namysłu. Zrobiłem to, zanim nawet sam się zorientowałem. Wskoczyłem na tył fotela. Wcale nawet nie miałem czasu, żeby pomyśleć, że to obłąd.

Pani od fotelowego auta: Co jest? Zjeżdżaj mi stąd!

Ja: Nie mogę! Przepraszam!

X-Fire doganiał nas. Chciałoby się, żeby jechała szybciej, ale silnik się zaciął. To było naprawdę wkurzające. Jechała wolniej, niż gdyby się szło. Nic tylko się załamać i umrzeć od tej powolności.

Ja: Szybciej, pani! Nogą na gaz!

Pani od auta fotelowego: Złaż natychmiast!

Jakieś dzieciaki biegły obok. Myślały, że to zabawa. Pokazywały mi środkowe palce.

Dzieciaki: Chuj! Chuj!

Pani od auta fotelowego: Już! Dostyc tego!

Pani od auta fotelowego gwałtownie zahamowała i musiałem zeskoczyć. Szybko się obejrzałem. X-Fire zatrzymał się. Dizzy go dogonił. Obaj śmiali się jak wariaci. Wszyscy się śmiali.

Dizzy: Niezła bryka, pedałku! Trzeba mieć prawko na coś takiego?

X-Fire: Ej, Ghana! Powiedz temu obszcymurkowi, że następnym razem, jak zobaczę jego psa, to go zakłuję!

I zmyli się do sklepów zabierając zło ze sobą. Byłem niezłe wpieniony, że ten pościg trwał za krótko. To było zbyt łatwe. Czekałem, aż złapię oddech i pobiegłem dalej. Zaraz dogoniłem panią od fotelowego auta i w locie

pomachałem do niej.

Ja: Dziękuję za podwiezienie! Przepraszam za zamieszanie!

Pani od fotelkowego auta: Zjeżdżaj, ty bezczelny gnojku!

W Anglii nigdy nie wiadomo, czy coś jest kawał, czy na poważnie. Myślę, że za dużo jest kawałów i dlatego oni tu zapominają, jak poznać się na czymś poważnym. Jak będę stary, moje auto fotelowe będzie szybsze, żeby się łatwiej zmyć, a opony będzie miało większe, żeby mogło jeździć po wybojach.

**Czerwiec**





Naszą bazą są schody przed moim blokiem, te, co prowadzą na pierwsze piętro. Jesteśmy tu bezpieczni. Tylko ćpuny ich używają, a są zbyt senni, żeby nas w ogóle zauważyć. Ja i Dean byliśmy na obserwacji (tak się mówi, kiedy się śledzi bandytów). Musimy to robić tak długo, aż zauważymy, że coś się dzieje, nawet jeśli ma to nam zająć cały dzień i całą noc. Mieliśmy Cherry Colę i trochę Skipsów, gdyby się miało przeciągnąć.

Ja miałem dyżur z lornetką, a Dean zajmował się sporządzaniem notatek. Miał zapisywać wszystko, co ja zaobserwuję, jako dowody.

Dean: Chciałem wziąć telefon mojej mamy, ale jest jej potrzebny. Zresztą aparat ma gówniany, tylko trzy megapiksele. Musimy niestety działać starymi sposobami.

Ja tam najbardziej lubię stare sposoby. Próbowaliście kiedyś Skipsów? Pycha. Smakują jak krewetki i są musujące. Masakra.

Ja: Czy mam mówić o wszystkim, co widzę?

Dean: Nie, tylko o tym, co wygląda podejrzanie. O ludziach, po których widać, że mają coś na sumieniu, albo o takich, którzy robią coś podejrzanego.

Ja: A Jezus się liczy?

Dean: Nie, on nie jest podejrzany. Zabójcy nie używają łyżworolek, bo to za bardzo rzuca się w oczy. Zdradzałoby ich.

Ja: Też tak myślałem.

Jezus przejeżdżał akurat na swoich łyżworolkach. Nigdy na nikogo i na nic nie wpada. Porusza się z wielką gracją. Nazywają go Jezus, bo ma brodę i długie włosy, tyle że siwe. Wszyscy mówią, że on wygląda tak, jak Jezus by wyglądał, gdyby jeszcze żył. Mimo wszystko powiedziałem, co widzę, ale nie zapisaliśmy tego.

Ja: Jezus przejeżdża na rolkach koło osiedla. Już prawie się wywraca na wyrwie w chodniku, ale w porę łapie równowagę. Dalej jedzie. Jakiś dzieciak pokazuje mu środkowy palec. Godzina?

Dean: Osiem minut po dwunastej.

Ja: Odnotuj to. Żadnych podejrzanych zdarzeń. Detektyw Opoku kontynuuje obserwację.

Takie prowadzenie obserwacji to masakryczna sprawa. Nikt nie wie, że ich śledzimy. Zwłaszcza przez lornetkę widzi się rzeczy, których normalnie nie da się zobaczyć. Prawdziwy luz. Zauważyłem, że Jezus ma węża wytatuowanego na ramieniu. Wcześniej o tym nie wiedziałem. Fajna rzecz. Zauważyłem dziecięcy trójkołowy rowerek na dachu przystanku autobusowego. Też fajna rzecz.

Widziałem boisko do koszykówki, ale nikogo tam nie było. Takie puste i zaniedbane. Smutny widok. Nawet nie wiem, dlaczego.

A najlepszy był moment, kiedy zobaczyłem gniazdo gołębi. One mieszkają na parapetach Domu Cygańskiego (to duża, stara kamienica, gdzie dawniej mieszkały sieroty, spaliła się, zanim tu przyjechałem). Mojego gołębia tam nie było, a inne to przylatywały, to odlatywały. Pewnie przynosiły obiad dla żony i dzieci.

*Gołąb: Jestem! Pora na jedzonko!*

Gołębie dzieci: Mniam! Robaki, moje ulubione!

Dean: Zostaw te gołębie! Skup się, mamy pracę do wykonania. Chyba że ty chcesz robić notatki.

Ja: Okej, okej, już się skupiam!

Skupiliśmy się na furgonietce Chips n'Tings z frytkami i hamburgerami. Zawsze stoi zaparkowana naprzeciwko mojego wieżowca. Każdy, kto kupuje tam żarcie, jest podejrzany, bo ich hamburgery są wstrętne. Trzeba być kryminalistą, żeby to jeść.

Dean: To jest przykrywka dla narkotyków, mówię ci. Chowają je do opakowania, albo do środka bułek. Kiedyś poprosiłem o frytki, a gość nawet mnie nie chciał obsłużyć. Powiedział idź lepiej do McDonald'sa.

Ja: Czy miał złoty ząb?

Dean: Nie, ale palił szluga. Gdybyś palił szluga w prawdziwej frytkarni, urząd by ci zamknął interes. Higiena i bezpieczeństwo, te rzeczy. Zdecydowanie nieciekawa sprawa.

Wszystkie podejrzone typy kręcą się wieczorem koło tej furgonietki, palą papierosy i słuchają z samochodów muzyki nastawionej na fulla. Nie jechałoby się samochodem kawał drogi do furgonietki z frytkami, gdyby żarcie było wstrętne. Ja tam bym nawet na piechotę nie poszedł, choćbym umierał z głodu. Siedziałem bez ruchu, żeby obraz mi nie skakał. Musiałem się skulić, żeby nie zdradzić naszego miejsca. Trwało to godzinami. Tyłek już mnie bolał jak cholera, ale nie mogłem się pierwszy ruszyć. Prawie już nawet polubiłem ten ból, a to znaczyło, że jestem prawdziwym detektywem.

Dean: Masz coś?

Ja: Jeszcze nie. Nieznany biały mężczyzna przyszedł, kupił hamburgera i poszedł sobie. Śladu poczucia winy.

Dean: Zachowaj czujność.

Ja: Tak jest, Szefie.

Tak się odpowiada twierdząco na zachowaj czujność.

### OZNAKI POCZUCIA WINY, TO MIĘDZY INNYMI:

Jak ktoś nie może usiedzieć w jednym miejscu

Mówienie bardzo szybko

Rozglądanie się cały czas dookoła, jakby się coś zgubiło

Palenie papierosa za papierosem

Za dużo płaczu

Drapanie się

Obgryzanie paznokci

Spluwanie

Nagłe napady agresji

Niekontrolowane gazy (częste pierdzenie)

Histeria religijna

Dean wie o tym wszystkim z telewizji. Ludzie mogą robić niektóre z tych rzeczy i mimo wszystko być niewinni, na przykład ktoś nie może usiedzieć, bo chce pójść w pewne miejsce. Nas interesowały tylko te osoby, u których widać było jednocześnie przynajmniej trzy takie oznaki. Trzy jest numerem magicznym.

Dean: A ten? Pali i chyba właśnie obgryzł sobie paznokieć. Zrób najazd na niego.

Zrobiłem najazd.

Ja: Nie, wszystko w porządku, to tylko Terry Nawynos. Zawsze tak pali.

Dean: Ale czy możesz za niego ręczyć? Uważam, że to nieciekawy typek. Dalej go obserwuj.

Ja: On zdradza tylko dwie oznaki, a obie są u niego normalne. Zatrzymał się, żeby zapalić szluga. Myślę, że jest okej.

Dean: Jesteś pewien?

Ja: Jestem pewien. To mój przyjaciel.

W tym właśnie momencie Terry Nawynos zauważył mnie. Asbo musiał zobaczyć mnie pierwszy, bo zaczął ciągnąć na smyczy i kiedy Terry Nawynos ruszył za nim, patrzył prosto w naszym kierunku. Terry Nawynos złożył dłonie w trąbkę i krzyknął głośno:

Terry Nawynos: **Siema, Harri!**

Terry Nawynos uwielbia, kiedy człowiek aż podskoczy. Myśli, że to bardzo zabawne.

Dean: Ja pier..., nasza kryjówka spalona. Misja przerwana. Kurde.

Ja: Przykro mi, sierzancie, to przeze mnie.

Dean: Nieważne. Następnym razem ja będę śledził przez lornetkę, okej?

Ja: Okej.

Następnym razem będę w przebraniu, żeby cywile mnie nie rozpoznali. Można kupić sztuczny nos i okulary na targu, kosztują tylko funta. Cywil, to każda inna osoba nie będąca ani kryminalistą, ani gliną.

Ja: Już może go tu wcale nie być. Gdybym ja kogoś zabił, tobym zwyczajnie uciekł, żeby policja mnie nie złapała.

Dean: Będą jednak śledzić lotniska. Nie, on pewnie się przyczaił i czeka, aż policja przestanie go szukać. Jakiś inny dzieciak wkrótce zginie, to wtedy nim się zajmą. A nasz morderca wyjdzie sobie z kryjówki i będzie się zachowywał jakby nigdy nic.

Ja: Do bani.

Dean: Wiem. I dlatego potrzebujemy dowodów, jasna sprawa. Trzeba ruszyć dupy i się przyłożyć, zacząć zbierać DNA. Krew, ślina, nawet gówno. Kozy z nosa. Wszystko, co pochodzi od danej osoby, ale tak, żeby o tym nie wiedziała. Jak wstawimy te próbki do lodówki, to się nie zepsują. Przydałoby się tylko trochę torebek, albo czegoś.

Ja: Poczekaj.

Wyciągnąłem z kieszeni gumę o smaku czarnej porzeczki, wsadziłem sobie do ust, a następnie wydlubałem z nosa możliwie najlepszą kożę i włożyłem ją do pustego papierka. Idealna wielkość. Wystarczająco dużo miejsca, żeby koza zachowała świeżość i wygląd.

Ja: Perfekt!

Rzuciłem bombą kozową w Deana. W porę się uchylił. Dałem mu gumę i zrobił to samo. Wydlubał sporą kożę, zawinął ją jak bombę i rzucił we mnie. Nawet z gównem też tak można byłoby zrobić, jeśli byłoby go mało. Nie wiem, jak zdobyć ludzkie gówno, tak żeby osoba, od której będzie pochodziło, nie zorientowała się. I nawet wcale nie chcę wiedzieć! Musieliby nam dać za to dodatkową premię.

Ja: Co to jest DNA?

Dean: To tak jak odciski palców, tylko z wnętrza. Wszystkie komórki w ciele mają malutkie metki, które tylko do ciebie należą. Są nawet na komórkach gówna i śliny, na wszystkim. Można to odczytać wyłącznie przez mikroskop.

Ja: I co tam jest?

Dean: Wszystkie możliwe kolory. Ale ich kolejność jest u każdego inna, na przykład ja miałbym zielony niebieski czerwony zielony, a ty zielony niebieski zielony czerwony i wszystko to pomnożone przez milion. Ta kolejność decyduje o tym, czy będziesz mądry albo szybki, jakiego koloru będziesz miał oczy i jakie przestępstwa popełnisz. DNA o wszystkim decyduje, zanim jeszcze się urodzisz.

Masakra. Widocznie dlatego jestem szybki, bo Pan Bóg wiedział, że chciałbym być. Dał mi wszystkie zdolności, jakie chciałem mieć, zanim nawet w ogóle o nie poprosiłem. *Asweh*, DNA to wielki wynalazek. Chciałbym zobaczyć te swoje kolory, wtedy bym się dowiedział, czego jeszcze się nauczę w przyszłości. Mam nadzieję, że jedną z tych umiejętności będzie koszykówka. Wydłubałem jeszcze jedną kożę z nosa i spojrzałem na nią przez lornetkę od złej strony, ale nic nie mogłem zobaczyć, kolory są za daleko pochowane.

Szkoda, że morderca nie zobaczył w porę swoich kolorów. Znalazłby kolor od zaciukania zmarłego chłopca i zamalowałby go czym innym. Poppy ciągle tak robi. Kończy malować paznokcie, potem stwierdza, że jednak nie podoba jej się kolor i zaczyna od początku. *Asweh*, powinna się trzymać jednego koloru, bo inaczej w kółko będzie te paznokcie malowała i nie zostanie jej czasu, żeby mnie kochać!

Lydia jest zakochana w Samsungu Galaxy. To rodzaj telefonu komórkowego. Nic tylko o tym gada i gada. Myśli, że Ciocia Sonia kupi jej taki na urodziny. Nawet słyszałem, jak się o to modliła w łazience. Czekałem pod drzwiami, aż wyjdzie.

Ja: Musisz wiedzieć, że nie wypada modlić się o telefon komórkowy.

Lydia: Nie gadaj głupot! Mogę się modlić, o co chcę.

Ja: Kochanica diabła!

Lydia: Dupoliz!

Lydia wcale nie dostanie Samsunga Galaxy, on kosztuje sto funtów. Jeśli jednak dostanie, to ja poproszę o PlayStation. W przeciwnym razie byłoby nie fair. Ciocia Sonia kocha nas oboje tak samo.

Uwielbiam słuchać, jak ludzie rozmawiają przez telefony komórkowe. Wszędzie ich się słyszy: jak idą, jak stoją w kolejce do kas w supermarkecie, jak siedzą na placu zabaw. Najlepiej jest w autobusie, bo wtedy nie mogą się wymknąć. Słyszy się wszystko. Rozmawiają o najróżniejszych głupotach. Kiedy jedziemy autobusem do second-handu, to zawsze podsłuchuję (kierowca siedzi za szybą pancerną. Masakra. W ten sposób jest bezpieczny i nie zostanie pogryziony, gdyby jakieś zwierzęta dostały amoku).

Któregoś razu słyszałem rozmowę o serze. Gość mówił tej drugiej osobie, że kupił jej ser.

Gość przez komórkę: Kupiłem ser. Ale nie kameber, nie mieli. Musiałem wziąć bryj.

*Asweh*, tak powiedział! Kupa śmiechu. A kiedyś znowu jakaś dziewczyna opowiadała, jak sobie dała przekłuć pępek. Opowiadała, jak od kolczyka w pępku dostała zakażenia.

Dziewczyna przez komórkę: Wiem, że powinno się przemywać. Przemywałam. Taaa, solą fizjologiczną. A i tak się jadziło. Ropa wychodziła. W końcu wyjęłam go, nie będę już sobie dupy zawracać. Można dostać raka pępka?

Jak Boga kocham, słyszy się kompletnie obłądne rzeczy! Czysty relaks. Mama mówi, że to srutu-tutu, ale ja uwielbiam. Uważam, że to bardzo ciekawe. Tylko nie mogą się zorientować, że się słucha, bo przestaną i wtedy koniec zabawy.

Lydia: Będę go używała tylko w nagłych wypadkach. To właściwie dla ciebie, żebyś cały czas wiedziała, gdzie jestem. Tak jest bezpieczniej.

Ja: Kłamczucha. Ona chce go mieć po to, żeby gadać o świństwach z Miquitą.

Lydia: Co ty! Wcale nie.

Mama: Jakich świństwach?

Ja: Wszystko o całowaniu się z chłopakami.

Mama: Jakimi chłopakami?

Ciocia Sonia: Lydia ma chłopaka!

Lydia: Nie, nie mam. On zmyśla.

Ja: W jaki sposób tak sobie nos urządziłaś?

Ciocia Sonia ma wielki opatrunek na nosie, podbite oko w różnych kolorach tęczy. Wygląda, jakby walczyła na wojnie. Byłem gotów zniszczyć tego, co to zrobił. Zaciukałbym go nożem z ząbkami, żeby ekstra bolało.

Mama: Właśnie, jak to się stało? Opowiedz nam.

Ciocia Sonia: To przez moją własną głupotę. Szukałam sukienki, chciałam zdjąć walizkę z szafy. Zsunęła się i uderzyła mnie prosto w nos. Złamał się, wszystkie gwiazdy zobaczyłam.

Lydia: Głupia sprawa!

Mama: Powinnaś bardziej uważać.

Ciocia Sonia: Wiem.

Ciocia Sonia zamilkła w chwili, kiedy Julius wyszedł z pewnego miejsca. Posadził ją sobie na kolanach jak dzidziusia. Trzymał ją za rękę jakby kajdankami na wypadek, gdyby chciała uciec. Może objąć jedną ręką jej całe ramię, taki jest ogromny. Myślał, że dalej rozmawiamy o Agnes (ma gorączkę, ale nie umrze, Bóg na to nie pozwoli, jeśli obiecamy, że będziemy grzeczni).

Julius: Jeśli potrzebuje lekarstw, mogę dla niej zdobyć porządne. Nie jakies tam przeterminowane z darów. Mam w Ghanie znajomego na uniwersytecie, w Legon. Mogę tam zadzwonić.

Mama: Nie, nie trzeba. Radzimy sobie. Już dosyć dla nas zrobiłeś, dziękuję.

Julius: Julius nic tylko chce innych uszczęśliwiać, eh?

Zarechotał głośno i nieprzyjemnie, po czym szarpnął Ciocię Sonię za gumkę od rajstop. Ciocia Sonia prawie spadła z krzesła. Widać było majtki odznaczające się pod rajstopami. Dosyć obrzydliwe to było.

Mama: Muszę się zbierać do pracy. Chodź do kuchni, dam ci ten placek.

Ja: Nie wiedziałem, że mamy placek. Mogę kawałek?

Mama: Jest już tylko resztką. Jutro znowu upiekę.

Usłyszałem, jak się otwiera i zamyka tajemna szuflada Mamy. Poznaje się ją po skrzypieniu. Nie ma tam żadnego placeka, tylko cholernie dużo pieniędzy i czekolada Dairy Milk. Wiem, bo rano tam zaglądałem. Nic nie wziąłem.

Ja: Nie zaobserwowałem żadnych okruchów na ustach podejrzanego, kiedy powrócił z miejsca zdarzenia: kuchni. Mój nos detektywa podpowiada, że coś tu

nie gra. (Tak sobie tylko mówiłem w myśli.)

Julius zawsze wybiega w pośpiechu i robi się wielkie zamieszanie. Ciocia Sonia musi biec za nim jak pies. Twarz jej tężeje jakby od bąkowego wiatru z metra, który śmierdzi jak bimber i Przekonywacz.

Mama: Pamiętaj, że winda jest zepsuta. Uważaj na schodach, dość już tych wypadków.

Ciocia Sonia: Nie martw się o mnie, wszystko w porządku. W jakim kolorze chcesz telefon?

Mama: Nie, Soniu. Nie trzeba.

Lydia: Czerwony.

Ciocia Sonia: Zobaczę, co się da zrobić.

Lydia: Dziękuję!

Ja: Uważaj na kałuże! Ludzie załatwiają się na schodach.

Lydia: A Harri pluje.

Mama: A to co znowu?

Ja: Wcale nie pluje! Mamo, jak Boga kocham!

Julius: Chodź, idziemy!

Julius był już na końcu korytarza. Puścił drzwi wahadłowe i szedł dalej. Prawie uderzyły Ciocię Sonię w twarz. *Asweh*, dwa złamane nosy jednego dnia, to byłby światowy rekord pecha! Nie mogłem zdjąć odcisków palców ze szklanki Juliusa, opary z bimbru musiały je rozpuścić. Kiedyś powąchałem z bliska i oparzyłem sobie oczy. Oślepiłem na godzinę.



Jeśli Connor Green jeszcze raz powie, że Poppy jest zdzira, to mu wbiję cyrkiel w nogę. Connor Green mówił, że widział cycki Poppy. Mówił, że widział cycki wszystkich dziewczyn z naszej klasy.

Connor Green: Jak miały pływanie. Wpuściły mnie do szatni, kiedy nie było nauczycielki i wszystkie mi pokazały. I cipy też. To nawet nie był mój pomysł, zwyczajnie chciały to zrobić. Możesz się spytać.

Ja: Spytam.

Connor Green: Nie przyznają się. Nie chcą, żebyś wiedział, jakie z nich zdziry.

Connor Green to zwyczajny kłamczuch. Nigdy nie widział cycków Poppy. Mówi tak, bo chce być jej chłopakiem. Kiedy zobaczył wiadomość od niej do mnie, to mu oczy aż pociemniały. Stąd wiem. Wyraźnie chciał, żeby jemu tak napisała.

**P.M. + H.O.**

**N.W.N.P.**

To znaczy, że ja i Poppy należymy do siebie. Litery P.M. znaczą Poppy Morgan, a H.O. – Harrison Opoku. Jeśli się wstawi + między nimi, to znaczy, że te osoby są jak suma, że są razem. Poppy tak mi powiedziała.

Poppy: N.W.N.P. znaczy Nawet Wymazane Nadal Prawdziwe. To znaczy, że jeśli nawet ktoś to wymaże, to i tak się liczy. Nikt tego nie może zniszczyć, zostaje na zawsze.

Poppy napisała tak na swojej ławce. Po angielsku. Wiecie co to jest Tippex? To taka specjalna farba do wymazywania błędów. Biała jak papier. Jeśli się zrobi błąd, to po prostu zamalowuje się Tippeksem i pisze jeszcze raz. I nikt nie musi wiedzieć, jaki błąd się zrobiło. Bardzo sprytne. Chciałbym, żeby tak można było ze wszystkim, nie tylko z pisaniem.

Poppy: Teraz ty napisz. Litery muszą być tej samej wielkości, co moje.

Ja: A co będzie, jak pani Bonner to zobaczy?

Poppy: Nie zobaczy, zasłonię teczką.

Poppy uniosła teczkę, a ja napisałem swoją wiadomość. Nie można wachać Tippeksu, bo jest w nim ta sama trucizna, co w markerach. Pędzelek jest bardzo malutki. Tippex jest dobry przy pisaniu, bo wychodzi całkiem porządnie. A najlepsze jest to, że kiedy wyschnie, nie da się wymazać. Chciałem, żeby wszyscy zobaczyli. Miało być tajemnicą tylko do chwili, kiedy Tippex wyschnie.

Trochę mi się ręka trzęsła, bo musiałem pisać szybko. Ale i tak wyglądało

klasa.

**H.O. + P.M.  
N.W.N.P.**

Moja wiadomość była taka sama, tyle że napisałem H.O. przed P.M. Najpierw były moje litery, bo to wiadomość ode mnie. Wszystko inne było tak samo. Do końca lekcji zasłaniałem napis piórnikiem. Przeczytałem jeszcze raz, zanim wyszedłem z klasy. Widzieć to w tym miejscu to masakra. Zrobiło się jakoś ważnie. Nawet Poppy tak samo uważała, wyraźnie bardzo jej się podobało. Uśmiechała się od ucha do ucha. Teraz każdy, kto siądzie w mojej ławce, będzie wiedział, że Poppy i ja należymy do siebie. I już w ogóle nawet nie można tego cofnąć. To jakby się było małżeństwem. Nawet lepiej, bo nie trzeba uprawiać z nikim seksu.

Kiedy człowiek się żeni, wszyscy w rodzinie, mama, papa i jej mama i papa, wszyscy czekają pod pokojem seksowym. Mąż i żona tam idą i robią to. Mogą wyjść dopiero, jak to zrobią. Jak skończą, to znaczy, że w oczach Boga są poślubieni i nie można tego rozerwać. Potem jest wielka uczta. Ale jeśli z dziurki dziewczyny wyjdzie ryba, to znaczy, że już to robiła z innym chłopakiem. Jest wtedy naruszona i nie trzeba być jej mężem, można ją odesłać z powrotem do rodziny. To dobra wiadomość, jeśli dziewczyna jest brzydka, ale gorzej, jeśli jest piękna i właściwie chciałoby się ją zatrzymać.

Connor Green: Widziałem raz wideo, jak kobieta bzykała się z psem. Chyba z owczarkiem alzackim. Czy bzykanie się z psem jest grzechem w twoim kraju?

Ja: Bzykanie się z jakimkolwiek zwierzęciem jest grzechem, czy to pies, czy kura albo robak, nieważne. Pan Bóg odbiera ci za to wzrok.

Connor Green: A bzykanie się z dzieciakiem? To najgorsze, co może być. Co się dzieje, jak ktoś się bzyka z dzieciakiem, co Pan Bóg wtedy zrobi?

Ja: Zabija cię w najgorszy możliwy sposób. Skóra, na przykład, z ciebie zejdzie, a mózg się zagotuje. Oczy wyleżą ci na wierzch, flaki wylecą tyłkiem.

Dean: Ohyda!

Ta dziewczyna-nienormalka zawsze jest przestraszona jak mały królik, bo jej dziadek uprawia z nią seks. Tak mówił Dean. Ona mieszka z dziadkiem. Dziadek uprawia z nią seks cały dzień. Dlatego ona tak śmiesznie chodzi. Dlatego jest taka cicha jak królik.

Ja: Czemu nie powie swojej mamie?

Dean: Jej mama umarła. Jest tylko ona i ten dziadek.

Ja: No to dlaczego nie powie policji?

Dean: Gdyby powiedziała, to zabiorą dziadka i wtedy nie miałyby gdzie mieszkać.

Żal mi się zrobiło dziewczyny-nienormalki. Chciałem powiedzieć, że mogłaby mieszkać ze mną, ale wtedy wszyscy myśleliby, że jestem w niej zakochany.

Connor Green: Są tacy co bzykają dziurę w ścianie. Robią dziurę w ścianie i wsadzają tam kutasa. Przeważnie to jest w toalecie.

*Asweh*, w ogóle nie mogłem w to uwierzyć. Jakiś kompletny obłąd. Udają, że dziura jest niby panią. Czasem z drugiej stronie ściany jest jakaś pani. Kiedy zobaczy, że siusiak mężczyzny wystaje przez dziurę, to go całuje.

Ja: To po co jest ta dziura?

Connor Green: Żeby nie widzieli się nawzajem.

Ja: Dlaczego? Czy są brzydcy?

Connor Green: Przeważnie.

Ja: To po co w ogóle uprawiają seks? Dlaczego po prostu nie uprawiają seksu ze ścianą?

Connor Green: Bo nie chcą, żeby ludzie myśleli, że są zboczkami.

Poppy nigdy by nawet nie pokazała cycka Connorowi Greenowi. Uważa go za debila. Dziewczynom w ogóle nie podobają się debile, podoba im się tylko ktoś, kto jest seksi. *Asweh*, Connor Green nigdy nie widział żadnego cycka, założę się o milion funtów.

•

Ludzie naprawdę załatwiają się na schodach, czuje się to z odległości miliona mil. Trzeba uważać, żeby nie wleźć w kałużę. Jeżeli ktoś wskakuje w normalną kałużę, to jest debil, ale jeśli skacze do kałuży sików, to znaczy, że jest zrobiony z sików.

Jeśli się wylądzuje na igle i igła wbije się komuś w stopę, to się dostaje AIDS. Trzeba być ekstra szybkim i jednocześnie bardzo ostrożnym. To bardzo trudna umiejętność. Może będzie moją następną supermocą.

Nie mogę już więcej wchodzić do windy. Już nigdy. Lil Stara Szluga była w środku. Za późno ją zauważyłem. Drzwi już się zamknęły. Stała za mną i całą drogę na górę wpatrywała się we mnie tymi swoimi szalonymi, kaprawymi oczami. Wyraźnie chciała mnie zabić. Myślała, że to ja wtedy kopnąłem w nią

piłkę.

A to nie byłem ja, tylko Jordan. Nie wiem, dlaczego myślała, że to ja. W ogóle nie kopałem piłki. Chciałem tylko potrenować podawanie. Winda stanęła.

Lil Stara Szluga: Cholera jasna!

Myślałem, że umrę, ale winda znowu ruszyła. To był fałszywy alarm. Wystarczy, żeby mnie podrapała tymi swoimi pazurami, to mnie otruje. A potem jak będę spał, pokroi mnie i zrobi ze mnie pasztet. Chciałem ją przeprosić, ale słowo przepraszam nie przeszło mi przez gardło. Nie mogłem się nawet ruszyć. Naprawdę przerażająca rzecz. Wymacałem ząb krokodyla w kieszeni. Modliłem się o drugą szansę.

Winda jechała godzinami. W brzuchu było mi bardzo zimno. Czulem na plecach, jak Lil Stara Szluga wpija we mnie głodne spojrzenie niebieskich oczu. Gdybym się odwrócił, plunęłaby mi w twarz trucizną i zawlokła do swojej nory. A ja wcale nie chcę jeszcze umrzeć. Winda znowu się zatrzymała.

Ja: Cholera jasna!

Kiedy drzwi się otworzyły, jak Boga kocham, co za ulga! Lil Stara Szluga wysiadła. Patrzyłem, czy się nie odwróci, ale poszła sobie dalej. Wtedy drzwi windy znowu się zamknęły, a ja wypuściłem dziecko. Zadedykowałem go Panu Bogu i wszystkim aniołom. *Adjei*, niewiele brakowało! Od dzisiaj nie mogę więcej wchodzić do windy. Mogę tylko używać schodów. Schody są bezpieczne. Jak będę biegł wystarczająco szybko, smród sików w ogóle nawet mnie nie dosięgnie.

•

Kiedy człowiek, który prowadzi wiadomości w programie Londyński Wieczór, robi poważną minę, to wiadomo, że trzeba posłuchać. Widać, że nie zmyśla. Wyraźnie mu brakuje zmarłego chłopca, kiedy o nim mówi. Wyraźnie go kocha. Wysłuchanie wiadomości jest obowiązkiem każdego. Nawet Lydia tym razem przyznała. Kazała mi pogłościć.

Reporter: Dzisiaj mija trzy miesiące od chwili, kiedy został śmiertelnie ugodzony nożem przed barem fast food. Kolejna ofiara epidemii przestępstw z użyciem noża, które nadal nękają stolicę. Zdaniem policji ludzie obawiają się zemsty, stąd brak informacji ze strony ewentualnych świadków. Dzisiejszego wieczoru zadajemy sobie pytanie, co zrobić, żeby obalić ten mur milczenia i zachęcić osoby, które są w posiadaniu jakichś informacji, do zgłoszenia się.

Czekamy na państwa przemyślenia, numery kontaktowe znajdują się na pasku u dołu ekranu.

Ja: Powinni dać im nagrodę. Zapytać, co by chcieli i kupić im to. Wtedy będą mówić. Na przykład nowy rower, albo kupę fajerwerków. Bo gdyby już mieli te swoje ulubione rzeczy, toby nie zabijali, bo byliby już zadowoleni. Nawet by im do głowy nie przyszło.

Lydia: Kto miałby kupić te wszystkie rzeczy?

Ja: Królowa. Ma mnóstwo pieniędzy. Nawet wszystkich nie potrzebuje, jest stara.

Lydia: No to napisz do Królowej. Poproś ją o nowy rower i zobaczymy, co na to powie.

Ja: Napiszę. Wyślę jej e-mail. I poproszę o nową twarz dla ciebie. Ta twoja stara jest okropnie brzydka.

Lydia: Co ty nie powiesz! Poproś o nowy mózg dla siebie. Bo masz rozmiękczony.

Ja: Albo może o nowy tyłek dla ciebie. Masz za gruby. Wygląda jak chałupa.

Lydia: A twoja głowa wygląda jak sedes.

Ja: Twoja jest sedes. Dlatego śmierdzi gównem.

Czekałem, co Lydia teraz powie, ale patrzyła na zdjęcie zmarłego chłopca na ekranie. Miała smutną minę, jakby go znała. Nie znała go. Ja znałem go lepiej niż ona.

Ja: Nie możesz mu ssać, on nie żyje.

Lydia: Weź ty się! Nawet o tym nie myślałam. Jesteś obrzydliwy!

Upiekło mu się. Jeden pocałunek Lydii dałby człowiekowi wszystkie głupie zarazki z całego świata. Ciekaw jestem, jak naprawdę jest w Niebie. Czy inne jest dla dzieciaków, a inne dla dorosłych. Czy na przykład dalej jest tam ktoś, kto im każe wracać z futbolu, jak się robi zbyt ciemno. Zmarły chłopiec znał większość sztuczek z piłką, potrafił ją lekko odbić piętą i podbijać bardzo długo raz jedną, raz drugą nogą. Zawsze strzelał gole z kornera, tak jak trzeba, no i nawet umiał zagrać główką. Dobry był we wszystkim. Ciekawe, czy są tam takie psy jak Asbo, żeby kradły piłkę. Toby było dopiero. Mam nadzieję, że zwierzęta w Niebie potrafią mówić, wtedy mogłyby powiedzieć, kiedy są zadowolone, żeby nie trzeba było zgadywać. Przeważnie widać po oczach, ale tylko u większych zwierząt, bo już u gołębi czy much to nie działa. Ich oczy są smutne i tyle.

Prezenter wiadomości: To wszystko na dziś. Dobranoc państwu.

Ja: Dobranoc!

Zawsze odpowiadam. A co mi tam. Jeśli on tak mówi, to ja mu odpowiadam.

Lydia: On nawet nie mówi do ciebie.

Ja: Właśnie, że mówi, patrzy prosto na mnie.

Lydia: Ale cię nie widzi. Nie wie, że tam jesteś.

Ja: Przecież wiem. Nie jestem głupi.

*Asweh*, Lydii zawsze maści się w głowie! Wiem, że on mnie nie widzi. Ale i tak mówi do mnie, bo inaczej by tego nie powiedział. To tak samo jak się rozmawia przez telefon, nie widzą cię, ale i tak z tobą rozmawiają. I to jest fair. Zwrócił się do mnie, więc mu odpowiadam. Grzeczność nic nie kosztuje, tak Mama zawsze mówi. Lydia jest głupia.

Ja: Dziękuję! Do jutra!

Jak byłem mały, lubiłem gonić ptaki, ale już tego nie robię. Nigdy ich się nie dogoni. Złapać można tylko kury, ale one się nie liczą, bo to jest za łatwe. Raz widziałem gołębia bez nogi. Prawie tak ładny jak mój. Całkiem dobrze chodził. Kicał na skraju skweru szukając robaków.

Ja: Straciłeś nogę w gołębiej wojnie? Czy dopadł cię kot? A może taki się już urodziłeś? Nie martw się, jesteś bezpieczny, powiem ci, jak zobaczę jakieś niedobre dzieciaki. Nie pozwolę, żeby cię zatłukły.

*Gołąb: ...*

Wiem, że Jezus powiedział, że jestem ważniejszy niż sto wróbli, ale ja nie wiem, co on sądzi o gołębiach. Myślę, że gołębie i ludzie są tak samo ważni. Gołębie nawet może trochę ważniejsze, bo umieją fruwać, a my nie. Kocham je, obojętnie, czy mają jedną nogę czy dwie.

W miejscu, gdzie rosło tamto drzewo, jest teraz trawa. Kiedy drzewo się przewróciło, wykopali je i zasypali dziurę ziemią. Teraz rośnie trawa. Prawie wszystko już zarosło, właściwie już nie widać gołej ziemi. Zadziwiające. Skąd ta trawa tak szybko się wzięła, nie widziałem, żeby ktoś ją siał. Po prostu urosła. Jak jakieś czary.

Nasionka musiały spaść z deszczem. To jedyne wyjaśnienie, jakie mi przychodzi do głowy.

Usiadłem na tej nowej trawie i słuchałem podmuchów wiatru wśród drzew. Kiedy wiatr wieje przez liście, to jakby szumiało morze. Uwielbiam, kiedy wiatr szumi jak morze. To tak przyjemnie uspokaja. Zamknięte pomieszczenia są czasem za ciasne, czuję się w nich za bardzo ściśnięty. Chciałbym być cały czas na dworze z morzem i ptakami.

Jeśli Agnes umrze, to się po prostu zamienię z nią miejscami. Może sobie wziąć moje życie. Dam jej swoje, a sam za nią umrę. Nie miałbym nic przeciwko temu, bo już dość długo żyję. Agnes żyje dopiero od roku z kawałkiem. Mam nadzieję, że Bóg się zgodzi. Nie mam nic przeciwko pójściu do Nieba wcześniej. Jeśli on chce, żebym się z nią zamienił, to zrobię to. Mam tylko nadzieję, że zdążę przedtem spróbować Haribo Horror Mix (to moje najbardziej ulubione z wszystkich Haribo. Mają różne odlotowe kształty, na przykład nietoperzy, pajaków i duchów. Mama mówi, że to bezbożność, ale ona za bardzo się przejmuję).

Mama: Nie bądź niemądry, Agnes nie umrze, ma tylko gorączkę.

Ja: Siostra Mosesa Agyemana miała gorączkę i umarła.

Mama: To nie to samo.

Lydia: Umarła tylko dlatego, że jej mama poszła do czarownika ju-ju. Każdy to wie.

Ale mimo wszystko dalej bardzo się bałem. Każdy może umrzeć, nawet małe dziecko. Codziennie umierają. Zmarły chłopiec nikomu nigdy nie zrobił krzywdy, a zaciukali go na śmierć. Widziałem tę krew. Jego krew. Jak mogło się jemu przytrafić, to każdemu może. Liczyłem, że Agnes powie mi cześć, ale nic z tego. Tylko oddychała, ale jakoś inaczej niż zwykle. Nie tak głośno jak powinna. Za szybko i za daleko.

Babcia Ama: Wyzdrowieje. Pan Bóg jej strzeże.

Ja: Gdzie Papa?

Babcia Ama: W pracy. Chcesz mu coś przekazać?

Ja: Powiedz mu tylko, że jak tu będzie jechał, to żeby wziął kocyk dla Agnes. Koce w samolocie drapią i człowiek się elektryzuje.

Babcia Ama: Powiem mu, nie martw się.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, dalej miałem w uszach oddech Agnes. Chciałem słyszeć go lepiej. Właściwie nawet nie wiem dlaczego, zanim się pójdzie do Nieba trzeba najpierw umrzeć, przecież powinny być drzwi, przez które można zwyczajnie przejść. Potem można by sobie wrócić i odwiedzić kogo się chce, coś jakby wakacje zamiast na zawsze. Na zawsze jest za długo, i to w ogóle nie fair.

•

Rekiny nigdy nie śpią. Muszą cały czas pływać, bo inaczej umierają, więc nie wolno im wcale zasnąć, nawet na sekundę. Chyba to wyczytałem w mojej książce *Zwierzęta głębinowe*, a może zwyczajnie mi się śniło. Mój sen był czarno-biały. Było tam morze i ja do niego wpadłem. Było Martwe, takie same, do jakiego trafiłaby Agnes. Wszystkie te pozamaciczne i niechciane tam były, słyszałem, jak płakały i czułem, jak mnie potracają, kiedy płynę. Nie mogłem ich zabrać ze sobą, to nie ode mnie zależało. Miałem tylko pływać jak rekin. Usłyszałem, jak Agnes mnie woła:

Agnes: **Harri!**

Ale nie wolno mi było się zatrzymać. Była sama. Jedyne, co mogłem zrobić, to płynąć dalej i mieć nadzieję, że jedna z fal, jakie wywołuję, dosięgnie ją i przyniesie do mnie. To był jedyny sposób, żeby ją uratować.

Kiedy się obudziłem, nogi miałem obolałe od tego całego pływania. Miałem nadzieję, że płynąłem dość szybko, żeby wywołać wystarczająco dużą falę. Bo



droga była długa.

Papa nauczył mnie pływać w morzu w Kokrobite. To było wtedy, kiedy zawoziliśmy krzesła, które zrobił dla hotelu przy plaży. Najpierw bałem się, czy nie ma rekinów, ale Papa wiedział, jak je odpędzić, gdyby podpląnęły za blisko.

Papa: Po prostu trzeba dać im pięścią w nos. Mają ekstra łaskotliwe nosy. I zaraz kichają, więc kiedy zamykają oczy, po prostu odpływasz. Będziesz bezpieczny.

Papa podtrzymywał mnie pod brzuchem, a ja miałem tylko kopać nogami. To nawet łatwe. Uwielbiam robić fale. Czuło się, że fale nas razem ciągną, żebyśmy się nie zgubili. Za każdym razem, kiedy myślałem, że odleczę, Papa przekręcał mnie w swoim kierunku i już było znowu dobrze. *Asweh*, w głowie się nie mieści, jakie morze jest wielkie. Kiedy patrzyłem na koniec morza, już mnie tak nie przerażało, raczej to było tak, jakbym patrzył na miejsce, z którego wyruszyłem. Za każdym razem, kiedy któryś rybak wskakiwał do morza, robił się dodatkowy plusk i nowy krąg zwiększał nasz. Te kręgi nie trzymały się każdy osobno, tylko łączyły się jak palce trzymających się rąk. Wszystkie się łączyły w jedno i morze z powrotem wracało do takiego samego kształtu, co zawsze. Bardzo sprytne. Fale, które robimy, trzymają nas, więc nie zginiemy. Trzeba tylko kopać mocno i celować w odpowiednim kierunku.

Obudziłem się za szybko, żeby cię zobaczyć. Byłeś za moim oknem. Czułem to, zanim otworzyłem oczy, ale kiedy spojrzałem, to już odlatywałeś. Następnym razem zostań, ja tylko chcę z tobą porozmawiać. Chciałem cię tylko zapytać, czy naprawdę jest Nieb...

*Gołąb: Jest.*

Ja: Czy ten zmarły chłopiec tam jest? Wiedziałem! A co z Agnes, czy wyzdrowieje? Nie chcę, żeby i ona umarła. Nie lubi być sama, boi się.

*Gołąb: Będzie zdrowa. Nie zostawimy jej samej, obiecuję.*

Ja: Skąd mam wiedzieć, czy mówisz prawdę? A jeśli tylko jesteś w mojej głowie?

*Gołąb: Czy czujesz mnie w brzuchu?*

Ja: Czasami, ale to może być od jedzenia za szybko, albo za dużo mi się marzy.

*Gołąb: Nie, to ja. Wierz mi, Harri, nie okłamałbym cię. Pośpij jeszcze.*

Ja: Czy mogę tym razem śnić o tobie, że razem latamy jak równy z równym, jakbym był taki jak ty? Chcę zrobić kupę na głowę temu bandycie, byłaby masakra!

*Gołąb: Zobaczę, co się da zrobić. A teraz zamknij oczy.*

Brayden Campbell kicha jak mysz. Można by pomyśleć, że taki silny gość jak on powinien kichać jak z armaty, a tymczasem wychodzi z niego tylko takie malutkie, cichutkie kichnięcie. Właściwie wcale go nawet nie słyhać. *Asweh*, bardzo śmieszne!

Connor Green: To tak brzmi, jakby mysz miała orgazm.

Tylko nie możesz się śmiać, bo cię załatwi. Orgazm to po prostu inne słowo na kichnięcie myszy. Moje ulubione słowo na dzisiaj. Używam go zamiast na zdrowie.

Brayden Campbell: Apsik!

Ja: Orgazm!

Brayden: Odpier... się!

Brayden Campbell jest najsilniejszy w naszej klasie. Nikt go jeszcze nigdy nie pobił. Jest duży i jednocześnie szybki. Jego specjalnością jest krawat, jednoręczny chwyt za szyję, kiedy nic nie widać i nie można oddychać. Naprawdę umie bić. Ludzie przeważnie walą po prostu powietrze, a Brayden Campbell naprawdę trafia w ciebie. Jak dorosły gość. Widziałem na własne oczy. Uderzył pięścią Rossa Kelly w tył głowy tak, że ten się cały zapluł. Nawet było słyhać, gdzie ten cios wylądował. Obłąd. Brayden Campbell potrafi znokautować jednym ciosem.

Drugi najsilniejszy to Chevon Brown. Nie jest taki duży jak Brayden, ale chyba szybszy. Nigdy się nie boi. I jeszcze w dodatku kopie. Nic go nie obchodzi, czy cię zabije. Może kopnąć w brzuch albo nawet w jaja.

A Kyle Barnes to tylko cały czas cię popycha. Jak nie na ścianę, to w krzaki. Całkiem sprytnie. Właściwie to oszukuje, zrobi wszystko, co na świecie możliwe, żeby cię pokonać. Popycha cię, w co się tylko da. Jedyńy sposób, to trzymać się jak najdalej od niego. Jeśli nie stoisz dość blisko, to nie może popchnąć. Popychanie to jedyne, na co go stać. Ja mogę z nim wygrać. Jestem za szybki dla niego. Nigdy nie jestem dość blisko, żeby mu się udało.

Kyle Barnes: Chodź tu mięczaku, to ci przyłożę.

Ja: Przepraszam! Nie da rady!

Jestem też silniejszy od Gideona Halla. On jest w równoległej klasie. Wszyscy mówią, że Gideon Hall jest silny, ale tylko wtedy, kiedy ma wsparcie. Jak jest sam, to jest słaby. Jednego razu Gideon Hall nie chciał mnie przepuścić. No to mu zwyczajnie przywaliłem z łokcia i prawie się przewrócił. Nawet mnie nie gonił. Wcale nie jest silny.

La Trell pobił chłopaka z klasy Lydii. Nie znam go, tylko o tym słyszałem. Złamał temu chłopakowi rękę. Nawet policja przyjechała.

Wszyscy: Tak długo ją wykręcał, aż się złamała. Chora akcja. Widać było kość i wszystko na wierzchu. Tamten koleś nie będzie już nigdy mógł grać w kosza. Nie może podnieść ręki do głowy, ani nawet jej wyprostować.

•

Specjalność Deana to hak. To jest wtedy, jak się przywali z dołu. Z dołu pięścią w szczękę. Ale jeszcze nigdy hakiem nie uderzył. To tylko na wypadek niebezpieczeństwa.

Dean: Zbyt niebezpieczne, no nie? Można komuś uszkodzić mózg. Tylko wtedy to stosuję, jak nie ma innego wyjścia.

A ja tak naprawdę nie mam jeszcze swojej specjalności. Jestem lepszy w obronie niż w ataku. Ale i tak jestem jednym z najsilniejszych chłopaków z naszej klasy, pewnie czwarty, a może trzeci. Jestem bardzo szybki. Któregoś razu Connor Green chciał mi dać w ucho, ale zastosowałem swój blok taekwondo. I podziałało! Wszyscy widzieli. Teraz myślą, że uprawiam taekwondo. Nawet nie próbują ze mną zaczynać. Wiedzą, że zablokuję, albo się wyrwę.

Ale była draka podczas przerwy obiadowej. Najlepsza jak dotąd. Wcale nie myślałem, że to coś poważnego, aż zobaczyłem wyrwane włosy. Nie wiedziałem, że dziewczyny potrafią tak się bić. Kompletny obłęd. To Miquita biła się z Chanelle. Nikt nie wiedział, o co się biją, po prostu się przyglądaliśmy. Widok był nawet przerażający. Miquita uderzyła Chanelle pięścią w głowę, zupełnie jak facet. Wtedy Chanelle złapała Miquitę za włosy. Miquita darła się jak pieprzona czarownica.

Chanelle była cicho. Tak się koncentrowała. Miała twarz czerwoną z wściekłości i dziki wzrok.

Miquita: Ty pier... śmierdzielko! Nie będziesz gadała takich głupot!

I wtedy złapała Chanelle za włosy. Część została jej w rękę. Strzepnęła je z palców i pofrunęły na wszystkich. Każdy wrzeszczał, jak na niego spadały, obrzydliwość.

Zrobiliśmy koło i patrzyliśmy, co będzie. Przyjaciele Miquity głośno jej kibicowali i krzyczeli, żeby zabiła Chanelle. Nikt nie trzymał strony Chanelle. Było mi jej żal, to nie fair, kiedy ludzie kibicują tylko jednej stronie.

Chanelle przywaliła Miquicie z bomby. Zwinęła się w pól i walnęła ją w brzuch. Miquita aż się zatoczyła. Prawie przeleciała przez ten krąg gapiów, ale ją wypchnęli z powrotem na środek. Chcieli, żeby były się dalej, chcieli zobaczyć, jak ktoś zginie. Miquita próbowała wbić palce w oczy Chanelle. Chanelle zamknęła oczy, więc Miquita nie mogła ich jej wydrapać. Potem próbowała urwać Chanelle ucho. To był najśmieszniejszy moment. Wszystko zamarło.

Chanelle: Kolczyki!

Miquita puściła ucho Chanelle i znowu zaczęły się bić. Miquita obiema rękami złapała głowę Chanelle. Gniotła ją z całej siły. Chanelle nie mogła się ruszyć. Kopala. Próbowała nadepnąć Miquicie na stopy, ale nic nie widziała. Naprawdę wyglądało na to, że się pozabijają. Chciało się je powstrzymać. To już nie była zabawa. Któraś z nich miała umrzeć. Ale wszyscy dalej się wydzielali.

Wszyscy: Zabij ją! Zabij ją!

Paru chłopaków z Załogi Dell Farm też tam było. Śmiali się. Podobało im się. Dizzy robił zdjęcia komórką.

Dizzy: O kurde! Umrzesz, szmato!

Killa się nie śmiał. Twarz miał nieruchomą. Martwił się o Miquitę. Chciał, żeby wygrała. W ogóle nie mógł już nawet patrzeć, więc zmył się do stołówki.

X-Fire: A ty dokąd, koleś? Powinieneś popatrzeć, chyba jasne. To przez ciebie to gówno.

Killa: Odpier... się, człowieku. Wcale nie przeze mnie.

Chanelle tyłek prawie wylazł ze spodni. Smarki poleciały jej z nosa na podłogę i na buty Miquity. Tłukły się bez opamiętania. Wyglądało na to, że nigdy nie skończą. Miquita próbowała przekreślić Chanelle tak, żeby się znalazła przy oknie stołówki. Każdy widział, o co jej chodzi.

Dizzy: Wywal ją przez okno, człowieku!

Miała taki zamiar. Ciągnęła Chanelle do okna. Chanelle się zapierała. Nogi wlokły jej się po ziemi. To było tak, jak się ciągnie kozę do szopy, żeby ją zabić, a koza nie chce iść. Ciągnęła i ciągnęła do tyłu. A Miquita ciągnęła ją i ciągnęła do przodu.

Miquita: Masz za swoje! Lepiej trzymaj język za zębami, ty szmato!

Chciałem zamknąć oczy, ale nie mogłem się powstrzymać i przestać się gapić. Masakra nie z tej ziemi. Zauważyłem, że Lydia stoi po przeciwnej stronie koła. Nie wiedziała, czyją stronę trzymać, Miquity czy Chanelle. Stała bez ruchu, wpatrywała się w obie. Miała przerażoną minę.

I wtedy przyszli nauczyciele. Przebili się przez zwarty krąg i rozdzielili

walczące. Zrobiło się zupełnie cicho. Wyraźnie widać było rozczarowanie, że któraś nie została zabita. Nauczyciele nas rozpędzili. Koło się rozstało i wszyscy się zmyli. Stało się to bardzo szybko.

Na podłodze zostały smarki i trochę włosów Chanelle, jak jakaś wariacka pajęczyna. I jeszcze paznokiec. Ktoś na nim stanął i rozdeptał, zanim zdążyłem zabrać go jako dowód. Nie mogłem się skupić przez resztę dnia, każdy ciągle jeszcze myślał o tej drace, przeżywał swoje ulubione momenty, jak w kinie. Nikt nie mógł uwierzyć, że to się działo naprawdę. Najlepsza bójka, jaką w życiu widzieli. Ale najlepsze, że każdy po cichu chciał, żeby zginął ktoś, kogo się nie lubi, bo to tak, jakby być niewidzialnym.

•

W Klubie Młodzieży wszystkie bile do bilardu są popsute. Są dziurawe i nie toczą się jak trzeba. Ludzie nimi rzucają. Nie wolno rzucać, ale i tak rzucają. A niektóre kije mają ułamane końce. Nie da się popchnąć bili prosto, zawsze leci gdzieś w bok. *Asweh*, można się nieźle wnerwić. Stół bilardowy śmierdzi mokrym kurzem. Pełno jest w nim dziur wypalonych papierosami. Jakbyś polizał, to będziesz miał milion zarazków. Nawet Nathan Boyd nie odważyłby się polizać.

Lydia weszła pierwsza, żeby zobaczyć, czy jest tam X-Fire. Rozejrzała się po kątach. Trzymałem kciuki (w razie niebezpieczeństwa to szybsze niż modlitwa).

Ja: Droga wolna?

Lydia: Tak! Wchodź szybko, bo inaczej całą noc będziemy tu sterczeć.

To była jedyna okazja. X-Fire uważa, że stół do niego należy, więc nikt nie ma szansy się dopchać, kiedy X-Fire jest przy nim. To znaczy, tylko wtedy kiedy nie ma w pobliżu Derka. Derek jest większy od X-Fire'a i uprawia taekwondo. Nauczył mnie bloku przedramieniem. Jeden w górę, żeby zablokować atak od góry, a drugi w dół, żeby zablokować atak od dołu. Całkiem łatwe. Derek nie chciał mnie uczyć ataku, bo co by było, gdybym chciał wypróbować to na Lydii. Kiedy ktoś prosi, żeby go nauczyć ataku, to przeważnie po to, żeby poćwiczyć na siostrze. Derek uczy tylko obrony.

Graliśmy tak długo, aż się za bardzo wnerwiliśmy na te głupie bile. Lydia nawet się specjalnie nie starała. Wbiła białą do luzu celowo, żeby przegrać.

Lydia: Koniec partii. Wygrałeś.

Ja: Ej! Nie można celowo przegrać, to oszukaństwo!

Lydia: Mogę robić, co mi się chce. Zresztą to głupia gra.

Mówi tak tylko dlatego, że słabo jej idzie. Ale to nie znaczy, że trzeba się poddawać. Mama mówi, że poddawanie się jest grzechem. To tak jak kłamstwo. Nawet gorzej, bo się okłamuje samego siebie.

Kiedy wyszliśmy, rozejrzałem się przez lornetkę w poszukiwaniu wroga. Miquita i Killa siedzieli na murku. Miquita paliła grubego papierosa, a Killa trzymał rękę na jej tyłku pod majtkami. Coś obrzydliwego. Chciało mi się rzygać.

Miquita: Cześć, przystojniaku.

Ja: Odwal się.

Miquita: Chlamydia, chcesz trochę?

Miquita podała swoją fajkę Lydii. Dym śmierdział jak pot spod pachy. Dostałem od tego bicia serca.

Lydia: Nie, dziękuję.

Miquita: Grzeczna dziewczynka, jasne. I wie, kiedy trzeba trzymać język za zębami, nie to, co Chanelle. Musiałam przywalić tej szmacie. Wydaje jej się, że coś wie, a gówno wie. Chce tylko na siebie zwrócić uwagę, i tyle. Musi dorosnąć.

Na rękach Miquity widać było ślady po przypalaniu zapalniczką, błyszcząły jak wosk. Nie miała powodu, tak jak Ciocia Sonia, żeby mieć te oparzenia, to był tylko taki numer. Killi chodziło o to, żeby Miquita go podziwiała. Nawet mi się go zrobiło żal. Ja wcale nie musiałem przypalać Poppy, żeby mnie podziwiała, musiałem tylko ją rozśmieszać. Ktoś powinien mu powiedzieć, że śmiech jest najlepszym sposobem, jeśli chcemy, żeby nas podziwiali. Jest to nawet łatwiejsze niż przypalanie ludzi.

Killa: Przestań się na mnie gapić, koleś. Jak jej nie odłożysz, to ci ją rozpier...

Jego usta wyglądały głupio przez lornetkę. Z bliska nie widać było złości, wyglądały raczej jak z komiksu. Ja w ogóle nie uważam, żeby był przerażający. Nawet nie umie napisać swojego imienia. Powinno być Killer. Miał smutne oczy od tego dymu. Wiem, jak to jest, okropnie szcypie.

Killa: Ja nie ściemniam, koleś. Po prostu odpier... się.

Killa podniósł się wkurzony na maksa. A ja raz-raz zrobiłem obrót i zacząłem się przypatrywać Centrum Jubileuszowemu. Jeszcze widać widma brzydkich słów na murze, jakby czekały, żeby cię dopaść. K... i ZDF i wyliź mi jaja. Poczulem, jak Killa łapie mnie od tyłu. W ogóle się nie spodziewałem. Złapał mnie za rękę, mocno je ścisnął i upuściłem lornetkę. Tłukł nią i tłukł o mur, aż się rozleciała na milion kawałków.

Killa: Mówiłem ci, k..., nie wpięprzaj się w moje sprawy, koleś.

Derek: Co jest?

Derek wpadł jak burza i Killa zmył się w jednej chwili. Miquita pobiegła za nim, kręcąc tłustym tyłkiem jak workiem świrowatych myszy.

Ja: Zapłacisz mi za nią! Powiem policji, że mi ją rozbiłeś!

Nie ma mowy, żeby ją zreperować, kompletnie jest do niczego. Bez lornetki jestem znowu zwykłym cywilem.

Lydia: Kupię ci nową.

Ja: Nie znajdziesz takich. Mam ją z festynu.

Lydia: Nie musi być w kolorze wojskowym.

Ja: Ale ja lubię kolor wojskowy, jest lepszy, bo łatwiej schować.

Lydia: Przed kim schować?

Ja: Przed nikim.

Lydia: Chodźmy do domu, robi się późno.

## OZNAKI POCZUCIA WINY, TO MIĘDZY INNYMI:

Jak ktoś nie może usiedzieć w miejscu

Mówienie bardzo szybko

Rozglądanie się cały czas dookoła, jakby się coś zgubiło

Palenie jednego papierosa za drugim ↓

Za dużo płaczu

Drapanie się

Obgryzanie paznokci

Spluwanie ↓

Nagłe napady agresji ↓

Niekontrolowane gazy (częste pierdzenie)

Histeria religijna

Zapisałem to w moim meldunku dla Deana:

Ja: Detektyw Opoku zaobserwował u podejrzanego Killi cztery oznaki poczucia winy. Wtedy podejrzany Killa przeszkodził Detektywowi Opoku w wykonywaniu obowiązków. Detektyw Opoku sugeruje, żeby uznać Killę za podejrzanego numer jeden. Uwaga! Wspólniczka podejrzanego, Miquita Sinclair (alias Tłuste Łapy, alias Miquita Przy Dupie Kita), nie będzie raczej współpracować. To szmata. Zalecana ostrożność w kontaktach. Bez odbioru.

Alias znaczy zwany. Odnosi się do przezwisk, jakie im się nadaje i przezwisk, jakie sami sobie dali.

Wszystkie kobiety z osiedla martwią się, że nie będą mogły już kupować mięsa.  
Pierwsza kobieta: Gdzie mam teraz kupować mięso? Cały czas kupowałam u Nisha.

Druga kobieta: On ma lepsze. U rzeźnika jest zawsze twarde. I nie jest takie świeże.

Pierwsza kobieta: No właśnie. Co my teraz zrobimy?

Było za późno, żeby coś zrobić, bo już właśnie zabierali Nisha. Krzyczał i darł się jak kosmita. Jak wariat. Nie chciał iść. Policjanci go ciągnęli i ciągnęli, a on trzymał się swojej furgonetki. Nie chciał puścić. Musieli mu odrywać palce jeden po drugim. Słyszałem jak się łamią. *Asweh*, to było bardzo okrutne.

Zegarmistrz: Zostawcie go! Łobuzy!

Straganiarz: Najwyższy, k..., czas! Niech wraca tam, skąd się wziął!

Kompletny obłąd. To nie fair. On nawet nikogo nie struł. Chciałem mu jakoś pomóc, ale policjanci stali mi na drodze, psiknęliby mi gazem w twarz.

Żona Nisha upadła. Policjant ją popchnął, widziałem to na własne oczy. Zleciał jej but z nogi. Podniosłem go i podałem jej. Płakała. Miała paznokcie u nóg pomalowane na czerwono. Wyglądały świrowato, ale fajnie. Usta też miała czerwone. Wszędzie było pełno mięsa. Ludzie je rozkradali. Chciałem ich zabić.

Noddy: Ej, zostaw to, ty złodziejskie nasienie.

Obszcymurek: Odpier... się, łysa pało!

Pojawiło się więcej policjantów, żeby powstrzymać złodziei. Zamknęli furgonetkę Nisha, żeby nikt nie mógł dostać się do środka. Zabrali Nisha i jego żonę. Założyli im kajdanki na ręce. Teraz oboje płakali. Zrobiło mi się od tego zimno w brzuchu. Nish jest z Pakistanu, widziałem flagę w jego furgonetce. Jest na niej gwiazda i księżyc, to moja druga ulubiona flaga, po ghańskiej.

Gwiazda na fladze oznacza wolność. Gwiazda pokazuje każdy kierunek, czyli że można pójść, gdzie się chce. To dlatego kocham gwiazdy, bo oznaczają wolność.

Ja: Struli kogoś?

Noddy: Nie, nikogo nie struli.

Ja: No to dlaczego ich zabierają? Nie rozumiem.

Lydia: Weź ty się. Ale z ciebie cymbał!

Noddy: Stracili bilet i tyle.

Ja: Jaki bilet?

Mama Deana: W ogóle nie wiedziałam, że są nielegalnie. Ich mielone jest dużo lepsze niż to świństwo od rzeźnika. U niego sam tłuszcz.



Noddy: Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Należy się trzy funty, kotku. Mogę opuścić, jeśli weźmie pani jeszcze jeden zestaw, trzy za cztery funty.

Mama Deana: No niech tam.

Mama Deana kupowała skarpetki. Można je mieć z różnymi sportowcami u góry, na przykład z tenisistą, piłkarzem albo z kolarzem. Też nawet mam takie. Założę się o milion funtów, że będą dla Deana.

Ja: I co teraz z nimi będzie, odeślą ich z powrotem? A czy w Pakistanie jest targ?

Lydia: Jasne, że jest, głupku. Targ jest wszędzie.

Ja: A mają tam pociągi, co jeżdżą pod ziemią?

Noddy: Tego jak raz nie wiem.

Mam nadzieję, że mają. Mam nadzieję, że w Pakistanie jest też tak przyjemnie jak tutaj. Gdybym miał wracać do kraju, to najbardziej by mi brakowało metra. I kolegów. Poppy najbardziej lubi, jak odganiem od niej chmury. Zwyczajnie wpatrywałem się w chmurę, aż ruszyła i wyszło słońce. Poppy nie wierzyła, że to ja, myślała, że to po prostu wiatr. Jednak dalej myślę, że to ja.

Ja: O jakim bilecie oni mówili? Czy my mamy coś takiego?

Lydia: Jemu chodzi o wizę. Powiedział bilet, bo myśli, że jesteś głupi. Och, zapomniałam, ty jesteś głupi.

Ja: Czy to taka sama wiza jak te, co Julius sprzedaje? Słyszałem, jak rozmawiał kiedyś przez telefon. Mówił, że może sprzedać wizę za pięćset. Dlaczego Nish nie kupi sobie, wtedy może zostać.

Lydia: Tak naprawdę nie można ich kupić. Te, które sprzedaje Julius, są niedobre.

Ja: A co im brakuje?

Lydia: Nie działają, są podrobione. Zapomnij o Juliusie, to oszust. Gdybyś kupił od niego kure, to zanim wrócisz do domu znowu byłoby z niej jajko.

Ja: Ale nasza wiza działa, prawda?

Lydia: Tak.

Ja: Jesteś pewna?

Lydia: Tak, jestem pewna! Nie przeszkadzaj!

Mam nadzieję, że nasza wiza działa. Jeśli by nas mieli odesłać, tobym się zrobił niewidzialny, potem bym się podkradł do nich i zabrał ich gaz w sprayu, pryskał bym na nich, aż spalały się na popiół. Szkoda, że o tym nie pomyślałem, zanim zaczęli deptać żonę Nisha po głowie.

Następnym razem, jak spotkam się z Deanem, spytam go, jak mu się podobają

nowe skarpetki. Jeśli ja uważam, że są klasa, to on też tak będzie uważał.

•

Connor Green mówi, że tak naprawdę pan Staines nazywa się Marynarz. To dlatego, że służył w marynarce. Wcale w to nie wierzę. Pan Staines jest za gruby, żeby być w marynarce, zaraz by poszedł na dno. Teraz już pamiętam mój francuski bez zaglądania do książki. Potrafię prowadzić całą rozmowę. Pan Staines mówi nawet, że mam bardzo dobry akcent. Znam tylko jedną rozmowę. To taka rozmowa, kiedy się kogoś widzi po raz pierwszy i opowiada mu się o sobie.

Ja: *Je m'appelle Harrison Opoku. J'ai onze ans. J'habite à Londres. J'ai deux soeurs. J'aime le football.*

Wiecie co to znaczy? To znaczy: nazywam się Harrison Opoku. Mam jedenaście lat. Mieszkam w Londynie. Mam dwie siostry. Lubię piłkę nożną. Lepiej wychodzi, jak się mówi, bo napisane nie jest takie fajne.

Pierwsza rzecz, jaką każdy powinien zrobić, kiedy pojedzie do Francji, to pójść na szczyt wieży Eiffla i porządnie splunąć z góry. Wszyscy się co do tego zgodziliśmy. Z wyjątkiem Connora Greena, bo on by nasikał.

Connor Green: Tylko że ludzie tam na dole pewnie próbowaliby to złapać. We Francji piją siki, wiadomo. Uważają, że od tego dłużej się żyje. Tępaki.

Jordan był pierwszym kandydatem na próbkę śliny, bo on uwielbia pluć. Nie byłoby nawet trudno próbkę uzyskać, po prostu mógł mi ją od razu dać.

Jordan: Spier..., człowieku, nie będę do tego pluł!

Ja: To jest czyste.

Jordan: Nieważne. Po co ci zresztą moja ślina, co z nią zrobisz?

Przygryzłem wargi, żeby się nie uśmiechnąć. Można skłamać, jeśli jest jakiś ważny powód.

Ja: Do mojego projektu na przyrodę, żeby sprawdzić, jak długo zarazki przeżywają w ślinie. Masz mnóstwo różnej śliny, wsadzasz do tego zarazki i ślina, która pierwsza je zabije, to jest ta specjalna. Może się okazać, że masz coś leczniczego w ślinie. Może ci to przynieść fortunę.

Jordan: Nie chcę być uzdrowiaczem, niech sobie zdychają, ch... mnie to obchodzi. Zabieraj to, koleś, ode mnie.

Wyrzuciłem butelkę do pojemnika na śmieci. Kolejny pomysł wziął w łeb. *Adzej*, nikt nie chce pomóc w dochodzeniu. Wydaje ci się, że wszyscy poza tobą

to źli ludzie. W końcu zostajesz sam jeden. Nawet nie mam jeszcze ulubionego pistoletu. Właściwie nie pomyślałem o nim. Gdybym miał wybierać, to chyba byłby na wodę. Sprzedają je na targu. Strzelają wodą. Normalnie masakra, woda naprawdę daleko leci. Trzeba spytać daną osobę, czy się zgadza, żeby ją oblać, bo jeśli jej się to nie spodoba, to może być niezła afera. Sprawię sobie taki pistolet w wakacje.

Ulubiony pistolet Jordana to glock.

Jordan: Wszyscy najwięksi gangsterzy go używają. Widziałeś kiedyś?

Ja: Nie. A jaki to jest?

Jordan: On jest naj. Najbardziej superancki. Jakbym do ciebie strzelił z glocka, toby ci głowę urwało. Strzela się z niego dum-dumami, jasne?

Ja: A to co znowu?

Jordan: Specjalne pociski, które mogą przebić ściany i w ogóle wszystko. Dobrze zabija. Bardzo skuteczny. To pierwszy pistolet, jaki sobie kupię, jak będę miał kasę.

Ja: Ja też.

Jordan: Nie możesz mieć glocka, glock jest mój. Nawet o nim nie słyszałeś, dopóki ci nie powiedziałem.

Ja: Ale i tak bardzo mi się podoba.

Jordan: Taaa, ale mi bardziej. Mi najbardziej.

Czekaliśmy na autobus. Staliśmy na przystanku naprzeciwko bloków. Jeśli czekasz pod wiatą, to cię nawet nie widzą. Wyskakujesz stamtąd, kiedy nadjeżdża autobus i mają niespodziankę. Nawet nie zdążą cię powstrzymać.

Dostaje się dziesięć punktów za każdym razem, jak się trafi w autobus, wszystko jedno w które miejsce. A pięćdziesiąt, jak się trafi w okno. Jeśli się uderzy w dużą szybę z przodu, tam gdzie siedzi kierowca, to jest sto punktów. Jeśli szyba się stłucze, to tysiąc.

Jeśli się przywali w oponę i opona pęknie, a autobus się rozbije, to byłoby milion punktów, ale tego jeszcze nigdy nikt nie zrobił. To właściwie niemożliwe.

Jordan jest lepszy w trafianiu do celu. Ma więcej siły. Tylko dlatego z nim przegrałem, bo miał najgładsze kamienie. Ja miałem spiczaste, a one nie są aerodynamiczne (aerodynamiczny to taki, co lepiej leci w powietrzu. Moje nie były, bo są za ostre).

Jordan widział glocka na żywo. Nawet trzymał go ręką. Miał jedną taką misję od Załogi Dell Farm. Chodziło o zakopanie pistoletu.

Jordan: Zawsze jak potrzebują pistoletu, to jest gdzieś zakopany. Mają ich

pełno wszędzie, co nie?

Ja: A dlaczego nie trzymają u siebie w domu?

Jordan: Ale z ciebie debil. A jak policja znajdzie?

Ja: Strzelałeś z niego?

Jordan: Nie, nie miał naboju w środku. Naboje trzyma się gdzie indziej, nie razem z pistoletem. Ale i tak sobie strzelałem. Pociągałem za spust i w ogóle. Chora akcja.

Jordanowi wyraźnie się podobało. Oczy zrobiły mu się takie okrągłe. Mówi, że bezpieczniej jest zakopać pistolet w którymś ogrodzie, bo tam chodzą tylko właściciele. A w parku czy na skwerze, gdzie jest pełno ludzi, ktoś zawsze może go znaleźć i zabrać.

Nawet nie znają osoby, do której ogród należy. W ogóle nikogo nie pytają. Przeważnie jest to jakaś starsza osoba. Nic wtedy nie wie o niczym. Jeśli ktoś ją zapyta o pistolet, to nie wie, o czym mowa. Tak jest bezpieczniej.

Jordan: Zakopuje się zawsze w nocy. Wybiera się spokojne miejsce, gdzie nie ma latarni. Tylko trzeba kopać trochę dalej w głąb, obok jakichś kwiatów albo kamienia, żeby pamiętać gdzie. Ale trzeba się bardzo śpieszyć, bo jeśli ktoś cię śledzi, to koniec zabawy, zabiją cię za to, że wydałeś schowek. Ja tylko dwa razy zakopywałem.

•

*Asweh*, sadzenie pistoletu to jakiś kompletny obłąd! Przynajmniej jak się sadi rośliny, to coś z nich wyrasta. Z pistoletu nawet nic nie wyrośnie. Wyobrażałem sobie, że sadię pistolet i z ziemi wyrasta mnóstwo malutkich pistolecików. Potem sprzedaję je na targu.

Ja: Kupujcie młodziutkie pistoleciki! Dwa funty funt! Pistoleciki, piękne, świeżutkie!

Ale byłoby śmiesznie. Sadzenie pistoletu to najbardziej obłądna rzecz, o jakiej słyszałem, przysięgam na Boga Najwyższego.

•

Trzeba zawsze wiedzieć, gdzie znaleźć pistolet, jak się człowiek śpieszy, nigdy przecież nie wiadomo, kiedy może się przydać. Przeważnie potrzebny jest na wojnie albo do napadu. Napad jest wtedy łatwiejszy.

Jordan: Jak zobaczą pistolet, mogą mi skoczyć, no nie? Tak się będą bali, że dadzą ci, co zechcesz. Prosta sprawa, koleś.

Nie musi się w ogóle z niego strzelać, wystarczy wycelować, pistolet po prostu wszystko ułatwia.

Jordan: Nie mogę się, człowieku, doczekać, kiedy do kogoś strzelę. W twarz, no nie? Chcę zobaczyć, jak im głowa eksploduje, ale będzie odjazd. Chcę widzieć, jak im oczy wypływają, a mózg się rozbryzguje na wszystkie strony. Autobus!

Nadjeżdżał autobus. Byliśmy gotowi. Miałem kamienie w obu rękach. Czekałem na znak od Jordana. Serce waliło mi jak szalone. Celowałem w bok, a Jordan w dużą szybę z przodu. Nie wolno uciekać, dopóki się nie rzuci wszystkich kamieni. Czekałem. Autobus zwalniał.

Powinienem zbić szybę. Potrzebowałem tysiąca punktów, żeby poprawić wynik.

Jordan: Teraz!

Wyskoczyliśmy. Jordan rzucił pierwszy kamień. Uderzył w przednią szybę, ale jej nie rozbił. Ja swoje rzuciłem wszystkie naraz równocześnie. Nawet nie celowałem specjalnie, po prostu rzuciłem je, jak najszybciej potrafiłem. Pierwszy chybił, drugi trafił w bok autobusu i odskoczył. Jacyś ludzie wysiadali. Wcale nas nie próbowali powstrzymać.

Jordan: Ch...e!

Jordan rzucił drugim kamieniem. Przeleciał ze świstem nad czyjąś głową i uderzył w róg szyby. Kierowca się wkurzył, widzieliśmy. Wyglądał, jakby miał pęknąć ze złości. *Asweh*, masakra. Zmroziło mnie dopiero na widok Mamy. Wysiadała z autobusu i patrzyła prosto na mnie. W ogóle nie wiem, jak to się stało, najgorszy możliwy pech.

Jordan: Wiejmy!

Po prostu uciekliśmy. Bałem się nawet obejrzeć. Chciało mi się rzygać. Zatrzymałem się dopiero w przejściu podziemnym. Złapaliśmy oddech.

Jordan: Moje wszystkie trafiły. Jeden w szybę, a jeden w róg szyby, dwa w bok. A twoje?

Ja: Nie wiem. Jeden w bok, wydaje mi się, to wszystko.

Jordan: Jesteś dupa, koleś! Wygrałem!

Ja: Moje były za ostre, to tylko dlatego.

Nawet mnie to nie obchodziło. Wcale tych punktów tak znowu nie potrzebuję. Wyszliśmy z przejścia podziemnego na drugą stronę. Mama czekała na nas. Znowu mi się zrobiło zimno w brzuchu. Wszystko skończone.

Mama: Co ty najlepszego wyprawiasz? Nie próbuj mi wmawiać, że nic nie widziałam. Co masz mi do powiedzenia?

Ja: Przepraszam, Mamo.

Mama: Ty głupi smarkaczu, już ja ci pokażę. Marsz do domu.

Mama zaczęła mnie poszturchiwać. Jordan zaczął się śmiać. Zwyczajnie chciałem umrzeć.

Mama: I nie zadawaj się z tym chłopcem.

Ja: To był przypadek. Myśmy się tylko bawili.

Mama: Szkoda marnować czas dla niego. Jeśli jeszcze raz zobaczę, że się włóczysz z tym chłopcem, to pożałujesz.

Mama popchnęła mnie w kierunku drzwi mojego wieżowca. W momencie kiedy się odwróciłem, poczułem ślinę na twarzy. Właściwie w oku.

Jordan: Masz tu swoją próbkę, cioto!

Jordan pokazał nam środkowy palec, najpierw mnie, potem Mamie. Wytarłem oko rękawem, żeby zarazki nie dotarły mi do mózgu. Teraz ja i Jordan jesteśmy wrogami na całe życie. Wszystko to stało się za szybko.

Ja: Odpierdol się!

Nawet nie wiem, do kogo to się miało odnosić, do Jordana czy do Mamy. Nawet mnie to nie obchodziło. Poczulem te słowa, kiedy już je z siebie wydobyłem, były suche i ostre jak noże. To było przerażające, ale już nic nie mogłem zrobić.

Mama: Co ty powiedziałeś? Spuszczę ci taki łomot, że popamiętasz!

Mama tak mi przywaliała, że mi w uszach zadzwoniło i zobaczyłem wszystkie świece.

Mama: Żebyś więcej nie słyszała od ciebie tego słowa. Dostyc tych głupot. Weź się i ogarnij, Harrison. Zastanów się nad tym, co zrobiłeś.

Wiedziałem, co zrobiłem. Wszystko popsulem. Wszystko na nic i to moja wina. Wiedziałem o tym. Czulem to w głębi duszy. Powinienem być dobry. Powinienem być dobry, a zapomniałem się i teraz Pan Bóg nas zniszczy. Pierwsza rzecz to pewnie zabije Agnes, żeby dać mi nauczkę. Normalnie nie mogłem oddychać. Zresztą wcale nie chciałem. Wprawiałem się w umieraniu. Wstrzymywałem oddech tak długo, ile się dało, ale to był kompletny obłęd. W głowie mi się kręciło i musiałem znowu zacząć oddychać. Poproszę o mnóstwo otworów wentylacyjnych w mojej trumnie. Będzie łatwiej i już. Niechby były w kształcie okienek samolotowych.

*Śmieszą mnie wasze przesady, ciągle widzę, jak łapiecie się za guziki, rzucacie sól przez lewe ramię. To nawet zabawne, myślicie, że jeśli ubierzecie śmierć w kostium i rytuał, to ją oblaskawicie. Wam się wydaje, że jeśli będzie was coraz więcej, to odwrócicie jej uwagę, zmylicie ją i ona się w tym tłumie udusi. Więc nie rzucajcie kamieniami, my robimy tylko to, co do nas należy. Stroszę pióra szyi, kłaniam się raz za razem. I jeszcze rozkładam na chwilę ogon w wachlarz, żeby jej pokazać, kto tu rządzi. Widzicie te kolory, tę dumnie wypiętą pierś? Nasze dzieci będą championami, odpornymi na wszystkie te ornitozy, kokcydiozy, które dziesiątkowały naszych przodków. O tak, daj mi dzióbka, tylko na parę sekund. Bingo!*

*Wydaje się, że to marna nagroda za tyle fatygi, nie wiem, co ty powinnaś czuć. Ale jestem to winien temu chłopcu. Jestem to winien wam wszystkim, to tani akt braterstwa przeciw piaskowi odmierzającemu czas w klepsydrze. Rozłączam się z tobą i ruszam w kierunku zachodzącego słońca.*



Wiał przyjemny wiaterek. Deszcz przestał padać, pojawiły się gwiazdy. Wszedłem na balkon, żeby sobie przypomnieć, jak to było, zanim Agnes się urodziła. Gwiazda to po prostu stare światło. Nawet w Google’u tak pisze. Kiedy patrzysz na gwiazdę, widzisz minione lata, milion lat. Nie potrzebowałem miliona lat, tylko dwóch. Wybrałem sobie gwiazdę, która najlepiej wyglądała i poprosiłem ją, żeby mi pokazała. Żebym poczuł, co się zmieniło, a wtedy wiedziałbym, co się rozbiło i jak to skleić. Wtedy mógłbym nas uratować. Prosiłem o to gwiazdę ze wszystkich sił. Nie mrugałem, bo wszystko byłoby na nic i musiałbym zacząć od nowa.

Najlepiej bawiliśmy się podczas awarii prądu. Wszystkie światła na naszej ulicy pogasły. Ja, Papa i Patrick Kuffour jeździliśmy wszędzie pikapem i napełnialiśmy olejem lampki parafinowe. Jeździliśmy do późna w nocy, żeby każdego obsłużyć. Wszędzie chcieli nas karmić, ale musieliśmy się uwijać, bo inaczej nie dotarlibyśmy do wszystkich na czas. Ja z Patrickiem siedzieliśmy z tyłu jak żołnierze. Zupełnie jak byśmy brali udział w jakiejś ważnej misji.

Patrick Kuffour: Uważaj na drzewa, tam mogą być snajperzy. Bądź gotów. Misja musi się powieść, bo inaczej będzie nas to cholernie drogo kosztować.

Ja i Patrick byliśmy pytaczami. Pytaliśmy ludzi, czy nie potrzebują parafiny, a Papa nalewał jej z wielkiej beczki. Wszyscy wystawali na ulicy. Nie chciało im

się już spać. W końcu urządziliśmy wielką imprezę. Wszyscy naraz wpadli na ten pomysł. Nikt nie pomyślał o tym pierwszy, wszyscy razem pomyśleli jednocześnie.

Awarie prądu zawsze kończą się imprezą. I to jest ich największa zaleta.

Zawieszało się lampki na oknach i dachach i na płotach. Wyglądały jak gwiazdy, które pospadały, a my je przywracaliśmy do życia. Powiedziałem Agnes dobrą nowinę. Była jeszcze w brzuchu Mamy, ale wiedziałem, że mnie słyszy.

Ja: Zreperowałem dla ciebie gwiazdy! Będą na ciebie czekać, jak już się zjawisz!

Mama: Dziękuję ci, kochanie! (Mówiła takim cienkim głosikiem, jakby to mówiła Agnes.)

Dostaliśmy po łyku piwa za skończoną misję. Udawaliśmy napruty. Patrick Kuffour najlepiej udawał, że się przewraca, przelazł tyłem przez swój płot, wywalił się na plecy i machał rękami i nogami jak chrząszcz przewrócony na grzbiet. *Asweh*, to była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

Potem pan Kaffour uruchomił swój agregat, a pani Kaffour i Mama i Babcia Ama nagotowały dla wszystkich fasolki czarne oczko. Jedliśmy wokół lampek przy muzyce z tranzystora pana Kuffoura i oganialiśmy się od ciem latających nam ciągle nad głowami. Było naprawdę super. Muzyka dolatywała do naszych uszu jak przyjemny wiaterek. Wszyscy zapomnieli, że już jest noc. Dziewczyny grały w klasy, a my rzucaliśmy im pod nogi strąki kakao w nadziei, że któraś skusi. W końcu zdyszane padły na ziemię, wyglądały jak wielki stos zwiędłych liści.

Kiedy wzeszło słońce, czułem jednocześnie smutek i radość. Chciałem, żeby ta noc nigdy się nie skończyła. Wszyscy udawali, że płaczą, kiedy pan Kuffour wyłączył agregat. Muzyka nagle umilkła i trzeba było iść do domu. Położyłem się spać z szerokim uśmiechem na twarzy, słońce świeciło mi prosto w oczy i od jego ciepła poczułem, jaki jestem zmęczony. *Asweh*, to była najlepsza noc ze wszystkich. Po prostu chciałoby się, żeby dalej trwała. I żeby zawsze tak się czuć jak wtedy.

•

Kiedy przypomniałem sobie to uczucie, zamknąłem oczy i pozwoliłem, żeby mnie na nowo przepełniło. Teraz już wiedziałem, co muszę zrobić. Zamknąłem starannie drzwi i odłożyłem klucz na miejsce. Przemknąłem się przez pokój



Mamy. Mama i Lydia chrapały jak najmilsze wieprzki. Papa zrozumiałby. I w ogóle nawet przyznałby mi rację. To był jedyny sposób, żeby załatwić sprawę.

Wrzuciłem żąb krokodyla do zsypu. Słyszałem, jak spada na dół i znika. To była ofiara dla boga wulkanów. Prezent dla samego Pana Boga. Skoro dałem mu swój najcenniejszy amulet, to wybawi nas od wszystkich złych rzeczy, choroby i zaciukania i martwych niemowląt, i wszystkich nas znowu razem połączy. Będzie musiał, bo inaczej nie byłoby fair. Nikt nie może powiedzieć, że to niekorzystna wymiana. Wiedziałem, że zadziała. Dziękuję ci, gołębiu, że wskazałeś mi właściwą gwiazdę!

Przechodziliśmy właśnie koło kościoła, kiedy zobaczyli nas X-Fire i Dizzy. Wiedziałem, że nas zatrzymają, nawet nie próbowałem uciekać. Wiedziałem, że będą musieli się śpieszyć, bo inaczej spóźnią się na wyczytywanie listy obecności. Zszedłem tylko na bok, na trawnik przed kościołem.

Ja: Chodźcie, tu nic nam nie mogą zrobić.

Dean i Connor zrobili to co ja. Stanęli na skraju trawnika. Nikt nie może cię tknąć, jeśli stoisz obu stopami na poświęconej ziemi.

Dizzy: Czy my, k..., wyglądamy na takich, którzy wierzą w te bajki? Jesteśmy na to za starzy, chyba jasne?

Dizzy szedł dalej prosto na nas. Deptał wszystkie kwiatki. Po minie widać było, że jest gotów do draki. Wszystko dlatego, że nie miałem już zęba krokodyla. To należało do umowy. Pan Bóg musi najpierw obronić innych, ja mogę zadbać sam o siebie. Wcale nie miałem o to żalu. Zszedłem z kościelnego trawnika i wróciłem na alejkę.

Ja: Dajcie im spokój, nie mają z tym nic wspólnego.

Dizzy: Zgoda, jak sobie chcesz.

Dizzy z całej siły przywalił mi dwa razy w ramię. Nawet się nie przejąłem. Nie bolało nic a nic. Wrzasnąłem tylko dla porządku, po to, żeby dał spokój Deanowi i Connorowi. Dizzy śmieje się jak głupia małpa.

Dizzy: Pedalek!

X-Fire: Idziemy, to tylko mały chujek.

Poczekaliśmy, aż znaleźli się blisko przejścia podziemnego i wtedy wszyscy pokazaliśmy im środkowy palec. Ale było śmiechu.

Connor Green: Gównolepy!

Dean: Pedzie!

Ja: Bijesz się jak dziewczyna!

Nie słyszeli nas. Już nic mi nie mogą zrobić. To był taki kawał. Wiedziałem, że to będzie tylko kawał.

Ja: Gównojady!

•

Dean przeczytał moje notatki, potem raz-raz złożył je w czworo, żeby nikt nie zobaczył. Staliśmy przed aulą. Mieliśmy widok aż na schody do stołówki. Ale gołym okiem wszystko było za daleko. Przydałaby się lornetka.

Dean: Cztery oznaki poczucia winy to sporo, ale jeszcze nie dowód. Nie

uzyskamy przyznania się, chyba że go poddamy torturom, a nie mamy sprzętu. Potrzebny jest akumulator, przewody, i takie różne. Dalej uważam, że najlepiej mieć DNA. Dałoby radę zdobyć jakieś próbki?

Ja: Nie. Próbowałem wziąć trochę śliny od mojego kolegi Jordana, ale nie chciał mi dać.

Dean: A siki?

Ja: Mógłbym zdobyć trochę ze szpitala. Jakbym wziął identyfikator Mamy, to mógłbym się wślizgnąć tam, gdzie trzymają siki chorych. Są już zimne, trzymają je w lodówce.

Dean: Nie, to zbyt niebezpieczne, tam jest zaostrzona ochrona, trudniej tam wejść niż kacze w dupę. Czeka. Co oni robią?

Dizzy i Clipz i Killa kręcili się koło stołówki. Dizzy przyparł Killę do okna i udawał policjanta szukającego u niego broni. Kazał Killi rozstawić nogi i podnieść ręce do góry. Killa trzymał dłonie płasko na szybie, żeby utrzymać równowagę. Wszystkimi palcami dotykał szyby. Wszystkie odciski znalazły się w jednym miejscu. Clipz kierował w niego niewidoczny pistolet, niby żeby nie dopuścić do ucieczki podejrzanego.

Dean: Mamy okazję. Musimy to teraz zrobić. Jak uważasz?

Zrobiło mi się zimno w brzuchu. Krew zastygła mi w metal. Byłem gotów. Musiałem być. Plan był prosty: ja pobiegnę, bo jestem najszybszy. Dean będzie zdejmowaczem. Wyciągnąłem z torby taśmę klejącą i podałem mu.

Dean: Popchnij go tak mocno, żeby odwrócić jego uwagę, daj mi czas na zdjęcie odcisków. Jeśli będzie cię gonił, to po prostu uciekaj.

Ja: Przyjąłem, czerwony alarm. (To znaczy czas na akcję.)

Swobodnym krokiem, jak gdyby nigdy nic, ruszyliśmy w kierunku stołówki. Musieliśmy to zrobić, zanim sobie pójda. Wszedłem na stopnie. Jeśli coś powiedzą, po prostu nie będziemy słuchać. Nie zatrzymamy się ani na chwilę. Dean stanął przy oknie i udawał, że nic nie robi. Zaszedłem Killę z tyłu i mocno pchnąłem go w plecy. Nie było czasu, żeby się bać. Po prostu go popchnąłem i byłem gotów uciekać.

Killa: Co ty, k..., wyprawiasz?

Ja: Ciota! Ciota!

Dizzy: Bierz go!

Dizzy i Clipz ruszyli na mnie. Killa stał tam po prostu zdezorientowany i wkurzony. Dean zabrał się do roboty. Przykleił taśmę klejącą w miejscu, gdzie palce Killi dotknęły szyby, potem raz-raz ją oderwał i pobiegł w drugą stronę

prosto do auli. Killa nie wiedział, co robić, ani kogo gonić. Patrzył raz w jednym, raz w drugim kierunku, jak szczur zagubiony w tunelu.

Killa: Coś ty tu teraz robił?

Wytarł odciski palców z szyby, ale było już za późno. Nie mógł już nas powstrzymać. Pobiliśmy go jego własną bronią.

Killa: Mały chujek!

Ruszyli na mnie wszyscy. Odwróciłem się na pięcie i pobiegłem do pracowni przedmiotów ścisłych. Trafiłem do klasy pana Tomlina. Przygotowywał się do lekcji. Widziałem cytryny ułożone w rzędzie. Ktoś inny miał się uczyć o cytrynowej baterii. Żałowałem, że to nie ja miałem usłyszeć o tym po raz pierwszy.

Pan Tomlin: Co jest Harri? Co tak pędzisz?

Ja: Nic, nic. Zgubiłem się.

Pan Tomlin: Zgubiłbyś głowę, gdyby nie była przykręcona.

Ja: Mam nadzieję, że nie!

Killa i Dizzy byli przy drzwiach. Kiedy zobaczyli pana Tomlina, przestali mnie gonić. Killa tylko kopnął drzwi. Było już po wszystkim, musiał to przyznać. Czarne charaktery zawsze w końcu przegrywają.

Killa: Już nie żyjesz!

Pan Tomlin: Macie jeszcze cztery minuty przerwy. Idźcie i podokuczajcie komuś innemu.

Pan Tomlin był dla mnie jak kamizelka kuloodporna. Oddzielał mnie od morderczych myśli czarnych charakterów. Przebiegłem superszybko przez pracownię i wydostałem się drugim wyjściem, zanim nawet się zorientowali. Musiałem tylko unikać ich w czasie przerw i w drodze do domu. Jak będę się pilnował, w ogóle mnie nie dorwą.

•

Czekaliśmy w klubie komputerowym, aż wszyscy pójdą do domu. Słyszeliście o YouTube? To takie miejsce w internecie na filmy o tym, jak różne rzeczy się nawzajem zjadają. Dean pokazał mi, jak wąż jadł chłopca. A właściwie połknął go całego. To było w jakiejś zapadłej dziurze, gdzieś daleko. Mieszkańcy wioski tłukli węża kijami, aż chłopca wyrzygał. Nie wiedzieli, czy umarł, czy śpi. Był cały zwinięty w kłębek. Pełno było na nim śluzu z brzucha tego węża, ale dalej miał ręce i nogi. Był mniejszy od nas.

Dean: Ja tam chcę zobaczyć, jak wąż zjada samochód, to by dopiero było. Zdarzyło się już kiedyś.

Ja: A ja chcę zobaczyć, jak wąż zjada samego siebie. Zniknąłby wtedy i zamieniłby się w nic.

Dean: Ale odjazd.

Poczekaliśmy, aż droga była wolna i wyciągnęliśmy próbkę, żeby jej się przyjrzeć. Dean podniósł odcisk do światła.

Ja: Nie da się określić, co to jest tak naprawdę. Za bardzo zamazane. Niech to cholera!

Dean: Śpieszyłem się, no nie? Ty powinieneś je zdejmować.

Jednak trochę linii było widać. Porządnie i wyraźnie wyszły te środkowe, ale te z boku były zamazane i zachodziły jedna na drugą, jakby się ruszyły podczas robienia zdjęcia. Mieliśmy dwa palce i brzeg kciuka. Przydałaby się szersza taśma.

Dean: Cholera. Nie martw się, przynajmniej mamy próbkę. Może komputer policyjny potrafi to poprawić. Mogą zrobić zoom i w ogóle. W pańskie ręce, proszę bardzo.

Ja: Okej, szefie.

Przykleiłem taśmę na kartce z zeszytu, potem ją złożyłem i napisałem na wierzchu nazwisko podejrzanego: Killa. Będę to trzymał razem z innymi tak długo, jak będzie mi potrzebne. Było to przerażające, aż przyjemne, jakbym stał się właścicielem kawałka życia Killi. Nie może się wiecznie ukrywać, odciski palców wszystko powiedzą, czy chce, czy nie. Kiedy wąż wyrzygiwał chłopca, to wyglądało tak, jakby ten chłopiec się rodził. Może to był chłopiec wąż i tak się miało stać. Może wyrośnie na Człowieka Węża. Powiem Altafowi, jak go spotkam, ucieszy się, jeśli tak się okaże. Ja też. Wystarczy wpisać: wąż zjada chłopca na YouTube i sami zobaczycie. Gwarantuję, że padniecie z wrażenia!

•

Agnes: **Harri!**

*Asweh*, to była ostatnio najlepsza rzecz, w uszach tak strasznie przyjemnie mi dzwoniło. I trwało bardzo długo. W ogóle nie chciałem, żeby się skończyło.

Ja: Halo, Agnes! Lepiej się czujesz?

Babcia Ama: Powiedz tak.

Agnes: **Tak!**

Mama popłakała się ze szczęścia. Lydia tak samo.

Lydia: Jednak odzyskała głos. Powiedz Lydia.

Agnes: **Lyda!**

Lydia: Kochamy cię!

Ja: Kochamy cię Agnes!

W brzuchu zrobiło mi się ciepło i przyjemnie, że się ją uratowało. Też chciało mi się płakać ze szczęścia, ale Lydia się gapiła, więc musiałem się powstrzymać.

Babcia Ama: Dobrze się czuje. Obudziła się rano i chciała banana. Zjadła ze smakiem.

Mama: A jak temperatura?

Papa: Normalna. Wszystko w porządku. Nie martw się.

Mama: Tak bym chciała tam być.

Papa: Wiem. Niedługo się zobaczymy, okej?

Ja: A dach się dalej trzyma?

Papa: Doskonale! Mieliśmy wczoraj burzę i nawet nie zadrżał!

Ja: Już niczego więcej nie rób, okej? Po prostu sprzedaj to, co masz. Wtedy szybciej tu będziecie, okej?

Papa: Okej.

Ja: Do widzenia, Agnes!

Agnes: **Dziedzienia!**

*Asweh*, Agnes to najlepszy krzykacz na świecie. Wyobrażałem sobie, że to niby jej supermoc. Jak urośnie, będzie się nazywała Superkrzykaczka. Nawet jej pozwolę być moim pomagierem (to jakby mniejszy superbohater, co wszędzie się włóczy z dużym superbohaterem, taki jego asystent i najlepszy kumpel).

Nie powiedziałem Papie, że straciłem ząb krokodyla. Nie chciałem znowu zepsuć wszystkiego.

Na stole leżał spory stos paszportów. Julius zgarnął je do torby, zanim zdążyłem się im przyjrzeć. Byłem ciekaw zdjęć, czy ludzie się na nich uśmiechają albo czy mają jakieś głupie fryzury albo okulary albo blizny. Byłem ciekaw, czy ktoś wygląda tak jak ja.

Ciocia Sonia: Zapłaciłam za trochę impulsów. Doładowujesz na bieżąco.

Julius: Wszystko doładowuje się na bieżąco. A co, może nie? (Klaps ją w tyłek.)

Lydia dostała Samsunga Galaxy na urodziny, chociaż są dopiero jutro. Ze szczęścia się popłakała. Wyła jednym głosem jak wariatka. Okropnie to było denerwujące. Ten telefon ma nawet aparat fotograficzny.

Lydia: Powiedz seer!

Trzeba powiedzieć seer, jak ktoś robi ci zdjęcie, wtedy masz odpowiednią minę. Lydia pstrykała fotki wszystkiego naokoło. Jak się uśmiecham. Jak prowadzę samochód. Jak Mama i Ciocia Sonia się obejmują. Drzewko Cioci Soni. Jak Julius pije biber i przerażająco wygląda. Zdjęcie Nany Acheamponga na ścianie w kuchni. Widok przez judasza w drzwiach, ale ten wyszedł zamazany.

Chciałem ją poprosić, żeby i tobie pstryknęła zdjęcie, ale przypomniałem sobie, że nie lubisz, jak się ciebie fotografuje. Nikt inny nie zauważył twego cienia przez okno. Tylko ja. Nie pozwól, żeby cię zauważyli, chcę, żebyś był tylko mój. Tak wolę i już. Jak Mama cię zobaczy, to mi cię odbierze.

Dostałem zdalnie kierowany samochód, chociaż to wcale nie były moje urodziny. *Asweh*, jest super, jedzie ekstraszybko. Kieruje się nim naprawdę zdalnie. Żadnych przewodów. To taka terenówka do jazdy po plaży. Nie ma ścianek, tylko ramę, więc widać człowieka, który prowadzi. Czerwony ze srebrnym i robi sto mil na godzinę.

Najpierw nie bardzo mi wychodziło. Ciągłe rozbijał się o ścianę.

Ja: Przestań mnie pstrykać, przez ciebie się rozbijam!

Lydia: Przestań się rozbijać, przez ciebie pstrykam!

Na szczęście z przodu jest potężny zderzak, więc jak się rozbija samochód, to nic mu się nie dzieje. Wypróbowałem na korytarzu przed drzwiami mieszkania Cioci Soni. Dobrze jeździ na każdej powierzchni. Próbowałem na dywanie i na kafelkach i wszędzie szybko zasuwał. Ma solidne opony z głębokimi rowkami, więc się nie zacina. Chcę go wypróbować na wszystkich rodzajach nawierzchni. Na piasku i na błocie i na trawie i wszędzie. Założę się, że jest genialny na śniegu. Jak Boga kocham, jak tylko śnieg spadnie, pierwszy tam będę. Wtedy będę miał cały śnieg tylko dla siebie, zanim czyjeś nogi go podepczą. Pierwszy rzucę śnieżką w Vilisa. Najchętniej w twarz. Jak Boga kocham, to będzie piękne.

Czy gołębie na zimę odlatują na południe?

*Pójdę za tobą wszędzie.*

To dobrze! Możesz sobie siedzieć na drzewie i patrzeć, jak rzucam śnieżkami. Julius szykował swojego Przekonywacza, oklejając uchwyt nową taśmą, bo stara poodpadała od potu i zbyt częstych uderzeń. Robił to naprawdę powoli i delikatnie, jakby kij był gołębiem bez nóżki, a on mu przyklejał nową.

Ja: Dałbyś radę całkiem urwać komuś głowę?

Julius: Tego nie wiem, ale da się nieźle namieszać. Można uszkodzić mózg, jeśli się to zrobi jak należy. Jednego gościa pieprzałem w łeb, od razu wywalił oczy w śłup, zupełnie jakby światło gasło. Rozwaliłem mu mózg, to jasne. Mowa mu się spowolniła, zaczął się ślinić, i to od jednego małego puknięcia we właściwe miejsce. Sam sobie winien, powinien spłacać długi jak każdy inny. Teraz jest jarzyna, musi chodzić ze śliniakiem, jak niemowlę.

Julius zarechotał głośno i nieprzyjemnie. Mama szybciej zaczęła zmywać talerze, jakby chciała zeskrobać z nich grzech. Wolałbym zginąć od Przekonywacza niż od noża. Nóż jest za ostry, za bardzo rozrywa duszę. Kij bejsbolowy jest bardziej zaokrąglony, więc zostaje większy kawałek duszy. Idzie się wtedy szybciej do Nieba i Mama ma mniej do sprzątania. Nieważne, czy ci kij rozwali mózg, odzyskasz go. Dusza jest najważniejsza.

Drzewko Cioci Soni wyglądało na jeszcze mniejsze niż przedtem. Listki mu błyszcząły jak spalone. Skoro jest cały czas w mieszkaniu, deszcz go nie podleje. Więc podlałem je troszkę, kiedy nikt nie widział. Woda po prostu znikła między kamyczkami w doniczce, w ogóle nie urosło.

•

Miałem zanieść list od pana Smitha. Nie chciałem tego robić. To mógł być podstęp. Czasem nauczyciel każe ci zanieść komuś jakąś wiadomość tylko po to, żeby cię sprawdzić.

Anthony Spiner: Pan Smith raz posłał mnie z listem. Otworzyłem i zgadnijcie, co tam było?

Ja: Co?

Anthony Spiner: Nie czytać tego. Tyle tam było. To był podstęp.

Lincoln Garwood: Tak się nie robi, koleś. Nienawidzę pana Smitha. To chuj.

Nie zajrzałem do środka. Zniosłem prosto do sekretariatu. Nie miałem wrażenia, że mnie ktoś nabiera, i tyle. W drodze powrotnej natknąłem się na tę



dziewczynę. Nie znam jej. Chyba jest w dziesiątej klasie. Zawsze nosi biały zawój na głowie. Klęczała na podłodze, na kawałku materiału. Tam na korytarzu. Miała zamknięte oczy i w ogóle. Musiałem się zatrzymać.

Stałem i przyglądałem się. Co za spokój. Nie wypadalo się ruszać. Musiałem być ekstracicho, bo inaczej bym to zepsuł. Próbowałem wstrzymać oddech. Nie chciałem, żeby przerwała.

Widziałem, jak porusza wargami, ale słów nie słyszałem. Chwilami tak nisko się pochylała, że głową prawie dotykała ziemi. Wszystko od tego zwolniło. Od samego patrzenia poczułem się senny. Chciałem spytać ją, o co się modli, ale powstrzymałem się. Wyraźnie nie mogło chodzić o bomby. Wyraźnie chodziło o coś dobrego.

Przyglądałem się zza ściany. Nikogo w pobliżu nie było. Najlepszy rodzaj ciszy. Nawet zapomniałem, że mam wracać na lekcje. Przyłączyłbym się do niej, ale nie chciałem niczego zepsuć.

Kiedy dziewczyna w zawoju skończyła się modlić, otworzyła oczy i wstała. Szybko się odwróciłem i poszedłem korytarzem. Staralem się zrobić to bezszelestnie. Nie chciałem, żeby mnie zobaczyła. Nie chciałem, żeby wiedziała, że tam byłem, bo bym wszystko zepsuł. Poczekalem, żeby sobie poszła i wtedy wróciłem do normalnego życia. Wstrzymałem oddech przechodząc koło miejsca, w którym się modliła. Obszedłem je naokoło, żeby po nim nie deptać.

Na zakręcie zderzyłem się z Killą idącym z przeciwka. Zobaczył mnie, zanim zdążyłem cokolwiek zrobić. Wepchnął mnie do toalety. To stało się za szybko, żebym mógł go powstrzymać. Zastawił mi drogę między umywalkami. Miał w ręku nóż z pracowni plastycznej i skierował go prosto na mnie.

Killa: Chcę mieć z powrotem moje odciski palców. Są moje. Co z nimi zrobiłeś?

Ja: Wyrzuciłem je, nawet się nie odcisnęły tak jak trzeba. To był tylko taki żart.

Killa pchnął mnie o ścianę. Walnąłem głową z hukiem o pojemnik na papierowe ręczniki. Światło dochodzące przez okno oświetliło ostrze noża jak jakieś obłądne słońce, aż mnie oślepiło. Zamknąłem oczy i czekałem, aż mnie oparzy. Zrobiło się cicho. Świat się zatrzymał. Killa mówił teraz urywanym głosem, jakby kłamał. Zawsze tak jest, kiedy człowiek próbuje brzmieć groźnie, zanim nabierze dość odwagi.

Killa: Nie wpieprzaj się w moje sprawy, rozumiesz? Nie twój zasrany interes. Niczego i tak nie możesz udowodnić. Zostaw to, zanim narobisz sobie

poważnych kłopotów, jasne?

Popchnął mnie z całej siły na pojemnik z ręcznikami, potem zmył się. Przejechałem ręką po głowie szukając krwi, ale nic nie miałem. Poczekalem, aż zacznę znowu normalnie oddychać. Trochę się chwiałem na nogach. Na koszuli miałem ślad brudnych rąk Killi. Nie powinno się pozwalać, żeby przenosili swój brud na innych. Nie powinno się pozwalać, żeby zakłócili czyjś spokój, to nie fair. Miałem mokre majtki, ale tylko od potu, bo na dworze było gorąco.

•

W Anglii obchodzą nadejście lata otwierając okna na oścież i puszczając muzykę na cały regulator. Taka tradycja. Wtedy wiadomo, że jest lato. Trzeba to robić, jak tylko pokaże się słońce. Robią to wszyscy jednocześnie.

Wystawiają też flagi. Jak masz flagę, to musisz ją wystawić razem ze wszystkimi. Wtedy każdy wie, że się tu przynależy i że nadeszło lato.

Muzyka nie jest wszędzie taka sama, są różne rodzaje. Kiedy dochodziłem do bloków, słyszałem mnóstwo różnej muzyki pomieszanej ze sobą. Bardzo fajnie. Chciało mi się od tego tańczyć. Uśmiechałem się od ucha do ucha, w ogóle nie mogłem się powstrzymać.

I nawet się przyłączyłem. Wyciągnąłem odtwarzacz CD z pokoju Mamy, nastawiłem kompakt z Oforim Amponsahem i puściłem *Złamane serce*, moją ulubioną piosenkę. Chciałem, żeby wszyscy to usłyszeli. Otworzyłem okno i wystawiłem odtwarzacz na zewnątrz.

Ja: Halo! Tu Harri! To moja muzyka! Mam nadzieję, że wam się podoba!

Potem się przestraszyłem, bo co by było, gdybym upuścił odtwarzacz, więc wstawiłem go z powrotem do środka. Mam nadzieję, że wszyscy słyszeli moją piosenkę, nasz sprzęt nie jest taki głośny. Później Lydia chciała go sobie zabrać. To jej urodziny i ma dwa nowe kompakty do słuchania.

Lydia: Pośpiesz się!

Ja: Już ci daję! Bez nerwów!

Mama: Nie drażnij się z nią. Dam twój kawałek tortu gołębiom.

Tort Lydii to sama czekolada. Ja na swoje urodziny będę miał tort ze Spidermanem. Prezenty dla Lydii z kraju przyszły w dużym pudle. Pierwszy doleciałem do drzwi. Czekaliśmy oboje i nasłuchiwaliliśmy, ale Lydia musiała pójść w pewne miejsce, kiedy akurat rozległo się pukanie. Więc ja odebrałem pudło od listonosza. Miałem najpierw zamiar je zatrzymać. Tylko dlatego

ustąpiłem, że to były jej urodziny.

Lydia: Puść to! Bo oberwiesz!

Ja: Akurat!

Wszystko pstryknąłem telefonem Lydii: jak trzyma pudło. Jak otwiera pudło. Co jest w pudle. Tam był nie tylko jeden prezent, było ich mnóstwo. Dwie płyty kompaktowe od Abeny, jedna z Michaeliem Jacksonem, druga z Kwaw Kese.

Były tam też kolczyki od Babci Amy. Po prostu kółka. Zrobione z prawdziwego złota (można poznać, czy jest prawdziwe, jak się nagryzie. Jeśli na złocie nie zostaną ślady zębów, to znaczy, że jest prawdziwe).

Lydia: Dawaj moje kolczyki, całe je obślinisz!

Ja: Chcesz, żebym je sprawdził czy nie?

Lydia: Nie!

Był tam obrazek z ręką Agnes. Ale fajny! To bardzo proste: zamalowuje się rękę farbą, a potem przykłada do papieru. Pomogli Agnes napisać jej imię. Ja tak samo nauczyłem się pisać moje: wkładają ci ołówek do ręki i prowadzą go po papierze. Litery wyszły fajnie, jakby pająk je napisał, całe drżące.

Papa zrobił dla Lydii tancerkę z drewna. Chyba to ma być Lydia. Wygląda jak Lydia, tylko twarz ma inną. Papa nie wie, że Lydia już nie tańczy. Ciągle zapomina się uśmiechać.

Zaczęła płakać.

Ja: Jak ty nie chcesz, to ja sobie ją wezmę. Mogę ją zamienić w szkole. Nawet mógłbym dostać za nią zegarek disco.

Lydia: Nie ruszaj!

Ja: Co z tobą?

Mama: Tęskni za Papą i tyle. Nie drażnij jej.

Ja: Nie smuć się. To twoje urodziny. Cały nos masz zasmarkany.

Lydia: Zamknij się!

Mama: Harrison, daj jej spokój.

Trzeba było Lydię rozśmieszyć. Jakbym jej nie rozśmieszył, cały dzień byłby zmarnowany. Zacząłem sobie przypominać wszystkie pocieszające słowa, jakie tylko znam. Postanowiłem je wypróbować po kolei, aż któreś podziała.

Ja: No już, kotuś. Głowa do góry.

Nic. Nawet cienia uśmiechu.

Ja: Odwróć podkówkę w drugą stronę. Wiesz, że tak trzeba.

Dalej nic.

Ja: *Jesteś mym słonkiem, jedynym słonkiem*

*Jest mi weselej, gdy wokół geje.*

Mama: Harrison! Dostyc tych gejów.

Lydia: Przestań.

Troszeczkę się uśmiechnęła, widziałem. Wiedziałem, że mi się uda. Musiałem ten dzień uratować. Jeszcze tylko jedna próba.

Ja: Lydia w bek, beku, bek. Nie becz, ja cię kocham całą duszą mojej pupy.

Lydia: Przestań!

Ja: Mam cię! Wygrałem!

Lydia roześmiała się. Nie mogła się już powstrzymać. Uwielbiam, jak mi się uda uratować sytuację. Nawet mi nie zależy na punktach. Niech je sobie weźmie.

Ja: Chcesz prezent ode mnie? Musisz pójść ze mną, trzeba wyjść na dwór.

Lydia: A idź ty. Nie dam się znowu nabrać.

Ja: Nie nabieram cię, słowo.

Mama: Nie patrz na mnie. Nie mam z tym nic wspólnego.

Ja: No chodź już, ty cykorze!

W końcu Lydia dała się namówić, ciekawość zwyciężyła. Ruszyłem przodem, ona za mną. Oboje wstrzymywaliśmy oddech, aż znaleźliśmy się na dworze.

Lydia: Gdzie idziemy?

Ja: Zobaczysz. Zaufaj mi.

Poszliśmy za nasz wieżowiec, tam się zatrzymaliśmy. Lydia zaczęła się rozglądać za prezentem. Spojrzała na drzewa, zajrzała pod samochody, przyglądała się oknom. Nawet zajrzała pod śmietnik. W końcu stanęła bezradnie. Nie wiedziała przecież, czego szuka. Po prostu masakra.

Lydia: Daj mi ten prezent i chodźmy. Gdzie on jest?

Ja: Tuż przed tobą.

Z tyłu naszego bloku zbudowali nowy podjazd dla wózków inwalidzkich. Zauważyliśmy go dopiero rano, kiedy zjawił się człowiek z betoniarką. Dean wyzwał mnie, żebym do niej wlaźł, ale ja nie zamierzałem ryzykować, wiedziałem, że tam się można na dobre przykleić. Ale od razu wpadłem na pewien pomysł. *Asweh*, myślałem, że zwariuję – tak trudno mi było wytrzymać cały dzień, żeby się nie zdradzić!

Cement był jeszcze wilgotny. Człowiek od betoniarki miał przerwę obiadową. Jeśli mieliśmy to zrobić, to trzeba było natychmiast. Trudno o lepszy plan.

Lydia: Co ja niby mam tu do roboty?

Ja: Po prostu skoczysz. Będzie masakra. Twoje ślady odbiją się i jak wyschną, to zostaną na zawsze. Wtedy podjazd będzie nasz i cały świat się o tym dowie.

Nie tylko podjazd, cały blok będzie do nas należał. Ale musisz skoczyć z całej siły. Musisz się do tego przyłożyć.

Lydia: To głupie. Nie będę skakała.

Ja: No chodź! To tylko sekunda! Zostawisz ślady swoich stóp, a ja napiszę pod tym twoje imię, żeby wszyscy wiedzieli. Oboje to zrobimy. Ja pierwszy.

Stanąłem we właściwym miejscu, zebrałem się cały w sobie i skoczyłem najlepiej, jak się dało, obie stopy obok siebie. Starłem się, żeby całym ciężarem wbić się w cement.

Lydia: Wyglądasz jakbyś robił kupę.

Ja: Tak jest najlepiej. Tylko patrz.

Policzyłem do dziesięciu. Chwilę pokręciłem biodrami, żeby ślady butów odbiły się wyraźne, i wyskoczyłem na bok, tak żeby się nie rozmazały. Udało się znakomicie. Idealnie. Ślady moich stóp były teraz w cemencie, piękne, wyraźne i świeże. Nawet widać było znaczek Diadory na podeszwie. Wszystkie rowkowania i wszystko. No po prostu masakra.

Ja: Dosyć trudno jest się wydostać. Cement chce się ciebie trzymać. Trzeba się przyłożyć, żeby wyskoczyć. Twoja kolej.

Lydia: Ale z ciebie głupol.

Ja: Zrób to, leniuchu! Nie można oddawać z powrotem prezentu, który ktoś ci daje. To tak jak powiedzieć komuś, że się go nienawidzi.

Lydia: Okej, okej!

Lydia udawała wkurzoną, ale nikogo by nie nabrała. Porządnie się przyłożyła, tak jak ja. Ustawiła się w pozycji jak do robienia kupy i skoczyła całym ciężarem. Wylądowała tuż obok moich śladów. Nawet policzyła do dziesięciu, widziałem, jak jej się wargi poruszają.

Ja: Teraz się trochę pokręć.

Lydia: Kręcę się, kręcę!

Spróbowała odskoczyć na bok, ale stopy jej ugrzęzły i o mało nie upadła. Wrzasnęła jak dziecko.

Lydia: Pomóż mi, pomóż!

Ja: Bez paniki, już cię mam!

Pociągnąłem ją do góry, żeby się wyprostowała i wyciągnąłem z cementu. Jej ślady były tuż koło moich. Ładnie wyszły i równo. Wszystkie linie były wyraźnie odznaczone, tak jak moje. Nawet jej się podobało. Zrobiła wielkie oczy zanim zdążyła się powstrzymać.

Lydia: Szybko, napisz imiona, zanim za bardzo wyschnie.

Siadłem obok podjazdu i napisałem nasze imiona pod śladami stóp. Musiałem dosyć mocno naciskać palcem, żeby litery wyszły. W każdym razie dało się przeczytać. *Asweh*, klasa.



Lydia uśmiechała się od ucha do ucha.

Ja: Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! Mówiłem, że ci się spodoba!

Cement na palcach wyglądał jak ciasto na placek, ale śmierdział jak rzygi. Jeśli się w porę nie zmyje, palec zamieni się w kamień. Umyliśmy buty w kałuży. Znalazłem patyk do zeszkobania większych kawałków. Teraz cały świat o nas wie. Ślady naszych stóp są po to, żeby wszyscy wiedzieli, że tu byliśmy. Nie mogę się doczekać, kiedy wyschną. Pilnuj ich, aż stwardnieją, okej?

*Zrobię to. Każdy, kto zechce zepsuć ci zabawę, oberwie za swoje, nawet się nie spodziewa, obesram każdego, kto za bardzo się zbliży. Chcesz wiedzieć, co ja myślę? Niejedno w życiu już widziałem, więc mogę się podzielić kilkoma przemyśleniami. Wasz problem polega na tym, że wszyscy chcecie być morzem. A nie jesteście morzem, tylko kroplą deszczu. Jedną z niezliczonych. Gdybyście tylko przyjęli to do wiadomości, życie byłoby o wiele łatwiejsze. Powtórz za mną: jestem kroplą w oceanie. Jestem sąsiadem, narodem, na północy i nigdzie. Jestem jednym z wielu i zginiemy wszyscy razem.*

*A może jestem tylko skrzydlatym szczurem i nie wiem, co mówię.*

Uwielbiam przyjemne niespodzianki. Jak ten cement, który po prostu czekał na nas, żeby na nim pisać, albo jak wtedy, kiedy sobie myślisz, że ktoś jest beznadziejny w czymś, a potem okazuje się, że akurat jest genialny. Tak było z Manikiem: nikt się nie spodziewał, że będzie dobrym bramkarzem, bo jest taki gruby, a okazuje się, że jest genialny. Nie da się wbić mu gola. Nigdy nic nie puszcza. Raz niechcący kopnąłem mu piłką w głowę, a on nawet nie drgnął, dalej grał jakby nigdy nic. Łzy mu tylko napłynęły do oczu, ale poza tym nikt by nie powiedział, że dostał w głowę. Od tego czasu nazywamy go Superrećce. Wyraźnie lubi to słyszeć. Uśmiecha się wtedy od ucha do ucha.

Wszyscy: Superrećce znów obronił! Dał gość czadu!

Nie myślałem, że Dean może się dobrze wspinać, bo jest rudy. Po prostu nie spodziewałem się. A tymczasem jest świetnym wspinaczem. Jest nawet tak dobry jak Patrick Kuffour (potrafi wejść na dach pawilonu w równe trzy sekundy. Nazwaliśmy go Małpia Krew).

Dean: Spokojnie, ściągnę ją. Jestem superwspinacz.

Graliśmy w nogę na ulicy, a ja strzeliłem Panu Bogu w okno i piłka wylądowała na dachu garażu. Nawet nie wiedziałem, że potrafię nową piłką tak daleko strzelić. Byłem po prostu dumny. Dean wskoczył na pojemnik ze śmieciami i podciągnął się stamtąd na ten dach. Wszystko to stało się bardzo szybko. Wydawało się zupełnie łatwe. Zrzucił piłkę na dół, a ja ją złapałem. Kiedy spojrzałem w górę na Deana, zakreśliło mi się w głowie. Słońce świeciło mi prosto w oczy. Usłyszałem szum skrzydeł, ale nie wiedziałem, skąd dobiega.

Dean: Chodź, tu jest fajnie. Podciągnę cię.

Ja: Ktoś może nam ukraść piłkę.

Dean: Nie bądź palantem!

Ja: Nie jestem! Chodź, jest po dziewięć, remis, następny gol wygrywa.

Nie chciał zejść. Wyraźnie podobało mu się tam na górze. Spacerował sobie w te i we wte jak król. Śmiał się w obliczu niebezpieczeństwa.

Dean: Ej, a to co?

Schylił się i coś podniósł. Jakieś zawiniątko. Opakowane w jakąś jakby szmatkę, mokrą od kałuż na dachu i zatłuszczoną.

Dean: Mam rozwinąć?

Ja: Rozwiń!

Dean: Naprawdę chcesz, żebym rozwinął? A jeśli tam jest węglik albo ludzkie zęby?

Ja: Nie denerwuj mnie, tylko otwórz!

Rozwinął zawiniątko. W środku był portfel. Widziałem, że to portfel, chociaż słońce mnie oślepiało. Niebieski, zapinany na czarny rzep.

Ja: Są tam pieniądze?

Dean: Poczekaj, cały się lepi. Schodzę.

Zszedł z garażu na dół i pokazał mi ten portfel. Miał ciemne plamy. Pachniał deszczem. Otworzył go i zajrzał do środka. Żadnych pieniędzy. Coś było w jednej kieszonce, rozmiękle od deszczu, kleiło się. Dean ostrożnie to rozprostował, zdrapując lekko z wierzchu: była to fotografia. Kiedy ją zobaczyłem, zrobiło mi się zimno w brzuchu.

Ja: To ten zmarły chłopiec.

Dean: Myślisz?

Ja: Jak Boga kocham! Nawet ma tę swoją koszulkę Chelsea.

Zdjęcie było bardzo małe i poplamione w miejscach, gdzie zmokło. Zmarły chłopiec był na nim z białą dziewczyną. Widać ich było tylko do ramion. Oboje uśmiechali się od ucha do ucha. Nawet nie wiedziałem, że miał dziewczynę. Była prawie tak ładna jak Poppy, tylko zezowata, ale może specjalnie zrobiła zezą dla żartu. Bardzo to było smutne. Wyobraziłem sobie, że ten chłopiec jest uwięziony w fotografii i już za późno, żeby go stamtąd wyciągnąć. Żałuję, że nie było mnie przy tym, jak go zaciukali. Odgoniłbym zabójcę, zanim by do tego doszło. Głośno wzywałbym policję i rzucił w niego kamieniem albo zatrzymał go oddechem. Nie wiem, dlaczego nikt nic nie zrobił.

Dean: Ja bym mu kung-fu w jaja.

Ja: Ja to samo.

Dean dał mi potrzymać portfel. Lepił się cały, pomodliłem się w myśli. Modlitwa była krótka: przykro mi. Nic innego nie mogłem sobie przypomnieć.

Ja: Jak myślisz, od czego tak się lepi? Myślisz, że to krew?

Dean: Na to wygląda, a może smar. Może są jakieś odciski palców. Weźmy go do laboratorium.

•

Nie domagałem się hasła od Deana, hasło jest tylko dla cywili. Dla pewności drzwi zastawiliśmy moim łóżkiem. Dean trzymał portfel nieruchomo, a ja przykładalem taśmę klejącą w te lepkie miejsca. Przykładałem ją ostrożnie i delikatnie, żeby się nie pomarszczyła, a potem bardzo powoli odrywałem. To coś lepkiego przykleiło się do taśmy. Podniosłem taśmę do światła. Żadnych



śladów, żadnych linii, tylko spora ciemnoczerwona smuga. Żadnych odcisków, nic do porównania.

Dean: Nie szkodzi. I tak marne były szanse. Ale mamy DNA, jeśli to krew.

Ja: Poliz, to się przekonasz.

Dean: Nie polizę, tam może być AIDS. Schowaj to tylko, dobra? Od tej krwi robi mi się gęsia skóra.

Wziąłem na palec trochę krwi. Lepiła się. Chciałem ją polizać, żeby duch żył we mnie, ale za bardzo bałem się AIDS. Poczekalem, aż się ściemni i zmyłem ją. Chciałem zostawić, ale w końcu palec zaczął mnie swędzić.

•

Dziura po wyrwanym drzewie zupełnie znikła. Cała zarosła trawą i mnóstwem jakichś roślin i chwastów. Nikt by nie powiedział, że tam kiedyś była. Asbo zrobił na tej młodej trawie wielkie kupsko. To jego nowe ulubione miejsce na sranie. Kiedy mnie zobaczył, zamerdzał ogonem tak mocno, że myślałem, że mu dupa odpadnie. Kocha mnie, bo przemawiam do niego łagodnie. One wtedy wiedzą, że mają przyjaciela.

Terry Nawynos: Chcesz? Masz.

Terry Nawynos dał mi smycz Asbo. Pozwolił mi ją trzymać i w ogóle. Asbo jest bardzo silny. Nie chciał na mnie czekać i ruszył od razu. Musiałem iść za nim, bo inaczej by mnie przewrócił.

Terry Nawynos: Powiedz mu noga, to przestanie ciągnąć.

Ja: Noga.

Terry Nawynos: Głośniej. Noga!

Podziałało. Asbo przestał tak mocno ciągnąć. Zwolnił i szedł teraz obok mnie.

Ja: Dobry piesek.

Zawsze trzeba mówić psu dobry piesek, kiedy coś dobrze zrobi. Potem już zawsze będzie się dobrze zachowywał. One się tylko wtedy dowiadują, jakie są grzeczne, kiedy im się to powtarza. Trzeba im powtarzać za każdym razem, bo inaczej zapominają. Terry Nawynos pokazał mi, jak prawidłowo trzymać smycz. Jak się trzyma tuż przy sobie, to pies nie ma gdzie się ruszyć. Wtedy musi iść z tobą. Jeśli trzyma się ją na całą długość, pies w ogóle zapomina, że jest na smyczy i próbuje uciec. W końcu udało mi się zapanować nad Asbo. Już nie próbował się wyrwać. Kiedy szedłem gdzieś, Asbo szedł ze mną. Kiedy stawałem, Asbo też się zatrzymywał. *Asweh*, masakra. Zupełnie jakbym był jego

właścicielem. Zupełnie jakby do mnie należał.

Ja: Asbo, szukaj zła! Wywąchaj, dalej piesku! Znajdź zapach zła!

Asbo zaczął się rozglądać wokoło, jakbym mu powierzył jakąś misję. Obwąchał nogę przechodnia. Przyglądałem się psu: uszy nie poruszyły mu się, nie wybałuszył oczu. Żadnego zła. Spuściliśmy Asbo ze smyczy. Pobiegł naprzód, ale zaraz zawrócił. Przeważnie biegał w kółko. Uwielbia bieganie, nawet bardziej niż ja. Potem robiliśmy różne sztuczki.

Terry Nawynos: Siad.

Asbo siadł. Siedział i patrzył na nas. Czekał, żebyśmy mu znowu coś kazali.

Terry Nawynos: Leżeć.

Asbo położył się na trawie. Na plecach. Dalej merdał ogonem. Widać mu było sutki i jaja. Wyraźnie bardzo mu się ta zabawa podobała.

Terry Nawynos: Łapa.

To było najlepsze. Asbo podał mi łapę. Wymieniliśmy uścisk dłoni. Ale było śmiechu. Specjalnie dla mnie popisował się tymi wszystkimi sztuczkami. Podobało mu się. Kiedy kazałem mu siadać, siadał. Kiedy prosiłem, żeby podał łapę, podawał. Masakra. Chciałem, żeby był mój. *Asweh*, to była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

**Lipiec**



Odciski palców są tylko po to, żeby nimi czuć dotyk i żeby łatwiej się trzymało rzeczy, kiedy są mokre. Ale właściwie to nie mają znaczenia. Jakby się nie miało odcisków palców, to można by było być, kim się zechce.

Brwi są po to, żeby pot nie spływał do oczu. Zawsze myślałem, że brwi do niczego nie służą, ale tak nie jest. Powstrzymują pot i deszcz. Gdyby ich nie było, pot i deszcz dostawałyby się ludziom do oczu i oślepiały ich. Tak samo rzęsy. Powstrzymują kurz. I owady.

Wszystkie te rzeczy, o których się myśli, że są tak sobie, bez powodu, w rzeczywistości pomagają ludziom albo ich przed czymś chronią. Włosy na głowie są po to, żeby mózg się nie przegrzewał, kiedy jest gorąco i żeby się nie wyziębiał, jak jest zimno. Włosy są o wiele sprytniejsze niż by się wydawało. Wszyscy mają te same systemy obronne. Mają brwi, i paznokcie, i rzęsy. Włosy rosną w tych samych miejscach. I dlatego każdy ma takie same szanse, żeby przeżyć. To jest fair. W przeciwnym razie nie byłoby fair.

Connor Green: No ale po co mężczyznom sutki?

Pan Tomlin: Bo wyglądałoby bez nich głupio. Następne pytanie.

Connor Green przegrał z panem Tomlinem w pojedynku na żarty. Był wściekły. Próbuje pobić pana Tomlina w żartach, ale pan Tomlin jest zawsze za dobry dla niego.

Connor Green: Jak to jest, że jak się człowiek kąpie, to woda nie wchodzi mu przez tyłek i nie topi od środka?

Pan Tomlin: Bo wewnętrzny zwieracz odbytu kurczy się i zamyka kanał analny. Jeszcze coś?

Connor Green: Pan powiedział analny. Nie wolno panu tak do nas mówić, bo to jest wykorzystywanie seksualne.

Pan Tomlin: Wsadź tam sobie skarpetkę, Connor. Jeszcze ktoś?

Dean: Czy umarłemu dalej rosną włosy? Mój wujek mówi, że tak. I paznokcie też. Czy to prawda, proszę pana?

Pan Tomlin: Nie, to jest przesąd.

Connor Green: Proszę pana, czy pan ma przyjaciela?

Pan Tomlin: No dość tego, wyjdź. Connor? Wyjdź proszę.

Connor Green: Ale proszę pana, ja tylko zapytałem, czy pan ma przyjaciela.

Pan Tomlin: **Za drzwiami!**

Connor musiał wyjść z klasy. Zrobił się czerwony jak burak. Nawet byłem zadowolony, że pan Tomlin na niego ryknął. Connor jest czasem bardzo męczący. Czasem chciałbym, żeby się przymknął, żeby nie przeszkadzał

nauczycielowi. Najciekawszych rzeczy uczymy się na lekcjach przedmiotów ścisłych.

Pan Tomlin mówi, że stacja kosmiczna istnieje naprawdę. W pierwszej chwili wygląda jak jasno świecąca gwiazda, ale jeśli jej się dobrze przyjrzeć, to widać, że się rusza. Tylko raz ją widziałem, bo niebo nigdy nie jest dość ciemne, za dużo jest światła po drodze, z latarni i domów. Na stacji kosmicznej muszą robić kupę do specjalnej rury, z której jest wysysana potem w przestrzeń kosmiczną. Dlatego wahadłowiec ma wycieraczki na szybach. Każdy to potwierdzi.



Podłoga na korytarzu pod moimi drzwiami jest gładziutka i lśniąca. Dzięki temu świetnie się nadaje dla mojej terenówki, bo może bardzo szybko jechać. Masz wrażenie, że sam jedziesz, tak szybko jedzie, a przecież stoisz bez ruchu. Trzeba pamiętać, żeby mrugać, inaczej kręci się w głowie.

Wpatrywałem się w drzwi Jordana. Czekałem, żeby się otworzyły. Lekko zastukałem i udawałem, że to niby przypadkiem. Otworzyły się. Najpierw Jordan nic nie powiedział, tylko się gapił. Gapił się bardzo długo. Ciągle się rozbijałem, bo jego gapienie się przeszkadzało mi się skupić. Chciałem, żeby wreszcie mnie poprosił.

Jordan: Daj spróbować.

Tak było w planie, ale należało go jeszcze trochę przytrzymać.

Ja: Za minutę.

Dalej spokojnie kierowałem terenówką. Wyobrażał sobie, że tak po prostu dam mu spróbować. A ja chciałem, żeby żałował. I żebym ja był tym, co się śmieje ostatni. Czuję, że się dalej gapi. I dalej sobie jeździłem. Jakby go w ogóle nie było. Jordan już zaczął się wiercić. Ale masakra. Chciałem, żeby to trwało i trwało bez końca.

Jordan: No dawaj, człowieku, daj spróbować. Miałeś ją już tyle czasu.

Ja: Zepsujesz ją.

Jordan: Wcale nie zepsuję. Jestem zajebistym kierowcą. Nigdy się nie rozbijam.

Ja: Już nawet się nie kolegujemy.

Jordan: Wcale nie jest powiedziane. No dawaj, koleś.

Ja: Jeszcze dwie minuty.

Jordan: Jedną minutę. Pokażę ci, jak zrobić, żeby przekoziółkowała, to jest

dopiero chora akcja.

Na ten moment właśnie czekałem. Musiałem doprowadzić do tego, żeby bardzo chciał. Żeby błagał. A wtedy, jak ją zabiorę, to jeszcze bardziej mu dołożę. Chciałem go ukarać. To był mój obowiązek.

Zrobiło się ciemno i cicho. Serce biło mi szybko w oczekiwaniu na właściwy moment. Wiedziałem, że to będzie masakra. Byłem już przy swoich drzwiach. Wspaniale. Musiałem przygryźć wargi, żeby się nie śmiać.

Ja: Nie mogę. Muszę już iść. Obiad na mnie czeka.

Schylilem się po terenówkę i wszedłem do domu. Zamknąłem za sobą drzwi. Wyszło genialnie. Zrobiłem to raz-raz. W ogóle się nie spodziewałem. Nie wiedział, że coś takiego się stanie. Wspaniale. Teraz jestem zwycięzcą już na zawsze.

•

Poppy nie musi się malować, bo i bez tego jest piękna. Miquita i Chanelle i wszystkie inne muszą, bo są brzydkie pod spodem. Miquita zawsze maluje oczy na zielono. Wygląda z tym jak żaba.

Wygląda z tym jak paskudna zielona kretyńca, ale jej tego nie powiedziałem, bo co mnie to obchodzi.

Miquita malowała sobie usta tą swoją wiśniową szminką. Serce biło mi mocno. Nie było odwrotu.

Miquita: Jesteś na mnie gotów? Umyłeś zęby? Nie, ja tylko tak żartuję. Wiem, że jesteś czysty. Słodki jesteś, jasna sprawa.

Miquita ma mnie nauczyć, jak się całować. Miquita ssła stu chłopakom, więc wie najlepiej, jak to się robi. Jak będę wiedział, jak się porządnie całować, to Poppy nigdy mnie nie rzuci dla innego chłopaka.

Nie chcę, żeby Poppy mnie rzuciła. Chcę, żeby zawsze była moja. Tak jest bardzo dobrze. A już najlepiej, jak mam okazję chronić ją przed czymś złym, na przykład kiedy odganiem osy. Poppy jest zawsze wdzięczna. Kiedy się do mnie uśmiecha, robią mi się motyle w brzuchu.

Obłąd, ale nie było już odwrotu. Byle zapomnieć, że się nienawidzi Miquity, tylko pamiętać jej wielki seksowny tyłek, wielkie, jędrne cycki i jej wytrenowane wargi. Po prostu wykorzystać ją, żeby być gotowym na to coś prawdziwego. A Lydia to w ogóle nawet się śmiała. Podobało jej się.

Lydia: *Ja chcę kochanka*

*A nie casanowę.*

Ja: Idź ty!

Lydia: *Pokochamy każdy dzień  
Będziesz moim kochankiem.*

Ja: Zamknij się! Bo oberwiesz!

Miquita: Nie ruszaj się, przystojniaku, wyluzuj.

Byłem wgnieciony w kanapę. Miquita siadła na mnie okrakiem. Nie mogłbym się wyrwać, nawet gdybym chciał, waży tonę. Oblizywała wargi jak jakaś wielka świrowata ryba. Zamknąłem oczy, żeby jak najszybciej mieć już to za sobą.

Miquita: Otwórz usta trochę bardziej, o tak. Wyluzuj, człowieku. Spodoba ci się, obiecuję.

Wszystko zaczęło się dziać w zwolnionym tempie. Czuję Miquitę coraz bliżej. Słyszałem, jak oddycha, czuję jej gorący oddech na twarzy, cyckiem napierała na moje ramię. I wtedy pocałowała mnie prosto w usta. Całkiem miękko. Nawet nie było tak źle, dopóki nie poczułem, że wsadza mi do ust język.

Ja: Nieee, niiminieeówiaaśsoojeeykuu!

Miquita przestała. Złapałem oddech.

Miquita: Co jest?

Ja: Nic mi nie mówiłaś o języku!

Miquita: Ale każdy lubi z języczkiem. Musisz się nauczyć najlepszych sposobów, bo inaczej nie ma sensu. No, dalej.

Lydia: Oni mają po jedenaście lat, nie muszą wiedzieć o językach.

Miquita: Zamknij się, człowieku, co ty tam wiesz? Daj mi dokończyć robotę, jasne? Chcesz, żeby twój brat wyrósł na pedzia?

Wsadziła mi język z powrotem. Był gorący i oślizgły. *Asweh*, obrzydliwość. Kręciłem się, żeby się uwolnić, ale ona jeszcze mocniej mi ten język wpychała. Wydawała okropne cmokające jęki jak zakochany zombi. Jej wargi smoktały, a język wił mi się w ustach jak wstrętny wąż. Pomyślałem o Poppy. Żółty kolor wypełnił mnie jak słońce. Wtedy poczułem, że ktoś łapie mnie za rękę. Wbijałem się w kanapę, żeby mi jej nie oderwali.

Lydia: Miquita.

Miquita: Spokojnie, człowieku. Podaj mi ją.

Uszczypnęła mnie w rękę, żebym puścił, po czym złapała ją i wsadziła sobie w majtki. Poczułem włosy pod palcami. Były szorstkie. Łaskotały. I wtedy się wszystko zrobiło jakies porabane. Jak Boga Kocham, chciało mi się wymiotować. Rozdzieliła mi palce i jeden wsadziła sobie w dziurkę. W dotyku śliską i gumowatą. Chwyciła następny palec i jeszcze jeden i całą moją ręką jeździła

w górę i w dół. Dalej smoktała wargami, czułem w nosie jej gorący oddech. Wcale nie mogłem tego powstrzymać. I w ogóle nie lubię wiśni. Było mi niedobrze, jak na morzu.

Ja: Przrzstń! Lyd pmózz! Zabrzrzjąą!

Lydia: On ma dosyć. Wstrzymuje oddech.

Miquita: To ja powiem, kiedy będzie miał dość i co zrobisz, Chlamydia? Przestań się wrywać, człowieku. Myślałam, że chcesz się nauczyć?

Ja: Rozmyśliłem się. Złaż ze mnie!

Odepchnąłem ją z całej siły. Miquita miała senny wzrok i głupią minę, dyszała jak po jakiejś walce. Miała rozpięte dzinsy i dalej przytrzymała mi rękę w swoich majtkach. Wyszarpnąłem ją raz-raz korzystając z okazji. Skóra mnie swędziała od jej włosów, a palce mi się świeciły od jej dziurki. Chciało mi się umrzeć.

Miquita: Nieźle jak na początkującego. Ale nie liź mnie w zęby, dziewczyny tego nie lubią. Chcesz spróbować jeszcze raz?

Ja: Spadaj. Nie będę tego więcej robił. Po prostu odwal się!

Wstałem, zanim mnie zdążyła znowu dopaść. Umyłem usta i ręce. Kiedy próbowałem się załatwić, wyszło jakieś dziwne, myślę, że coś mi uszkodziła. Lydia powinna ją była powstrzymać. Trzeba było nie otwierać drzwi. To był zły pomysł. W ogóle nawet nie wiem, jak to się stało. Jeśli Poppy się dowie, że ssałem innej dziewczynie, to na pewno mnie rzuci.

Ja: Głupia szmata. Wcale nawet nie jesteś śmieszna.

Miquita stała pod drzwiami łazienki. Uśmiechała się jak głupia tłusta żaba.

Miquita: Jeszcze nie skończyliśmy, to była dopiero pierwsza lekcja, co nie? Czy zrobiłam ci tak, że ptaszek ci stwardniał? Poczuleś tam coś dziwnego?

Ja: Nie.

Lydia: Nie mów mu tego, jest jeszcze za młody. Daj mu już spokój.

Miquita: A ty co jesteś, jego mama? To, że jesteś sztywniaczka, nie znaczy, że wszyscy są tacy jak ty. Człowieku, z was są pier... sieroty.

Lydia: Przynajmniej mój chłopak nie jest mordercą.

Zrobiło się cicho. Lydia zaraz się przymknęła, ale za późno, wypowiedzianych słów nie można już było cofnąć. Twarz Miquity znieruchomiała.

Miquita: Co ty powiedziałaś?

Myślałem, że Lydia się rozplacze. Zamarła cała w szoku. Wszyscy, cała trójka, byliśmy w szoku. Za milion lat bym się nie spodziewał. Za duża rzecz, żeby się tak wyrwało. Ta cisza była jakaś niedobra i ktoś powinien był ją przerwać. Nigdy



nie ma Mamy, kiedy jest potrzebna.

Ja: Nie powinnaś im pozwalać, żeby cię przypalali.

Miquita: Co?

Lydia przejechała ręką miejsce na twarzy po oparzeniu prostownicą, już prawie nie było nic widać. Dotarło do niej, co miałem na myśli, że ją wspieram, i poczuła się silniejsza. Otrząsnęła się z szoku.

Lydia: Powinnaś mu kazać przestać. Spójrz na swoje ręce, jak można pozwolić komuś, żeby ci robił coś takiego? Wymiękałaś.

Miquita zapięła rozporek. Nie widać było jej rąk, tak latały. Tych tłustych poparzonych rąk nie dało się już nienawidzić, jakoś byłoby nie fair.

Miquita: Ja wymiękałam? Widziałaś, co zrobiłam Chanelle?

Ja: Ona nie jest Chanelle, ona jest Lydia. I jeśli jeszcze ją raz dotkniesz, to cię zaciukam nożem z ząbkami. Zawołam Juliusa, żeby ci przywalił. On jest prawdziwym gangsterem.

Lydia: Nie zrobisz tego. Idź lepiej do domu, Miquita. Nie chcemy cię już tutaj.

Miquita: Mam się tym przejmować? Jesteś zwyczajnie głupią małą kretynką.

Spodziewałem się trzęsienia ziemi, ale nie nastąpiło. Miquita nie wiedziała, co ma robić, więc się zmyła bez gadania. Zamknąłem za nią drzwi na klucz i wyciągnąłem ciasteczka Oreo z sekretnej szuflady Mamy. Zupełnie nowe opakowanie. Pozwoliłem Lydii je otworzyć. Pierwsze jest zawsze najpyszniejsze.

*Zajmowałem się swoimi sprawami, pojadając ziarna sezamu wyłożone przez panią, która jeździ autem fotelowym. Lubi nam się przyglądać, jak jemy na jej oknie kuchennym, marzy sobie o kąpeli na golasa w ciepłych wodach, marzy o konikach morskich, że skubią ją delikatnie w łaskotliwe palce u nóg, okręcają malutkie chwytne ogonki wokół jej sterczących sutek niczym miękkich żerdek. Co kto lubi, powiadam, życie jest za krótkie, by uważać, że marzenia są tylko niewinne i szczerze.*

*Przyszły znikąd, nie miałem szansy się przygotować. Cztery. Najpierw poczułem luuuuuuuup w plecy, pęd powietrza i dziurę w przestrzeni. Nie zdążyłem się obejrzeć, on już siedział na mnie, wielki samiec, wpił się w moje ramię i czarny dziób pakował mi prosto w głowę. Widzę tępą determinację w lśniących świdrujących oczkach. On i jego kumple chcą, żebym zapłacił za jakieś moje niby uchybienia, może im się nie podoba sposób, w jaki stawiam kroki, ale teraz jeden mnie przyciska do ziemi, a jego trzech współników otacza mnie z trzech stron, żeby uniemożliwić mi ucieczkę. Kopię i dziobię, próbuję unieść się w górę, ale ramiona trójkąta zamykają się i czuję trzy noże w żebrach, trzy komplety szponów wbijają się we mnie jak w miękką urodzajną glebę, czuję, jak mnie rozrywają na kawałki, moja gołębia skóra odchodzi od mięśni, nic już jej nie trzyma. Zamieniam się w bombę wypełnioną gwoździami, ale mury świata zamykają się z trzaskiem i może jednak jestem śmiertelny. Jeśli mnie tu nie będzie, to kto się zatroszczy o chłopca?*

•

**Ja: Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! Spierdalajcie, sroki!**

Podbiegłem i je przepłoszyłem. Mój gołąb siedział w trawie, wyglądał na nieźle przestraszonego i zmartwionego. Chciało mi się płakać, ale nie widziałem ani krwi, ani żadnych śladów walki.

Ja: Nic ci nie jest?

Gołąb: ...

Schylilem się, żeby go podnieść, ale zerwał się, zanim go złapałem, poleciał najzwyczajniej na dach mieszkań tych nienormalców, więc działał i wszystko było w porządku. *Asweh*, co za ulga!

Ja: Uważaj gołębiu, mogą znowu cię dopaść. Miej oczy otwarte. Przyjdę potem do ciebie, jak wrócę ze szkoły, okej?

Gołąb: Okej. Dobry z ciebie chłopiec, Harri. Dziękuję ci, że mnie uratowałeś.

(On to powiedział tylko w mojej głowie.)

•

Dziewczyny uwielbiają dostawać prezenty. Bo to znaczy, że się myśli o nich poważnie. Dziewczyny zawsze chcą, żeby się o nich myślało poważnie, bo inaczej za bardzo się martwią i wtedy już nie jest fajnie. Dałem Poppy pierścionek żelkowy. To były moje sekretne przeprosiny za całowanie się z Miquitą. Założyła go sobie na palec. Wcale jej o to nie prosiłem, ale i tak to zrobiła.

Poppy: Dziękuję!

Ja: Nie ma sprawy!

A potem go zjadła.

Nawet mi się nie chce całować z Poppy. Nie chcę już z nikim więcej się całować, po tym jak Miquita prawie złamała mi siusiaka. Pocałuję Poppy, tylko jeśli mnie o to poprosi. Jeśli wygram w Dzień Sportu, to pewnie będzie mnie chciała pocałować. Zrobię to, jeśli będę musiał, ale nie w usta.

Clipz: Hej, pedałku! Bzykałeś ją już? Chcesz, żebym ci pokazał, jak to się robi?

Po prostu przeszliśmy obok niego. W ogóle na niego nie spojrzałem. Nawet mi się nie chce siadać na górnych stopniach, to nic nadzwyczajnego. Wolę schody przy pracowni przedmiotów ścisłych, widać stamtąd tyle samo i można się dzielić tym z Poppy. Górnymi stopniami nie warto się przejmować.

Czteryście metrów to jest jedno całe okrążenie bieżni na boisku. Wydaje się całkiem sporo. Dotknąłem mojego toru na szczęście. Widziałem, że Brett Shawcross tak robi. Ja i Brett Shawcross byliśmy faworytami. Nikt nie wiedział, który z nas wygra, nie mogli się zdecydować. Chcieli, żebyśmy obaj wygrali, ale to jest niemożliwe. Tylko jeden może być zwycięzcą.

Brett Shawcross: Ty możesz mieć srebro. A ja dostanę złoto.

Ja: Powodzenia.

Brett Shawcross: Nie potrzebuję powodzenia. Spuszczę ci łomot.

Nie ma medali, dostaje się dyplomy. Muszę tylko wygrać, żeby dowieść, że jestem najlepszym biegaczem i dlatego, że powiedziałem Papie, że wygram.

Lincoln Garwood był na pierwszym torze. Miał zamiar oszukać, powiedział nam. Wie, że nigdy by nie wygrał, bo czapka, w której musi schować swoje dredy, jest za ciężka. Spowalnia go tylko i wygląda w niej jak ciota. Nawet sam tak powiedział.

Lincoln Garwood: Za wolno, człowieku, biegam. Nie chcę wyglądać jak ciota.

Nie chciał dobiec na metę jako ostatni, więc miał plan: specjalnie się przewróci, żeby wyglądało, że zwicznął nogę w kostce. Wszyscy obiecaliśmy, że nic nie powiemy.

Czekaliśmy na gwizdek. Było nerwowo. Czulem, że serce bije mi jak szalone. Mnóstwo ludzi przyszło popatrzeć. Nie tylko koledzy, ale też trochę mam i ojców.

Ale nie Mama. Znowu była w pracy. Powiedziała, że się za mnie pomodli, żebym wygrał, nie wiem, czy będzie pamiętała.

Nie chciałem ich zawieść. Chciałem, żeby to był najlepszy wyścig na świecie.

Wszyscy uczestnicy stali sobie wkoło. Niektórzy się bali. Kyle Barnes żuł gumę. Saleem Khan dłubał w nosie. Brett Shawcross uważa się za prawdziwego biegacza i potrząsał nogami, tak jak robią prawdziwi zawodnicy przed biegiem. Miał poważną minę, że niby musi wygrać. *Asweh*, to było bardzo śmieszne.

Pan Kenny: Do biegu!

Należało się odpowiednio ustawić. Przyklęknąć na jedno kolano, ramiona przed sobą. Wtedy się robi jakoś ważniej. Każdy uważał, żeby czegoś nie schrzanić. Wszyscy ucichli.

Pan Kenny: Gotowi!

To znaczy to samo, co do biegu, ale już wiadomo, że za chwilę się zaczniesz. Trzeba wytrzymać bez ruchu. Ktoś puścił bąka. Wszyscy się zaśmiali.

Pan Kenny: Start!

Pan Kenny zagwizdał i zaczęliśmy biec. Lincoln Garwood od razu się przewrócił. Widziałem, jak sam sobie podstawiał nogę. Nawet tak wyglądało, jakby naprawdę się potknął. Przeturlał się trzymając się za stopę. Słyszałem wrzask z tyłu. Biegłem dalej.

Ja i Brett Shawcross prowadziliśmy. Wszyscy zostali za nami. Ja byłem na torze 4., a Brett na 6. Nie wiedziałem, który tor jest najszcześniejszy. Biegliliśmy bardzo blisko siebie. Jasne było, że obaj staraliśmy się ze wszystkich sił. Normalnie masakra. Brett Shawcross ma Nike. Ja mam tylko Diadory, ale i tak byłem przed nim. Patrzyłem po prostu przed siebie. Chciałem wygrać, jak nie wiem co.

Kyle Barnes poddał się. Zabrakło mu tchu i upadł. Wszyscy inni byli daleko z tyłu.



Zrobiło się cicho. Wydawało mi się, że poruszam się w zwolnionym tempie, chociaż wiedziałem, że biegnę szybko. Nogi mnie bolały, to już nie był wyścig, a sprawa życia i śmierci. Jeśli mnie dogonią, rozedrą mnie na kawałki. Musiałem uciekać. Musiałem po prostu wygrać, bo inaczej to koniec.

Na ostatnim wirażu myślałem, że upadnę, musiałem zwolnić, żeby nie wypaść z toru. Na ostatniej prostej mogłem znowu biec szybciej, ale brakowało mi tchu. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Przypomniałem sobie ducha z moich Diador. W myśli zmówiłem szybką modlitwę:

Ja: Duchu, dodaj mi siły! Daj mi swoją szybkość! Nie pozwól mi umrzeć!

Już widziałem linię mety. Prawie tam byłem. Poppy czekała na mnie, biła mi brawo na powitanie. Dało mi to porządnego kopa. Poczulem, że powietrze znów mi napływa do płuc. Wyżej podnosiłem kolana, szybciej poruszałem ramionami. Byłem Usainem Boltem, byłem Supermanem. Jeszcze nie umarłem i nigdy mnie nie dogonią. Zrobiłem ostatni wydech i rzuciłem się na taśmę. Brett Shawcross wpadł na mnie i obaj się przewróciliśmy. Zamknąłem oczy i czekałem na gwizdek.

Pan Kenny: Pierwsze miejsce, Opoku! Shawcross drugi!

Wygrałem! *Asweh*, nie mogłem w to uwierzyć! Chciałem krzyknąć „Tak!”, ale zabrakło mi tchu. Po prostu leżałem na plecach. Niebo wirowało mi przed oczami i chmury ścigały się w kółko. Głowa mnie swędziała. Chciałem tylko patrzeć na niebo i spać. Chciałem zrobić jeszcze jedno okrążenie.

Brett Shawcross: Dobra robota. Niezły bieg.

Czułem, jak na twarzy pojawia mi się szeroki uśmiech, jakby Pan Bóg go właśnie wymalował łaskoczącym pędzlem. W życiu nie czułem się bardziej super ekstra odlatowo. Jestem najszybszy w klasie. To jest nawet oficjalne. Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć o tym Papie. Kiedy wstałem, wszyscy chcieli mi uścisnąć rękę, nawet Brett Shawcross i pan Kenny. Poppy najdłużej mnie ścisnęła. *Asweh*, czułem się jak król. Wszyscy mnie podziwiali i nikt nie czyhał na mnie przy bramie, wiedzieli, że nie mogą mnie dotknąć do czasu, aż magia przestanie działać. *Asweh*, chciałbym, żeby każdy dzień był właśnie taki!

Ciocia Sonia na statku będzie musiała się schować. Jeśli ją znajdą, rzucają rekinom na pożarcie. Bo to jest tak: najpierw cię kroją na kawałki, żeby rekiny poczuły krew, potem wrzucają do wody, żeby cię zjadły. Robi się dzikie zamieszanie przy karmieniu, wszystkie rekiny przyplływają i walczą o ciebie. Kiedy skończą, zostają tylko kości i plama krwi na powierzchni wody.

Mama: Nie musisz nigdzie jechać. Możesz tu u nas zostać, zanim nie znajdziesz czegoś innego.

Ciocia Sonia: I Julius miałby nas tu nachodzić i sprawiać wszystkim kłopot? Nie chcę was w to mieszać bardziej niż dotąd.

Mama: Teraz już za późno. Od czasu, kiedy wzięłam od niego pieniądze.

Ciocia Sonia: Nie powinnam ci była w ogóle o nim mówić.

Mama: A jakbym inaczej miała się tu dostać? Posadzić drzewo, na którym rosłyby bilety na samolot? Dalej bym siedziała w kraju i odkładała monety do puszek, dziesięć pesewa jednego dnia, pięćdziesiąt drugiego. Mój wybór, nikt mnie nie zmuszał. Zrobiłam to dla siebie, dla tych dzieci. Póki spłacam dług, są całe i zdrowe. Zajądą w życiu dalej, niż bym je kiedykolwiek mogła sama zaprowadzić. Jestem teraz tutaj, mogłabym ci pomóc. Powiedz mi, co ci potrzeba.

Ciocia Sonia: Twojej kuchenki. Czuję, że odrasta dawna ja.

Mama: Najwyższy czas. Brakowało mi jej.

Ciocia Sonia potarła palce, powoli i ze smutkiem. Czekałam, żeby to czarne i błyszczące złuszczyło się jak stara farba, i żeby dawne linie znowu się pokazały. Jeśli jaszczurce coś odgryzie ogon, to po prostu odrasta jej nowy. Czytałem o tym w mojej książce o gadach. Jaszczurka ma dobrze.

Mama: Nie możesz cały czas żyć w biegu.

Ciocia Sonia: Nie, ale mogę wskoczyć z powrotem w to samo miejsce, gdzie zaczynałam i znowu spróbować. Tym razem zapłacę pięćdziesiąt dolarów ekstra, żeby dostać się na łódź, której właściciel rozróżnia rybaków od straży przybrzeżnej. Mówię ci, nie chciałabyś wiedzieć, jak pachnie areszt w Libii, dalej mi się śni ten smród. *Adjei*, jak mnie noga swędzi! Podaj mi to pióro.

Ciocia Sonia ma nogę w gipsie do kolana. Myślę, że to robota Przekonywacza, a Lydia uważa, że Julius przejechał po niej samochodem. Kto ma rację, dostanie sto punktów. Ciocia Sonia nie powie. Mówi, że to jej wina, że się w porę nie usunęła z drogi. Pozwoliła mi zrobić rysunek na gipsie. Próbowałem narysować dla niej mojego gołębia na szczęście, ale wyszedł mi bardziej jak kaczką.

Ciocia Sonia: Tak czy inaczej nie pozwoli mi odejść, za dużo wiem. Ale nie jest

tak źle, przynajmniej mogę mieć dobre środki przeciwbólowe, biorę teraz percocet tak, jakby to były M&M'sy, zupełnie jak kiedyś w Stanach, dobrze jest. Panie doktorze, może mi pan oddać? Dziękuję!

Musiałem oddać kule. Zresztą kręciło mi się od nich w głowie. Otworzyłem Cioci Soni drzwi i rozejrzałem się, czy nie ma wroga w pobliżu. Droga była wolna.

Ciocia Sonia: Widzieliście, co wam zrobili z drzwiami?

Nasze spojrzenia powędrowały za wzrokiem Cioci Soni. Wielkie litery wydrapane na drewnie:

## ŚMIERĆ

Litery były cienkie i ostre, jakby napisane nożem, nie piórem. Zrobiło mi się zimno w brzuchu, zanim mogłem to powstrzymać.

Ciocia Sonia: Kto to zrobił?

Ja: Pewnie jakiś ćpun. Jest ich miliony w okolicy.

Przejechałem palcami napis, szukając jakiegoś tropu. Tak tylko dla pozorów. Wiedziałem już, kto to zrobił i do kogo napis się odnosił. Jordan zawsze pisze ostrzeżenia swoim nożem wojennym, a ma to pokazać wrogom, że sprawa jest poważna i jest się czego bać. Ja przynajmniej nie boję się włókienek na bananie. Zawsze je jem. Jordan zawsze je wyrzuca. To tylko bananowa nitka, nic nikomu nie robi. Jordan nie jest wcale taki twardziel. Wbiła mi się drzazga z litery E, ale nie bolało.

Lydia: Żebyś widział, co napisali na schodach. Pier...łem Boga w dupę. (Wyszeptała to, żeby Mama nas nie dorwała.)

Ciocia Sonia: Lydia!

Lydia: Właśnie mu to mówię.

Ja: A kto będzie podlewał twoje drzewko, jak wyjedziesz?

Ciocia Sonia: Mogę je wziąć ze sobą, to tylko plastik.

*Asweh*, zrobiło mi się niedobrze. Nie wiedziałem, że drzewko jest plastikowe. Myślałem, że jest prawdziwe. A to ci wredna sztuczka.

Ja: Po co robią drzewa z plastiku? To obłąd.

Ciocia Sonia: Łatwiej się nimi zajmować. Prawdziwe wymagają pokarmu i odpowiedniej pogody. Plastikowe możesz wszędzie wziąć ze sobą i nie uschnie, jeśli zapomnisz je podlać. One są dla ludzi, którym nie można powierzyć żywego drzewka.

Mama: Nie mów tak.

Ciocia Sonia: Wiesz, że tak jest.

Jak się zastanowić, to nawet jest dobry pomysł. Ono jest bezpieczniejsze niż prawdziwe. Plastikowe drzewko to kłamstwo tylko wtedy, kiedy udaje, że jest prawdziwe, ale jeśli wiadomo, że jest plastikowe, to wtedy nie może być kłamstwo.

•

Niektórzy superbohaterowie tacy już się urodzili. Superman zjawiał się z planety, gdzie wszyscy mają jakieś moce. Storm i Cyklopowie i Iceman wszyscy mają gen X.

Altaf: Po prostu mają go we krwi od urodzenia. Zaczynali pokazywać swoje moce, już jak byli dziećmi.

Ja: Ale odjazd!

Altaf: Ja tam wolę, jak oni się rodzą normalni. Jak Spiderman, ten był normalny, dopóki go pająk nie ugryzł. Wcale nie chciał być specjalny. Chciał sobie żyć zwyczajnie. Ale kiedy dostał tych swoich mocy, zdał sobie sprawę, że cały czas chciał je mieć.

Ja: Jak to?

Altaf: Chciał być silny, kiedy zaczęły się te zbrodnie. Nawet nie wiedział, że się zaczyna, ale Pan Bóg wiedział cały czas. Żeby go przygotować, Pan Bóg wysłał pająka. Chciałbym, żeby tak się dalej zdarzało. Mógłbym wtedy uratować mojego papę.

Ja: A co, co mu się stało?

Altaf: Zginął na wojnie.

Ja: Widziałeś ją? Czy helikoptery miały zamontowane działka?

Altaf: Nie wiem, nie widziałem ich, uciekliśmy, zanim przyszli Etiopczycy. Ale czołgi słyszałem. Były bardzo głośne, zupełnie jak trzęsienie ziemi. Mój tata miał do nas dołączyć, jak się walki skończą, ale trafiła go rakietą. Wcale do niego nie celowali, po prostu znalazł się na linii ognia. Poszedł z dymem. Gdybym miał wtedy te moce, mógłbym przechwycić raketę, ale to jeszcze nie był mój czas. Wtedy nawet nic nie wiedziałem o superbohaterach, nikt mi o nich nie powiedział, dopiero kiedy tu przyjechałem.

Altaf powrócił do swojego rysunku. Przedstawiał on półczłowieka półlwa. Założę się, że go nazwie Człowiek Lew. Zdecydowanie Altaf jest najlepszym



rysownikiem.

Ja: Powinieneś mu zrobić nocne oczy. Lwy widzą w ciemności.

Altaf: Mam taki zamiar.

Ja: Nie uwierzysz. Człowiek Wąż istnieje naprawdę, widziałem go.

Altaf: Gdzie?

Ja: Na YouTube. Widziałem zresztą, jak się rodzi. Kliknij wąż zjada chłopca i zobaczysz. Nie bój się, on go potem wypluwa. To najlepsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Wiem, że to prawda.

Altaf: Ale odjazd!

Ja wolę, jak się rodzą normalni. Wtedy wiadomo, że to się może każdemu przydarzyć. Nawet i mnie, tylko musiałbym trafić na radioaktywnego pająka, albo zjeść odpowiednią truciznę. Poprosiłbym, żebym był niewidzialny, żebym umiał latać, czytać w myślach i mieć supersiłę. To najlepsze moce do wygrywania wojen i łapania zabójców. Ale kostiumu bym nie miał, bo to tylko zwraca uwagę. Kostiumy są pedalskie.

Mam nadzieję, że nie zadadzą nam nic na letnie wakacje. Bylibyśmy udupieni. Każdy to potwierdzi.

Connor Green: Udupieni na maksa.

Kyle Barnes: Zdecydowanie.

Ja: Racja. Jeszcze jak udupieni.

Jak coś jest udupione, to znaczy, że jest najgorsze. Tak mówią w Ameryce. Zrobiliśmy zakłęcie. My, czyli ja i Dean i Connor Green i Kyle Barnes.

Dean: Jeżeli żaden z nas do końca semestru nie wejdzie na szczelinę w chodniku, to w wakacje będzie codziennie słońce, i nie zadadzą nam żadnych prac domowych. Zgoda?

My wszyscy: Zgoda!

Pierwszemu, kto nadejrze na szczelinę, wsadzimy głowę do sedesu i spuścimy wodę. Jeśli się robi małe kroczyki jak pingwin, to można się w porę zatrzymać, zanim się trafi na taką szczelinę. Tak jest bezpieczniej. Wakacje będą ekstra. Pierwsza rzecz, wybierzemy się do zoo. Do tego czasu Papa i Agnes i Babcia Ama będą już tutaj. Czasem nawet można tam karmić pingwiny. Agnes pęknie ze śmiechu, nigdy jeszcze żadnego nie widziała. Agnes się tak słodko przytula, nawet kiedy pakuje człowiekowi palec do nosa.

Potem pojedę na bardzo długą wycieczkę rowerem. Tylko ja i Dean. Pojedziemy nowymi rowerami, które sobie kupimy za nagrodę. Wyjedziemy wcześnie rano i wrócimy dopiero, jak się zupełnie ściemni. Pojedziemy naokoło Londynu do Londyńskiego Oka i do pałacu i do muzeum z dinozaurami.

Dean: Możemy się schować w żebrach T-Rexa, a potem jak zamkną na noc, to wyskoczymy i będziemy mieli całe muzeum dla siebie. Ale byłby odjazd.

Ja: Taaa, dobrze by było, zwłaszcza jeśli wszystko ożyje.

Dean: Nie chcemy jednak, żeby T-Rex ożył. Zeżarłby nas z kopytami.

Ja: Racja!

Pożyczyliśmy telefon od Lydii. Nie powiedziałem jej po co tylko dlatego, że to była tajna sprawa policyjna. Ja zajmowałem się filmowaniem. Skierowałem kamerę na Deana. Byłem gotów pstryknąć, gdyby wrócił duch zmarłego chłopca. Sprawdzaliśmy boisko do koszykówki, bo zmarły chłopiec często tam bywał. To był mój pomysł, żeby spróbować zrobić zdjęcie jego duchowi. Część ducha zmarłej osoby zawsze zostaje w miejscu, które znała, nawet jeśli dusza jest już w Niebie. To może być tylko odrobina, ale czasem, jeśli się dobrze rozejrzeć, to się ją wyczuje.

Ja: To tak, jak wtedy gdy wejdiesz w kałużę, a potem wyjdiesz i zostawisz

śląd na suchej ziemi. Dopóki śląd nie wyschnie, tyle czasu twój duch tam zostaje, na tym miejscu. Tak samo jest, jak się umrze, tyle że wtedy to trwa dłużej, bo całe twoje ciało i uczucia i myśli tam były, a to jest większy ciężar.

Dean: No jasne, jasne. Pośpieszmy się.

Trzymałem zdjęcie zmarłego chłopca, żeby uzyskać więcej energii. W myśli pomodliłem się, żeby on nas znalazł. Gdybyśmy mogli go sprowadzić chociaż na krótko, żeby nam zdążył powiedzieć, co się stało, żeby nam podał nazwisko tego, co go zaciukał, mielibyśmy wtedy potrzebny nam dowód i mogłby na zawsze spoczywać w pokoju.

Ja: Czujesz już coś?

Dean: Taaa, pier...e głupoty. Człowieku, to nie działa. Chodź, idziemy.

Ja: Próbuje dalej. Wyobraź sobie, że niby jesteś tym zmarłym chłopcem. Wyobraź sobie, że niby czujesz to, co on czuł i widzisz to, co on widział. Lepiej wychodzi, jak się człowiek skoncentruje.

Zmarły chłopiec był świetny w koszykówce. Kiedyś rzucił kosza z jednego końca boiska do drugiego. *Asweh*, to był strzał jeden na milion. Nigdy już się czegoś takiego nie zobaczy. Każdy mówił, że to był fuks, ale on tylko się uśmiechnął, jakby to od dawna planował. Nawet nic nie udawał i dalej grał, jak gdyby nigdy nic. X-Fire ciągle mówił na niego szpaner, ale on nawet nie słuchał. Kiedy X-Fire i Killa zaczęli go poszturchiwać, on ich zwyczajnie odepchnął. Niczego się nie bał.

X-Fire: Pier...y szpaner. Każdy by tak strzelił.

Zmarły chłopiec: No to już, zobaczmy, jak ci się uda.

X-Fire: Spier... człowieku, ty mi się tu, k..., nie stawiaj.

Killa: Zaje...my cię.

Zmarły chłopiec: Spokojnie dzieci, bawcie się ładnie, dobra?

Przyglądałem się zza płotu i wszystko widziałem. Najpierw X-Fire popchnął zmarłego chłopca, potem pchnął go Killa. Wtedy zmarły chłopiec pchnął Killę, na co X-Fire pchnął znowu zmarłego chłopca. Teraz wszyscy byli już nieźle wkurzeni. Akcja nabrała tempa. Ale jazda. Zmarły chłopiec popchnął Killę tak mocno, że Killa upadł na plecy, T-shirt mu się podwinął i było widać śrubokręt wystający z tylnej kieszeni spodni. Nawet było słychać, jak się biją. Nikt ich nie próbował powstrzymać, zupełnie jakby ktoś wcisnął nie ten guzik i teraz musieli się przepychać tak długo, aż im się wyczerpią baterie. Wszyscy inni zawodnicy po prostu stali i gapili się. Większość to były młodsze dzieciaki, takie jak ja. Przestali dopiero, kiedy jeden z dzieciaków próbował ukraść rower zmarłemu chłopcu.

Musiał pogonić za nim, żeby odzyskać rower.

Killa: Tak jak myślałem, ciota!

X-Fire: Cykor!

Myślałem, że już po wszystkim, ale zmarły chłopiec wrócił na rowerze. Upił duży łyk ze swojej butelki z wodą i plunął Killi w plecy. Wszystko poleciało mu na T-shirt i wszędzie.

Zmarły chłopiec: Sam jesteś pier... ciota, pedale!

I wtedy odjechał. Killi mało krew nie zalała, taki był wkurzony. Woda z niego kapiała. Jeden z dzieciaków rzucił w niego piłką do kosza.

Mały: Ciota!

Wtedy już wiedziałem, że ktoś musi zginąć. Uciekłem raz-raz, zanim by się okazało, że to będę ja. Wieki minęły, od kiedy byłem tu po raz pierwszy. Teraz boisko do koszykówki jest prawie zawsze puste. Ktoś pozrywał siatki i próbował podpalić słupy. Obręcz do kosza bez siatki to już nie to samo.

•

Dean leżał na ziemi pod koszem. Oczy miał zamknięte, ramiona rozpostarte jak anioł.

Dean: Mówię ci, nic do mnie nie dochodzi!

Ja: To dlatego, że on cię nie znał, jego duch nie wie, czy jesteś kumplem czy nie. W porządku, duchu, on jest ze mną. Chcemy tylko pomóc.

X-Fire: Co wy, cioty jedne, robicie? Chyba grzybków się znowu nażarliście?

X-Fire i Dizzy zablokowali bramę. Killa był za płotem, Miquita wisiała na nim jak na drzewie. Rzuciłem telefon Lydii raz-raz przez płot, żeby go ukryć w trawie.

Dizzy: Wiecie, że to teren prywatny? Musicie teraz zapłacić podatek, jasne? Ile macie?

Dean: Nic nie mamy.

Dizzy: Nie zmuszaj mnie, żebym coś ci zrobił.

Dizzy kazał Deanowi opróżnić kieszenie. Miał tylko 63 pensy i dwa anyżkowe cukierki. Dizzy wziął wszystko. Nie mogłem tego powstrzymać, nie było gdzie uciec.

Dizzy: A twoje adidasy?

Dean: Co z nimi?

Dizzy: Po prostu zdejmij je, bo ci strzelę. Ze mną nie ma żartów.

Dean zdjął adidasy. Na skarpetkach miał tenisistę. W tej chwili było za późno,

żeby go spytać, czy to jego ulubione. Odwrócił adidasy podszwami do góry, ale niczego w środku nie miał.

X-Fire: A ty Ghana? Co tam chowasz?

Ja: Nic.

Zrobiło mi się zimno w brzuchu. Kurczowo ścisakałem w kieszeni portfel zmarłego chłopca. Nie zdążyłem schować z powrotem zdjęcia.

Dizzy: Co tam masz?

Dizzy złapał mnie za ramię i szarpnął. Próbowałem wepchnąć zdjęcie głębiej. Mocno ugniatałem je wszystkimi palcami, żeby zadziałały jak klej. Miałem przed oczyma twarz zmarłego chłopca, żył i uśmiechał się. Nikt tego nie mógł zniszczyć. Puściłem dopiero, kiedy Dizzy stanął mi na stopie. Wsadził mi rękę do kieszeni, zanim zdążyłem go powstrzymać, i wyciągnął portfel. Zdjęcie wypadło na ziemię.

Dizzy: Co to ma być? Lepiej niech tam będzie jakaś kasa.

Dizzy przeszukał portfel, ale był pusty. Rzucił go za siebie tak, jakby to był jakiś śmieć, jakby nigdy do nikogo nie należał. Killa zauważył leżące na ziemi zdjęcie zmarłego chłopca. Podszedł i podniósł je. Zrobiło się cicho. Twarz Killi zastygła. Patrzył na zdjęcie takim wzrokiem, jakby chciał sprawić, żeby zniknęło.

Killa: Skąd to masz?

Dean: Znaleźliśmy.

Miquita: W porządku. To tylko zdjęcie, to nic nie znaczy.

Killa: Co ty, k..., wiesz? Gównu wiesz.

Miquita: Tylko, misiu, mówię.

Killa: Odwal się ode mnie.

Killa odepchnął Miquitę. Odbiła się od płotu. Jej własna wina, za bardzo go kocha. Dean założył z powrotem adidasy. Powietrze było gęste od morderczych myśli. Tonałem w czarnym morzu, tak to czułem. Killa dalej wpatrywał się w zdjęcie zmarłego chłopca. Myślałem, że mu się w rękach zajmie ogniem.

X-Fire: K..., załatw to, człowieku. Pozbądź się tego, okej? Idź, k...

Killa: A może nie chcę? Te głupoty poszły już za daleko, człowieku. Koniec.

X-Fire: To ja powiem, kiedy ma być koniec. Nie wymiękaj teraz, to ty nas w to gówno wciągnąłeś. Daj mi to, k..., i spadaj!

X-Fire wziął zdjęcie od Killi i kopnął go w tyłek, żeby się szybciej zmywał. Miquita ruszyła za nim, ale ją odepchnął. Prawie płakał. Kiedy doszedł do ulicy, zaczął biec, odstawiając łokcie jak dziewczyna. Nawet mi go było żal, a z tego, co pamiętałem, biegł szybciej niż zwykle. Wszyscy szybciej biegną, kiedy uciekają.

X-Fire podpalił zdjęcie zmarłego chłopca zapalniczką. Jego duch wywołał takie

szybkie iskierki, że nie dałoby się ich złapać. Dym tylko rozwiął się w powietrzu. Nie można było się nigdzie ruszyć.

X-Fire: Dizzy, pilnuj wyjścia, koleś. Nigdzie nie pójda.

Dizzy zablokował nam drogę. Rozglądałem się za jakąś dziurą, dość dużą, żeby można przez nią uciec, ale oni byli za blisko. Stałem więc razem z Deanem. X-Fire podszedł do nas, nawet nie był już wkurzony. Zdecydował się. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Wiedziałem, że to będzie nóż wojenny. Nie było nikogo w żadnym oknie, nigdzie nikogo, kto by nas obronił. X-Fire naciągnął kaptur.

Zobaczyłem cię, jak nadlatujesz od strony słońca. Proszę, gołębiu, pomóż nam!

Lydia: Zostaw ich! Wezwałam policję!

*Asweh*, serce o mało mi ze skóry nie wyskoczyło! Odwróciłem się. Lydia stała za płotem. Filmowała wszystko telefonem, pewnie go znalazła tam, gdzie go rzuciłem. Musiała wyczuć, że jej potrzebuję.

X-Fire: Bierz ją!

Ja: Uciekaj!

Dizzy ruszył za moją siostrą. Jedyne, co mogłem zrobić, to się modlić. Zobaczyłem, że robisz w locie kupę, widziałem, jak spadała tuż koło twarzy X-Fire'a. Musiał uskoczyć na bok, żeby go nie trafiła i wtedy z Deanem daliśmy nura przez tę samą dziurę, przez którą wyszedł Killa.

X-Fire: K..., zabiję cię!

Nie było czasu, żeby mu uwierzyć, po prostu biegliśmy. Widziałem przed sobą Lydię i biegłem za nią. Nie mogłem jej stracić z oczu. W ustach miałem smak deszczu. Byle naprzód, byle się nie zatrzymać. Jeśli przestaniesz się ruszać, wszystko się zawali. Szybko się obejrzałem. Nie było ani X-Fire'a, ani Dizzy'ego. Dla pewności biegłem dalej. Zwolniliśmy dopiero, kiedy dobiegliśmy do sklepów.

Lydia: Biblioteka! Szybko!

Wpadliśmy do biblioteki, tu musi być bezpiecznie. Pobiegliśmy na górę do komputerów. Lydia pokazała nam film. Wszystko na nim było: zgnębiony Killa i X-Fire, jak pali fotografię zmarłego chłopca. Wyciągnęła nas stamtąd w samą porę.

Dean: Nie kasuj tego, dobrze?

Lydia: Dobrze. Co wy tam kombinujecie?

Ja: Wypełnialiśmy tylko nasz obowiązek.

Lydia: Już Mama ci pokaże.

Lydia wysłała film e-mailem do Abeny jako ekstra zabezpieczenie. Wysyłanie

go trwało bez końca. Na wszelki wypadek odczekaliśmy jeszcze jakiś czas. Kiedy wróciliśmy do domu, zamknąłem drzwi na wszystkie zamki i z szeroko otwartymi oczami wypilem całą szklankę wody. A potem już nawet nie wydawało mi się, że załatwiam się na chmurę. Wiem, że to tylko zwykłe bąbelki ze środka wybielającego.

•

*Mógłbym zrobić więcej, ale jestem ciągle jeszcze zesztyniały po tej aferze ze srokami. Mogłem cię uratować, ale to nie moje zajęcie. Szef zawsze mawia: oni są tylko mięsem luźno owiniętym dookoła oślepiającej gwiazdy. Nie oplakujemy opakowania, jak już się je wyrzuci, święcimy uwolnienie gwiazdy. Przeciągamy ją na jej właściwe miejsce linami, które on uprządł, umieszczamy tak, by oświetlała farbę oblażącą z dawnego życia, by matce pogrążonej w żałobie oświetlić drogę z powrotem do jej boga.*

*Deszcz wciąż pada, poziom morza się podnosi, ty idziesz dalej. Idziesz dalej na przekór wszystkiemu albo jako wspaniałe wyzwanie, idziesz dalej wiedziony albo żelaznym instynktem, albo miękkim kompromisem, idziesz dalej, bo tak jesteś zrobiony. Idziesz dalej i za to cię kochamy.*

*Będzie nam ciebie brakowało, kiedy już cię nie będzie.*

Connor Green nastąpił na szczelinę w chodniku. Zrobił to specjalnie, skoczył wprost na nią. Teraz magiczne zaklęcie straciło moc, letnie wakacje będą do niczego i to jest wina Connora Greena. Przywaliliśmy mu każdy w ramię. Nawet nam pozwolił. Powiedział, że co mu tam.

Kyle Barnes: Ty chuju! Po co to zrobiłeś?

Connor Green: Bo mi się chciało. I co z tego? Nie ma żadnych czarów, to bzdura.

Kyle Barnes: To ty jesteś bzdura.

Connor Green: Taaa, a ja wiem coś, czego wy nie wiecie. Wiem, kto tego chłopaka zabił.

Nathan Boyd: Jakiego chłopaka?

Connor Green: Tego, co został zadźgany nożem przed barem Chicken Joe's, niby o kim bym mówił? Widziałem, jak to się stało.

Zrobiło mi się zimno w brzuchu. Wszystko we mnie zamarło, nawet krew.

Connor Green: Naprawdę. Przejeżdżałem tamtędy. Widziałem, jak chłopak dostał i widziałem Jermaine'a Brenta, jak ucieka. Widziałem nóż i wszystko.

Kyle Barnes: No to dlaczego nie powiedziałeś glinom?

Connor Green: Odpier... się, nie mam zamiaru dostać nożem. Niech sami odwalają swoją brudną robotę.

Nathan Boyd: Nie wierzę ci. Czyim samochodem jechałeś?

Connor Green: Mojego brata.

Kyle Barnes: Jaki ma samochód?

Connor Green: Beemkę 5.

Wtedy już wiedzieliśmy, że musi kłamać. Brat Connora nie może mieć BMW, nie jest w ogóle taki bogaty. A Connor nosi zwyczajne Reeboki Trail Burst. Nathan Boyd zaczął wachać powietrze dookoła. Wszyscy już się szykowali na coś śmiesznego.

Nathan Boyd: Coś czuję? Czujecie? Co to jest? Psie gówno? Nie, to nie jest psie gówno. Krowie? Nie, poczekajcie. Może to końskie gówno?

Connor Green: Odpier... się, koleś.

Nathan Boyd: Wiem, co to jest, to jest **gówno prawda!**

Nie mogłem uwierzyć. Nie dało się. Miałem nadzieję, że jest jakiś inny Jermaine Brent, nie Killa, wtedy to nie działałoby się naprawdę i mógłbym znów żyć normalnie. Tak strasznie chciałem załatwić tę sprawę, że bałem się, że jak znowu ruszę, to się znowu wszystko rozpadnie. Może jednak nie nadaję się na detektywa. Może to jest zbyt ryzykowne.



•

Graliście kiedyś w szkolny baseball? *Asweh*, to jest do bani. Jak ja tego nienawidzę! Bardzo trudno trafić w piłkę. Kij jest bardzo mały i ma zły kształt. Nigdy nie mogę trafić. Szkoda, że nie mam Przekonywacza, przynajmniej jest odpowiedniej wielkości. Najlepiej być odbijającym, bo inaczej się czeka godzinami na swoją kolej i nawet nie daje rady uderzyć piłki. Nieźle wnerwiające. Wszyscy mi kibicowali.

Wszyscy: Dalej Harri, dasz radę!

Chciałem po prostu uderzyć piłkę, tak jak Brett Shawcross, żeby daleko poleciała. Jak się na niego patrzy, to wydaje się łatwe. Nigdy mi się nie udało. *Asweh*, tak się wkurzyłem, że zrobiło mi się czerwono przed oczami. W końcu po prostu grałem w obronie. Czekają tylko na piłkę, żeby była blisko, a jak się zbliży, to próbujesz ją przejąć. Nuda. Piłka przez cały czas ani razu nie przeszła koło mnie. Przestałem się wysilać. Usiadłem, ale pan Kenny kazał mi pobiegać naokoło boiska.

Pan Kenny: Opoku, wstawaj! Jedno okrążenie!

Nikt nie wiedział o moim planie. Musiał to być sekret, bo inaczej by się nie udało. Zaczekałem, aż będę za daleko od nich, żeby mnie mogli zobaczyć i precyzyjnie się przecisnąłem przez dziurę w płocie. Jak się najem dzikich jabłek, to nabiorę potrzebnych mi supermocy. Wtedy będę bezpieczny. To Altaf podsunął mi ten pomysł. Zmęczyłem się czekaniem na radioaktywnego pająka, więc postanowiłem użyć magicznych trujących owoców. Bandyci nie będą mogli mnie pokonać i będę całe lato bezpieczny.

Najpierw przeszukałem drzewa, czy nie ma tam *asabonsama*. Rozglądałem się, czy nie widać gdzieś ich nóg zwisających z gałęzi. Droga była wolna. Drzewa zresztą nie były dość duże, żeby tam mogli siedzieć, a gałęzie za wiotkie. Panowała tam strasznie senna atmosfera. Byłem sam. Powietrze pachniało deszczem. Nie widziałem ptaków, tylko wysoko nad głową słyszałem ich świergot.

Ja: Cześć gołębiu, to ty? Bądź na straży, okej?

*Gołąb*: Już się robi.

Las był o wiele mniejszy niż myślałem. Widać było, gdzie się kończy i zaczyna droga, a dalej domy. Chciałem być pierwszą osobą, która tu przyszła, ale ktoś był przede mną: na ziemi wałały się rozbite butelki i mnóstwo sztywnych od błota opakowań po słodyczach. Było to bardzo wnerwiające. Chciałem być pierwszy.

Wszedłem głębiej. Podniosłem dwa najładniejsze jabłka z najlepszego drzewa. Tylko że były małe. Dla innych to jest trucizna, ale dla mnie to był meteor. Jedyne sposob, żeby nabrać mocy.

Usiadłem na przewróconym pniu. Było przyjemnie i cicho. Pomyślałem o wszystkich ważnych rzeczach do zrobienia i o mocy jakiej potrzebowałem, odetchnąłem głęboko i ugryzłem pierwsze jabłko.

Przysięgam na Boga, to była najwstrętniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek spróbowałem! Chciałem wypluć, ale musiałem połknąć, żeby zaklęcie zadziało. Zatkalem sobie usta ręką, żeby nie móc wypluć. Zamknąłem oczy i żułem. Zrobiło mi się dziwnie w brzuchu. Ze wszystkich sił zmusiłem się, żeby to połknąć. Połknąłem wszystko z wyjątkiem pestek. Otworzyłem oczy. Wszystko było szare i chciało mi się rzygać. Jeszcze raz wziąłem głęboki oddech i wgryzłem się w drugie jabłko. To wymagało wielkiego wysiłku. Musiałem się skupić i zapomnieć o mdłościach i o tym smaku. Bez końca żułem i przelykałem, żułem i przelykałem. Tylko na końcu splunąłem, żeby pozbyć się wstrętnego smaku w ustach.

Potem rozbolał mnie brzuch. Nie mogłem utrzymać się na nogach. Chciało mi się srać, ale trzymałem, bo bym wysrał wszystkie moce. Czekałem. Było mi raz zimno, raz gorąco. To chyba dlatego, że moc wchodziła mi do krwi. Najważniejsze, żeby podziało. Potrzebowałem ochrony i chodziło o to, żeby zapłacili za to, co zrobili. Puściłem baka-dziecioła. Był na końcu mokry, ale trzymałem. Nie byłem Człowiekiem Co Sra w Gacie, byłem Człowiekiem Co Trzyma. Kiedy wyszedłem z krzaków, dalej chwiałem się na nogach. Pan Kenny czekał na mnie.

Pan Kenny: Gdzie ty się podziewałeś?

Ja: Źle się poczułem, proszę pana.

Nathan Boyd: Palił szluga w lesie.

Connor Green: Walil konia.

Ja: Wcale nie.

Pan Kenny: Dość tego.

Pan Kenny pozwolił mi przesiedzieć resztę meczu. Zresztą szkolny baseball to nudziarstwo. Nigdy nie trafiam w piłkę, bo kij ma zły kształt. Powinien być bardziej spłaszczony. Nie wiem, dlaczego nikt o tym jeszcze nie pomyślał.

Mieliśmy tu wojnę. Prawdziwą, od razu się wiedziało. Wszędzie był dym, gęsty, czarny i zapełniał całe niebo. Zapach pożaru czuło się na dobrych parę mil. Wszyscy szli popatrzeć, jak ginie plac zabaw.

Dean: Najpierw myślałem, że to katastrofa lotnicza. Szkoda, byłby odjazd.

Ktoś podpalił huśtawki. To z nich wydobywało się najwięcej dymu. Zapach gumy z siedzeń kręcił mnie w nosie. Nic innego nie czułem. Czy wiecie, że jak coś bardzo mocno pachnie, to się chce śmiać? No, w każdym razie tak się wydawało. Tylko że nie można było się śmiać, bo wszyscy dorośli się patrzyli. Pożar był katastrofą i należało zachować powagę.

Mama Deana: Te cholerne bachory to zrobiły. Widziałam je tutaj, kiedy wracałam z apteki. Próbowaly to wtedy podpalić.

Pani z bicepsami: Kiedy to było?

Mama Deana: Teraz, przed chwilą. Wracałam z apteki. Wiedziałam, że coś kombinują.

Papa Manika: A to gnojki.

Drabinki też się paliły. Metal zrobił się czarny, sznury siatki wspinaczkowej już dogasały. Ogień był bardzo gorący. Kiedy podszedłem bliżej, od gorąca zaczęło mnie wszystko swędzić. Było całkiem fajnie i jakoś się chciało od tego spać. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego wielkiego pożaru.

Dzieciaki miały zabawę, kto podejdzie najbliżej. Podbiegały do ognia i uciekały z powrotem, a kto podbiegł najbliżej, ten wygrywał. Masakra. Chciałem też się tak bawić, ale wypadało poważnie się zachowywać. Jak ktoś ma prawie dwanaście lat, musi dawać przykład. Wszyscy stali i przyglądali się pożarowi. Nawet nie chcieli rozmawiać, tylko patrzeć. Widzieli, że nic nie mogą zrobić, było zbyt gorąco i pięknie. Wiedzieli, że z ogniem nie wygrają. To było wspaniałe i smutne i przerażające.

Jak tylko nowa osoba podchodziła, to zaraz ktoś musiał opowiedzieć wszystko, co dotychczas było wiadomo o dzieciakach, że podłożyły ogień. I wtedy ta nowa osoba mówiła coś w tym rodzaju:

Nowa osoba: Pier... gówniarze.

I przystawała, żeby się przyglądać jak wszyscy. Zupełnie jakby się miało jakiś sekret, ale taki, który można wszystkim zdradzić. Jakby wspólny sekret nas wszystkich. Czuło się, jakby wszyscy byli razem i wszyscy się znali, chociaż nigdy przedtem ze sobą nie rozmawiali, ani nie wiedzieli, jak się kto nazywa. Wszyscy byli po jednej stronie. To najlepsza rzecz na wojnie.

Lydia robiła zdjęcia pożaru. Nic nie było na nich widać, tylko czarny dym.

Ja: Ee, nawet nie widać ognia! Spróbuj jeszcze raz!

Lydia: Nie przeszkadzaj! Telefon mi się roztopi!

Ja: Nie roztopi. Pstryknij statek piracki, zanim zatoni!

Lydia: Nie. Idę stąd, dym mi oczy wygryzie. Idziesz?

Ja: Nie, zostaję. Będę wracał do domu z Deanem.

Lydia: No to uważaj. Nie pozwól, żeby szli za tobą.

Ja: Nie pozwolę.

Chciałem tylko pstryknąć statek piracki, zanim na zawsze zatoni. Chciałem tam być aż do śmierci placu zabaw, żeby wiedział, że tam byłem, że go kochałem do końca.

Terry Nawynos: Siema, mały. Co tu się stało?

Ja: Zwyczajny pożar. Asbo! Cześć, piesku! Dobry pies! Dobry pies Asbo!

Asbo skoczył i polizał mnie po twarzy. Ale było śmiesznie, nawet kiedy językiem chlasnął mnie prosto w usta. W czasie wakacji nauczę go tropić duchy.

Terry Nawynos: Chcesz może kupić DVD? Mam trochę dobrych, jest tu gdzieś jeden z zombi.

Ja: Nie, dziękuję. Jeśli się kupuje pirackie DVD, to pieniądze trafiają do Osamy Bin Ladena. Uczyliśmy się w szkole.

Terry Nawynos: Jak sobie chcesz.

I wtedy nadjechał wóz strażacki. Syrenę było słychać już z odległości paru mil. Jechał prosto przez trawnik. Każdy się nieźle wnerwił, kiedy wyłączono syrenę, bo chcieli ją z bliska usłyszeć.

Strażak: Wszyscy proszę się cofnąć.

Ale każdy znowu pchał się do przodu. Nie mogli się powstrzymać. Najodważniejsze były dzieciaki. W ogóle nie słuchały strażaków, tylko ciągle podchodziły bliżej. Widać było, że bardzo im się podobało być ze strażakami. Chciały pomagać. Chciały nimi być.

Jeden mały próbował podnieść wąż, ale nie mógł go ruszyć, bo był o wiele za ciężki. Mały zaczął płakać. To był najśmieszniejszy moment.

Strażak: Okej, kolego. Mam go. Pomożesz następnym razem, dobra?

Woda wyleciała superszybko jak pocisk. Strażacy zwinnie się uwijali i w minutę ugasili ogień. Teraz po pożarze plac zabaw wyglądał paskudnie. Był cały czarny w miejscach, gdzie się paliło. Wydawał się brudny i martwy. Miało się wrażenie, że się samemu umarło. A nawet chciałoby się, żeby pożar wrócił i zakrył ten cały brud.

Dean: Gdybym wiedział, że będą tak szybko, to bym jeszcze w paru miejscach

coś podпалиł, żeby przyjechali i gasili.

Mama Deana: Taa, i dostałbyś kopa ode mnie w dupę za swoją fatygę.

Dean: Ja tylko żartowałem.

Teraz kiedy pożar się skończył, zobaczyłem rzeczy, których przedtem nie zauważałem, smutne i głupie, takie, których wcale nie powinno tam być. Zobaczyłem kawałek liny od siatki. Była cała czarna i błyszcząca od ognia. Wyglądała zupełnie jak wąż. Tylko patrzeć, jak ruszy i popęźnie pod połamane drabinki. Zobaczyłem starą monetę jednopensową w ziemi obok biedronki. Wyobraziłem sobie, że to kupa biedronki. Biedronka tak się przestraszyła pożaru, że się zesrała. Żal mi się jej zrobiło, chociaż wiedziałem, że jest z plastiku. Głowę miała spuszczoną i nadtopioną w żarze.

Dzieciaki znalazły nową zabawę i wyzywały jeden drugiego, żeby wyciągać zwęglone kawałki drewna. Były ciągle jeszcze bardzo gorące. Nikt nie mógł utrzymać ich dłużej niż dwie sekundy. Przez dym zobaczyłem Killę. Był sam. Przyglądał się pożarowi jak wszyscy inni. Podniósł kawałek drewna, objął go palcami i stał tam, czekając aż go oparzy. Nawet mu się to podobało, nie przejmował się. Trwało to bardzo długo. Nie liczyłem od początku, ale doszedłem do dwudziestu ośmiu, kiedy wreszcie upuścił. Sekret w tym, żeby trzymać tak mocno, jak się da. Potem włożył ręce do kieszeni i poszedł sobie nie patrząc na nikogo. Zupełnie jakby mu było tak smutno jak mnie, chociaż z drabinkami miał tyle wspólnego, że innych przeganiał.

Zrobiło się jaśniej. Dym się rozwiął i przypomniało mi się, że przecież jest dzień. Już mi się nie chciało spać. Ludzie zaczęli rozchodzić się do domów. Chcieliśmy z Deanem jeszcze zostać, chociaż plac zabaw umarł. Było za późno, żeby coś zmienić, ale wydawało nam się, że sprawa jest zbyt ważna, żeby już wracać. Musieliśmy zobaczyć, czy coś się nie pojawiło pod popiołem, jakieś moce czy ważne wiadomości, a może jakieś martwe rzeczy, które tam ukryto.

Tamten mały dalej płakał.

Mały: Teraz nie będę już więcej mógł iść na zjeżdżalnię.

Mama małego: Nie martw się, zbudują nową. Będzie nawet lepsza od tej starej, zobaczysz.

Miałem nadzieję, że nowa zjeżdżalnia będzie najdłuższa na świecie. I że całą wieczność będzie się z niej zjeżdżało. Bo jak zjazd trwa tylko sekundę, to jest bardzo wnerwiające. Pamiętam jeszcze z czasów, zanim stałem się za duży na zjeżdżalnię. Chciałbym być znowu mały i jeszcze raz sobie zjechać.



*Przeszedłem się dookoła zgliszczy placu zabaw, przy czym dałem sobie powalać pomarańczową nóżkę czarną sadzą. Miałem nadzieję, że może płomienie przyniosą jakieś ustępstwa, zmianę planów w ostatniej chwili. Liczyłem, że opalę sobie skrzydła w żarze, ale nic z tego, dalej tu jestem cały i zdrowy. Mam jeszcze ciągle zadanie do wykonania. Nie ma pokoju dla bezbożnych i takie tam.*

*Wolimy, jak nas obchodziecie naokoło, zamiast iść prosto na nas. Lubimy, jak się zostawia nas w spokoju, kiedy jemy i kiedy odprawiamy swoje rytuały godowe. Prosimy tylko o takie same prawa, jakie macie wy: chcemy żyć po swojemu, mieć gdzie mieszkać, mieć miejsce do srania i miejsce do spania, miejsce, gdzie moglibyśmy wychowywać nasze dzieci. Nie trujcie nas dlatego, że paskudzimy. Wy też paskudzicie. Wszędzie jest mnóstwo wszystkiego dla wszystkich, byle każdy zadowolił się tym, co mu się należy.*

*Zostawcie nas w spokoju, a nie będzie problemów. Bądźcie dla nas dobrzy, kiedy przyjdzie pora, my się odwdzięczymy. A do tego czasu, pokój niech będzie z wami.*

Dla ekstra bezpieczeństwa ja i Dean i Lydia szliśmy do szkoły wszyscy razem. Wcale nie miało się wrażenia, że wojna dzisiaj nadejdzie, to był ostatni dzień przed nadejściem lata, więc zaklęcie musiało dalej działać. Było bardzo ładnie i gorąco. Wszyscy się uśmiechali od ucha do ucha. Musieliśmy krzyczeć ze wszystkimi. Nie mogliśmy się powstrzymać.

Ja i Dean: **Ostatni dzień! Prawie wolność!**

Lydia: Ej! Nie wrzeszczcie mi do ucha!

Ja: **Uuuuuuaaaaaaaaaa!** (Tak właśnie wrzeszczałem Lydii do ucha.)

Na geografii pan Carroll włączył wentylator. Już się kręcił, kiedy przyszlismy. Super niespodzianka. Wszyscy szaleli, kiedy to zobaczyli. Po kolei każdy się chłodził, przyjemnie było nadstawiać się na świeży powiew.

Niektórzy z nas tak się ośmielili, że sobie wietrzyli intymne części ciała. Właściwie nikt tak naprawdę tego nie robił, tylko podnosiliśmy koszule do góry i chłodziliśmy sobie brzuchy. Chłodny wiatr na brzuchu to najprzyjemniejsza rzecz z wszystkiego.

Kyle Barnes: Patrzcie, Danielowi twardnieją sutki! Zboczek.

Daniel Bevan: Zamknij się! Nieprawda.

Brayden Campbell: Stał mu. Patrz, Charmaine, dotknij gruchy Daniela.

Charmaine de Freitas: Odwal się!

Wszyscy mieli krawaty zawiązane na głowach. Udawali żółwie Ninja. Cała klasa jedenasta wypisywała sobie nawzajem na koszulach swoje imiona i życzenia. Ostatni raz mieli te koszule na sobie. Już nigdy więcej nie będą musieli przychodzić do szkoły. Koniec ze szkołą raz na zawsze. Trzeba zapisać całą koszulę życzeniami szczęścia na drodze w świat. Taka jest tradycja. Bardzo fajna. Nie mogę się doczekać na swoją kolej.

**POWODZENIA! SPOKO** kartofel  
NORTHWELL MANOR DO ŚMIERCI TYRONE  
WZBOGAĆ SIĘ ALBO ZGIŃ WALCZĄC O TO naomi

**ZDF** JEBAĆ SZKOŁĘ LEWSEY HILL TO CIPY  
JEBAĆ POLICJĘ LEON

**W RUMIE POKŁADAMY UFNOŚĆ** Damon  
PAN PERRY SSIE PSOM

NAUKI DOŚĆ PORA NA WYSTĘPY Cherise

**CYCE JAK DONICE** RUFUS RUFUS

powtórz za mną: CZY PODAĆ DO TEGO FRYTKI?

**Jedna miłość** FASAR CIPKA

Nie płac podatków, lepiej sprzedawaj dragi

DO ZOBACZENIA W POŚREDNIAKU Donovan

FRYZURY: TONI & GUY, OSOBOWOŚĆ: RONALD McDONALD

MALACHI

FREAK UZALEŻNIONA OBCIĄGARA

RUDZIELEC Zaida

**Koham cie od dawna** JUTRO PIERWSZY DZIEŃ

RESZTY TWOJEGO ŻYCIA – UDUPIENI NA MAKSA

Nie martw się, bądź szczęśliwy! MUUMBE

NIC SPECJALNEGO E.M + S.T. DLA EVY **Kieron**

**Jestem jedynym gejem w wiosce** PRAWICZEK

ZŁAP FAZĘ: WEJDŹ NA TRANSFORMATOR

**WSZYSCY PIZDY POZA MNĄ**

Żyj marzeniem **Marvin P. jest seksi!**



RÓB PRZYPADKIEM DOBRE UCZYNKI

TYLKO NIE MUNDUREK MOTAHIR

Ostrzeżenie: przyszłość cię nie potrzebuje!

KURWA STAŻYSTKA NA KRAKU

**Natasha Vicky C. India** NIEZŁY TOWAR

Bóg był moim drugim pilotem ale rozbiliśmy się  
w górach i musiałem go zjeść

NIKOMU NIE ZALEŻY **Jack Fan Arsenalu**

MÓWIŁEM CI ŻE OŚLEPNIESZ

ŚMIERDZĘ SPERMA

PASZCZUR KUP WIĘCEJ GÓWNA Lester

NIEBO TO HALFPIPE **KANCIARZ MATT**

**Wszyscy jesteśmy zrobieni z gwiazd** SIMONE

Corinne PUDŁO Gdzie są te szmaty?

JASON B. DMUCHAŁ MOJĄ MAMĘ

**Ninje przeciw Emo**

UGRYŻ MNIE W LŚNIĄCĄ METALOWĄ DUPE! MICHAEL D.

**WIELKIE SŁOWA**

Za bardzo cool jak na szkołę!

**FELCHING ZA BREEZER Bacardi**

wszystko będzie okej!

**ZA KAŻDYM RAZEM KIEDY NIE MÓWIŁAM**

**ŻE CIĘ KOCHAM KŁAMAŁAM Nahid**

**LUBIĘ MARSZCZYĆ FREDA Z PALCEM W DUPIE**

Zdzira

Wszyscy wyglądali przez okno. Klasy jedenaste wypuszczono przed nami. Część podrzucała pulowery wysoko na drzewa. Inni przynieśli pistolety na wodę i balony z wodą, więc odbyła się wielka bitwa wodna. Jedni oblewali drugich. Ale masakra. Chwilami robiła się z tego większa draka i wtedy było jeszcze śmieszniej. Nie mogliśmy się doczekać, żeby nas wypuścili. Byle sobie polatać dookoła jak psy spuszczone ze smyczy. Zostało jeszcze pięć minut i zaczęliśmy śpiewać.

Wszyscy: *Chcemy wolności! Chcemy wolności!*

To był pomysł Kyle Barnes'a. Wszyscy się przyłączyli, nawet cykory. *Asweh*, naprawdę masakra. Wszyscy waliliśmy w ławki jak w jakimś głupim filmie.

Wszyscy: *Na dwór! Na dwór! Na dwór!*

W końcu pan Carroll machnął ręką. Musiał nas wypuścić, bo doszłoby do zamieszek.

Pan Carroll: No to idźcie już sobie. Udanych wakacji każdemu z was. Tylko nie pakować mi się w żadne tarapaty!

Wszyscy: *Nie będziemy! Nie będziemy!*

Nikt nie pamiętał o zakazie biegania po schodach. Nogi same niosły na dwór, trzeba było się temu poddać. To było jak bieg do przyszłości. Kto pierwszy wybiegnie, miał dostać lato na własność.

•

Wszyscy zawiązali sobie krawaty na głowach i pili deszcz. Ja i Poppy szliśmy razem do bramy. Trzymaliśmy się za ręce jak należy, to było bardzo seksi. Serce biło mi strasznie szybko. Poppy była jeszcze piękniejsza niż zwykle. Aż się przestraszyłem. To brzmi głupio, ale to prawda, jak sobie pomyślałem, jaka jest piękna, to ogarnął mnie strach. W brzuchu miałem motyle.

Ja: Miłych wakacji.

Poppy: Nawzajem. Jedziesz z powrotem do Ghany?

Ja: Nie. Ale pojedę do zoo. Wybierzesz się?

Poppy: Nie mogę, jadę do Hiszpanii.

Ja: Na zawsze?

Poppy: Nie, tylko na dwa tygodnie.

Ja: Wrócisz do szkoły?

Poppy: Oczywiście. A ty?

Ja: Chyba tak.

Poppy: To dobrze.

Chciałem jej powiedzieć, że ją kocham, ale jakoś nie wyszło. Wydawało się za wielkie. W ogóle nawet samo słowo. Wydawało się za wielkie i głupie, gdybym teraz je wypowiedział. Musiałem zachować je w brzuchu na potem. Na razie trzeba było się powstrzymać.

Poppy: Będziesz mi przysyłał esemesy?

Ja: Okej.

Poppy zapisała mi na ręce swój numer. Jej długopis był fioletowy i łaskotał. Strasznie to było fajne, jak najprzyjemniejsze życzenia powodzenia. Nie powiedziałem jej, że nie mam telefonu. Pożyczę od Lydii, musi mi pozwolić. Może poprosiłbym o telefon na urodziny zamiast PlayStation. To już za miesiąc. Nieważne, czy będzie miał aparat fotograficzny, czy nie, bylebym mógł rozmawiać z Poppy. Nie chcę, żeby mnie rzuciła, nigdy.

I w tym momencie Poppy mnie pocałowała. Wcale nie miałem czasu, żeby się przygotować. Po prostu pocałowała mnie od razu prosto w usta. Fajna sprawa. Wcale się nie bałem tym razem. To było ciepłe i nie za mokre. I bez żadnego języka. Jej oddech pachniał jak pomarańczowe tik-taki. Zapomniałem o Miquicie, w ogóle zresztą nie miało to znaczenia.

Zamknąłem tylko oczy i robiłem to, co Poppy. Miała bardzo miękkie wargi. Pełny luz. Chciałem zasnąć na zawsze. Trochę ścisnąłem mięśnie nóg, bo mnie siusiak łaskotał.

Connor Green: Hej, patrzcie, teraz Harriemu stanął! Co jest, czy to dzisiaj Dzień Kiedy Mi Staje, czy coś takiego? Weź ty się i zastanów!

Connor Green strzelał do nas z plujki. Musieliśmy przerwać. To było tak jak przebudzenie z przyjemnego snu, kiedy chce się dalej śnić.

Poppy: Spadaj, Connor.

Byliśmy przy bramie. Mama Poppy czekała na nią. Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby, żeby jej samochód wyleciał w powietrze, wtedy mógłbym odprowadzić Poppy spacerkiem do domu.

Poppy: No to cześć.

Ja: Cześć.

Poppy pomachała mi przez okno. Ja pomachałem do niej. Nie uważałem, żeby to było coś pedalskiego, a raczej, że to najlepsza rzecz, jaką mogłem zrobić. Ludzie do siebie machają, bo to znaczy, że należą do siebie. Cały świat wtedy wie. Oblizałem wargi. Czuję na nich jeszcze zapach oddechu Poppy. To jedyna supermoc jakiej potrzebowałem.



Dean mówi, żeby poczekać do poniedziałku, zanim powiemy policji. Trzeba zebrać wszystkie dowody i ustalić, co powiemy. Dean musi się zdecydować, jakie gry kupi sobie razem z PlayStation, no i trzeba powiedzieć naszym mamom. Będą musiały pójść z nami na policję na wypadek, gdyby gliny nam nie uwierzyły. Dean mówi, że może nas tam oprowadzą, a ja mam nadzieję, że pokażą nam pokój tortur. Będą trzymali głowę Killi w wiadrze z wodą, tak długo, aż się przyzna. W Anglii w więzieniu ma się telewizję, a bile bilardowe toczą się prosto. To lepsze niż śmierć. Byliśmy tylko doczekali żywi do poniedziałku, wtedy wszystko będzie dobrze.

Rozpadało się na dobre. Odetchnąłem głęboko i szykowałem się do biegu. Miałem zamiar policzyć, ile czasu będę biegł do domu.

Jeśli dobiegnę szybciej niż w siedem minut, to będzie znaczyło, że Poppy mnie nie zapomni oraz że rozwiążemy sprawę.

Zacząłem wymachiwać ramionami na rozgrzewkę. Coraz szybciej i szybciej. Czulem, jak nabieram sił. Byłem gotów i ruszyłem.

Biegłem szybko. Zbiegłem z górki i dalej przez przejście podziemne. Zawołałem:

Ja: Poppy, kocham cię!

Odbiło się potężnym echem. Nikt inny nie słyszał.

Biegłem koło prawdziwego kościoła. Biegłem koło krzyża.

Biegłem obok Centrum Jubileuszowego. Biegłem obok kamery monitoringu. Dałem się jej zarejestrować na szczęście.

Biegłem obok innych gołębi. Wyobrażałem sobie, że niby zawołały do mnie cześć.

Ja: Gołębie kocham was!

Wcale nawet nie czulem się głupio, to było wspaniałe. Biegłem koło placu zabaw i umarłej siatki wspinaczkowej. Pędziłem superszybko. Szybciej niż kiedykolwiek, moje stopy tylko śmigaly. Nikt nie mógłby mnie dogonić, biegłem po rekord świata.

Przebiegłem obok pani w fotelowym aucie. Nawet nie zdążyła mnie zauważyć! Biegłem koło domów i przedszkola. Nogi trochę mi dokuczały, ale nie zwalniałem. Nawet przyśpieszyłem. Dalej czulem łaskotanie na wargach w miejscu, które Poppy pocałowała. Czulem, jak w środku nabieram mocy. Przebiegłem koło drzewka w klatce.

Ja: Drzewko, kocham cię!

Kopnąłem puszkę po coli spod nóg. Prawie się przewróciłem, ale się nie przewróciłem. Już widziałem wieżowce. Byłem prawie w domu. Schody będą bezpieczne. Kiedy dobiegnę do schodów zakłęcie się spełni.

Przebiegłem przez przejście podziemne. Traciłem już oddech. Już nie mogłem wydobyć słów. Wobec tego tylko wrzasnąłem:

Ja: **Uuuuuuuuaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!**

*Asweh*, udało mi się najlepsze echo na świecie. Nikt mi nie mógł go popsuć.

Przebiegłem koło bloków i za róg do schodów. Zabrakło mi już oddechu. Zatrzymałem się. Pot spływał mi po twarzy i łaskotał. Wydawało się, że biegłem krócej niż siedem minut, raczej chyba tylko pięć. Udało mi się! Na schodach było chłodno i przyjemnie. Jeszcze tylko na górę schodami, i już będę w domu i ochłonę. Wypiję jednym haustem wielką szklanicę pysznej wody. Woda z kranu w kuchni jest bezpieczna.

Nie zauważyłem go. Zjawił się znikąd. Czekał na mnie. Powinienem być go zauważyć, ale nie rozejrzałem się w porę. Trzeba by mieć oczy naokoło głowy.

Nic nie powiedział. Po jego oczach widać było wszystko: chciał mnie zniszczyć, a ja nie mogłem nic zrobić, żeby go powstrzymać. Nie mogłem zejść mu z drogi, był za szybki. Po prostu wpadł na mnie i zaraz uciekł. Nawet nie zauważyłem, jak to wbijał. Myślałem, że to może jakiś kawał, aż upadłem. Nigdy jeszcze nikt mnie ciuknął. Kompletny obłęd.

Czułem zapach sików. Musiałem się położyć. Myślałem tylko, że nie chcę umrzeć. Jedyne, co mogłem powiedzieć to:

Ja: Mamo.

Wyszedł tylko szept. Nawet ciszej. Mama była w pracy. Papa za daleko, nie usłyszałyby.

*Wytrzymaj, zaraz będę, wytrzymaj.*

Trzymałem się za brzuch, na wypadek gdybym popuścił. Ręce miałem mokre. Stopę miałem w kałuży sików, siki na całych spodniach. Widziałem deszcz. Krople uderzały jedna o drugą. Spadały bardzo wolno. Nawet nie wybrałem sobie ulubionej, kocham wszystkie jednakowo.

Było mi zimno i wszystko mnie swędziało, czułem w ustach metaliczny smak. Nawet wcale nie było ostre, raczej taka niespodzianka. Nie spodziewałem się tego. Tylko przez sekundę widziałem trzonek, zielony, może brązowy. Mogło mi się śnić, tylko że jak otworzyłem oczy, to kałuża powiększyła się i to nie były siki, to byłem ja. Spojrzałem w górę, siedziałeś tam wysoko na balustradzie

i przyglądałeś mi się, twoje różowe oczka nie były martwe, ale pełne miłości, jakby działały na baterię. Chciało mi się śmiać, ale za bardzo bolało.

Ja: Przyleciałeś. Wiedziałem, że to zrobisz.

*Gołąb: Nie martw się, niedługo będziesz w domu. Jak przyjdzie czas, to ci wskażę drogę.*

Ja: Nie mogę tu zostać?

*Gołąb: To nie ode mnie zależy. Wzywają cię do domu.*

Ja: Boli. Czy ty pracujesz dla Pana Boga?

*Gołąb: Przykro mi, że cię boli. Ale to już niedługo potrwa.*

Ja: Lubię twoje nóżki. Takie przyjemne i szorstkie. Podobają mi się wszystkie twoje kolory.

*Gołąb: Dziękuję. Ja też ciebie lubię, zawsze lubilem. Nie ma się czego bać.*

Ja: Opowiedz Agnes tę moją historię o gościu z protezą w samolocie. Tylko musisz poczekać, aż będzie taka duża, że będzie rozumiała wszystkie słowa.

*Gołąb: Opowiemy jej, nie martw się.*

Ja: Spodoba jej się. Pić mi się chce.


*Gołąb: Wiem. Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.*

Krew. Jest ciemniejsza niż by się myślało. Kompletny obłąd, oczy mi się same zamykały. Chciałem tylko pamiętać, jeśli będę pamiętał, to będzie w porządku. Tłuste paluszki Agnes, jej buzia. Już nie widziałem. Wszystkie małe dzieci wyglądają tak samo.




KONIEC





*Ta powieść z godnym podziwu mistrzostwem  
pokazuje przerażonych nastolatków kryjących  
się pod maskami twardzieli z gangu.*


**Observer**



Świeżo przybyły z Ghany jedenastoletni Harrison Opoku mieszka z matką i starszą siostrą na dziewiątym piętrze wieżowca w jednym z londyńskich blokowisk. Zupełnie nieświadomy czyhających na niego zagrożeń Harri, wicemistrz swojej klasy w sprincie, pędzi przez nowe życie w butach z trzema paskami Adidasa własnoręcznie namalowanymi czarnym flamastrem.


Równie zafascynowany osiedlowym gangiem, co gołębiem przysiadającym na jego balkonie, Harri przyswaja sobie wiele osobliwych elementów nowego życia w Anglii: obserwuje, słucha i uczy się sztuczek umożliwiających przetrwanie w miejskiej dżungli.

Kiedy jednak na głównej ulicy osiedla, od ciosów nożem ginie chłopiec, i policja apeluje o zgłaszanie się świadków, zapada zmowa milczenia. Harri postanawia wszczęć własne śledztwo. W ten sposób nieświadomie naraża kruchy kokon bezpieczeństwa, jakim matka otoczyła rodzinę. *Zabić gołębia*, historia zderzenia niewinności z przemocą, nadziei z brutalnością świata, ukazuje przejmujący portret chłopca u progu dorosłości.



*Historia Harrisona wciąga bez reszty.  
Jedną z najtrudniejszych rzeczy w literaturze  
jest pisanie z punktu widzenia dziecka.  
Stephen Kelman robi to genialnie.*

**Guardian**



*Powieść Stephena Kelmana to przejmująca  
historia, wartka akcja i pełni wdzięku bohaterowie.  
Żywy portret namalowany uczciwie,  
życzliwie i dowcipnie.*

**Daily Telegraph**